
Zeszyty Łukowieckie

Numer 11-12

Październik 2005-Grudzień 2006 rok

Gazeta informacyjna

Od Autora!

„Zeszyty” nr 11-12 składają się z kilku części. Pierwsza dotyczy Łukowca. Staram się w niej przedstawić życie łukowian przed wojną, ich pracę, a także pewne urządzenia wykorzystywane przez rolników i innych mieszkańców. Opisuję zajęcia ludzi i różne ich umiejętności. Trochę miejsca poświęcam też sposobowi odżywiania się łukowian, próbując odpowiedzieć na pytania: Co jedli i jak wyglądało menu przedwojennego łukowianina.

W okresie wojny mieszkańcy Łukowca dostosowywali się do zaistniałych warunków. Przykładem tego może być masowy wyrób bimbru, uprawa tytoniu, produkcja mydła domowym sposobem itp. W Zeszytach 11-12 przeznaczam też kilka stron rodzinie Burdzych - drzewu genealogicznemu, które znalazłem w papierach mojego taty. Kreślę także parę słów o moich dziadkach ze strony ojca. Jest to temat bardzo mi bliski, gdyż byłem ich ulubionym wnuczką i wiele dobrego od dziadków zaznałem. Poza tym wielu łukowian tych starszych dobrze ich pamięta. Wspominają dziadka jako człowieka lubiącego pogawędzić i życzliwego dla otoczenia. Takim był przed II wojną światową, jak i po wojnie gdy mieszkał na Wałach Śląskich. Miał wielu kumpli, u których przesiadywał i wspominał z nimi dawne dzieje. Pierwszym był Piotr Kowal, u którego pod kasztanami zasiadali łukowianie i gawędzili, żartowali wspominali i politykowali. Innym kumplem dziadka był Karol Hetman. Dziadek lubił też przesiadywać u naszych sąsiadów; Gajewskich, a także u Broników. Zapuszczał się też czasem do Żaka i Dziarskiego. Później trzymał

sztamę z Szeliga i Czarnym. Na koszenie łąki, pięć km za wsią na tzn. „Urazie” zawsze brał Cześka Skoczka, pana Szeligę i Bronika, no i obowiązkowo flaszkę, którą kosiarze wypijali po zakończonej robocie. Druga część „Zeszytów” zawiera duże fragmenty pracy pana Edwarda Kwiatkowskiego pt. „Życiorys Wołyniaka”, w której autor ukazuje likwidację przez banderowców kilkunastu wiosek polskich na Wołyniu. Wszystko co tam się działo, opisane jest bardzo przystępnym językiem. Praca ta w jakimś stopniu ukazuje losy ludzi na Kresach, ich gehennę zarówno podczas okupacji radzieckiej jak i niemieckiej. Po likwidacji ustroju socjalistycznego w latach 90-tych ludzie zaczęli opisywać to, co na Kresach przeżyli, aby pamięć o tamtych strasznych czasach nie została zaprzepaszczona, - by przybliżyć losy Kresowian od 1939 roku do końca wojny. Władze komunistyczne z wiadomych względów nie chciały sytuacji zadrażniać i pisanie o Wschodzie było źle widziane. Tłumaczyło się, że Niemcy zamordowali w Katyniu polskich oficerów i konie, choć wszyscy wiedzieli, że prawda jest inna. Wywózki w 1941 roku - były także tematem tabu. Armia Andersa niby była, ale Polsce szkodziła, bo nie popierała komuny. Armia Krajowa, popierana przez ogół społeczeństwa polskiego, była źle widziana przez władzę. Na fali była Gwardia Ludowa.

Zeszyt zawiera: Jak jedli łukowianie Technika i rzemiosło na Łukowcu Ród Budzych (dziadek Karol i babcia Ewa) Tajemnice Łukowca

Obszerne fragmenty pracy Edwarda Kwiatkowskiego „Życiorys Wołyniaka” Różne informacje o Łukowcu, zdjęcia, listy

- stosunkowo nieliczne jej oddziały miały zabarwienie proradzieckie, a więc słuszne. A to, że większość Polaków o niej nawet nie słyszała, znaczenia nie miało. Aczkolwiek prawdy nie można ukrywać, że te oddziały także walczyły z Niemcami i często współpracowały z oddziałami AK i partyzantką radziecką. Na szczęście, nie czepiano się Kościuszkowców, bo gdyby tak naprawdę wiedzieli, co ci poszczególni żołnierze, głównie pochodzący z Kresów II Rzeczypospolitej myślą o ZSSR i komunie to też by wsadzili ich do jednego wora, wrogów państwa radzieckiego, które ze sprzymierzeńca Niemiec stało się nagle aliantem i potrafiło wykorzystać pozycję zwycięzcy. W konsekwencji Polska obok Niemiec poniosła największe straty terytorialne w Europie. Gorszą sytuację miały tylko małe kraje nadbałtyckie Litwa, Łotwa i Estonia, które całkowicie wymazano z mapy świata. To wyglądało, jakby świat oszalał i do państw faszystowskich zaliczył te, które Związek Radziecki napadł zdradziecko razem z hitlerowskimi Niemcami.

W części zatytułowanej „Tajemnice Łukowca” piszę o sprawach dotyczących okresu samoobrony, ukazując okropieństwa wojny i ludzkie zachowania w skrajnych sytuacjach. Pragnę również wyjaśnić, że tak duże fragmenty pracy pana Edwarda Kwiatkowskiego są przytoczone przede wszystkim dlatego, że przedstawiają bardzo złożony obraz wydarzeń na Kresach ze wszystkimi jej aspektami; ukraińskim, żydowskim, partyzantką radziecką stosunkiem Niemców do robotników przymusowych. Autor oprócz walk z Ukraińcami, przedstawia też zagładę Żydów. Obrazuje pewne aspekty działalności partyzantki radzieckiej, niekiedy współpracujących Polaków z Rosjanami i Niemcami. Dalsze fragmenty pracy to tułaczka rodziny autora po okupowanej Polsce i terenach dzisiejszego Dolnego Śląska (Legnica, Jelenia Góra), również po terenach dzisiejszych Czech. Autor przedstawia nam ludzi różnych nacji, sadystów, oprawców, morderców, oraz system pozwalający im funkcjonować w warunkach wojny i oku-

pacji (**fragmenty tej pracy publikuję za jego zgodą**).

Zamieszczam też trochę różnych zdjęć, między innymi otrzymaną od pana Konrada Leśniewskiego fotografię jego drużyny oraz kilka zdjęć dotyczących Łukowca. Prezentuję także dokumenty dotyczące mojej rodziny, aby jasne było, że to, co dotyczy mojego dziadka i ojca jest prawdziwe. Dobrze by było, aby krótka historia rodu Burdzych, zainspirowała jeszcze jakieś inne rodziny, które coś więcej wiedzą o swoich przodkach. Były przecież na Łukowcu rodziny wiele znaczące, ze względu na swą działalność w okresie wojny a także i na pozycję materialną czy wyjątkowe uzdolnienia. Dzieje wielu rodzin są mi nieznane. Wiele rodzin miało też swoje tradycje sięgające I Wojny światowej. Na Łukowcu było też koło inwalidów wojennych, straż pożarna, aktywiści chłopscy i społeczni. Losy wielu ludzi sięgały Legionów Piłsudskiego, armii generała Hallera, czy wojny polsko-bolszewickiej. Wiele Łukowian podejmowało też wyprawy za pracą poza granice kraju. W ostatniej części zamieszczam spisy mieszkańców Lipnicy, Brunowa. Zabłota. Kilka uwag dotyczy też różnych problemów kresowych i łukowieckich, a także kilku ciekawostek dotyczących wojny i Łukowca. Pewne informacje nie są pełne, np.: brakuje mi nazwisk ludzi wywiezionych na roboty do Niemiec czy listy osób, które zginęły na różnych frontach. Jeden z łukowian powiedział mi kiedyś, że będąc w czasie wojny młodzieńcem 19-22 letnim, nie miał potrzeby chodzenia na drugi Łukowiec. Wartował, należał do AK i to właściwie wystarczyło. Wykonywał jakieś drobne prace zlecone mu przez Edwarda Polaka i samoobronę i starał się to robić jak najlepiej potrafił. Twierdził, że w akcjach bojowych żadnego udziału nie brał, choć wie, że takie były i że wielu ludzi było mocno zaangażowanych w działalność Armii Krajowej i samoobrony. Na końcu pracy umieszczam wspomnienia i rozmowy z różnymi ludźmi o Łukowcu.

Życie na Łukowcu

(Rozmowa z panem Janem Kuchtą panem Grzegorzem Wosiem i panią Julia Gnojską o życiu na Łukowcu)

Pan Jan Kuchta opowiada:

Każdy gospodarz na Łukowcu miał krowy. Na ogół było ich w gospodarstwie kilka. Jedna krowa w gospodarstwie to była raczej rzadkość. Dominowała rasa sementalska. Były to krowy duże, koloru kremowego. Dawały od 5 do 8 litrów tłustego mleka. Doiło się je trzy razy dziennie. Każdy gospodarz hodował też świnię. Z drobiu chowano najczęściej kury, ale też kaczki i gęsi. Podobnie w sąsiednich wioskach Ukraińcy było dużo gęsi. Sporą część wyhodowanej zwierzyny w tym cielęta i świnię oraz produkty takie jak masło, jaja, ser, śmietana, sprzedawano w miastach. Jadło się trochę skromniej niż dziś, ale były przecież inne czasy. Rano był u nas żur z ziemniakami okraszony skwarkami. Na obiad kluski, naleśniki często też gołąbki, pierogi lub kasze albo kapusta z grochem czy fasolą. Dość popularne były też magaly zwane bombami. Robiono je z tartych ziemniaków z dodatkiem mąki a w środku był biały ser lub kapusta okraszone tłuszczem, były przepyszne. Z kasz dominowały; gryczana i jaglana rzadziej jęczmienna. Najczęstsze zupy to kartoflanki, mamałygi, ogórkowe grochowe, fasolowe, mleczne. Na kolację bardzo często było kwaśne mleko z ziemniakami. Gdy zabito świnie robiono kiełbasy, kaszanki, salceson, szynki, boczki, które to zalewano marynatą - był to roztwór soli saletry i cukru - po tygodniu takiego stania w tej marynacie wędzono takie boczki i szynki. Owoce to jabłka, gruszki, śliwy, wiśnie, czereśnie. Owoce na zimę suszono. Słoików tzw. weków nie znano. Jedzono na talerzach glinianych i ceramicznych. Łyżki metalowe, aluminiowe były w powszechnym użytku. Choć być może, że jedli i ludzie na drewnianych. Tych dużych drewnianych łyżek i chochli w kuchni było sporo. Beczki na kapustę i ogórki robili w naszym sąsiedztwie Prus i Babula. Popularnym napojem były suszone kwiaty lipy, z których robiono herbatę w okresie zimowym. Kupowano też kawę „Turek” i lemoniadę. W stawie łapano karasie, szczupaki płocie, krapie. W Dniestrze operowali raczej Ukraińcy, a także wędkarze ze Lwowa i Stryja. Była tam duża różnorodność ryb m.in.: karpie, sumy szczupaki, okonie, Gdy kra wiosną szła, sumy pływały koło brzegu i Ukraińcy często wyławiali potężne sztuki przy pomocy bosaków. Na moje pytanie dotyczące robienia bimbru na wsi pan Kuchta odpowiedział: Bimbru przed wojna we wsi nie robiło się (no może jakieś tam przypadki były). W czasie wojny to prawie w każdym domu była aparatura, bo to był wtedy bardzo chodliwy towar. Pani Julia Gnojska z domu Furtak mówi: Właściwie jemy i dziś podobnie jak wtedy. Chleb się piekło samemu. Barszcz był codziennie. Zostawiało się też zaczyn na następny dzień. Gotowało się i barszcz czerwony. Ziemniaki i warzywa przechowywało się nie w piwnicy, lecz, w grubie lub w kopcu. Gruba przypominała trochę swoją konstrukcją dach domu. Była jednak znacznie mniejszych rozmiarów. Taką konstrukcję przypominającą dach okrywało się słomą a potem jeszcze na tę słomę dawało się trochę ziemi. W zimie wchodziło się do środka gruby na ogół w pochylonej pozycji i wybierało ziemniaki, buraki czerwone, marchew, pietruszkę. Po wyjściu z tej grub-by zatykało się dokładnie otwór słomą. U twojego dziadka Faszynekiedra była już piwnica. My mieliśmy pięć krów. Dojono je trzy razy dziennie, każda na raz dawała po 5 litrów mleka - no może rano trochę więcej. Z warzyw uprawialiśmy cebulę, marchew, buraki czerwone, kapustę fasolę, ogórki, dynię. Ogórki i kapustę kisiło się w beczkach i całą zimę z tych beczek się je wybierało. Nasza gospodarka była duża - roboty było, co niemiara. Kutia, teraz robię ją co roku na święta Bożego Narodzenia. Na Łukowcu robiona była rzadko, tylko u niektórych gospodarzy. Popularniejsze były kluski z makiem i miodem. Owoce suszyło się w piecu zaraz po wypieku chleba a także w bratrurze. Z kukurydzy robiło się kasze i mąkę. Napoje to herba--ta, kawa zbożowa z dodatkiem cykorii. Rzadko, ale zdarzało się, że pito kawę prawdziwą.

Pan Grzegorz Woś mówi:

Jeżeli chodzi o owoce to oprócz śliw, jabłoni grusz, czereśni i wiśni - były jeszcze co prawda, rzadziej orzechy włoskie, a także morwy, gdzieś tam morele i winogrona. Uprawiano też agrest i porzeczkę czerwoną. Koło gospodyń wiejskich wprowadzało również truskawki i pomidory. Ja pomidorów nie jadłem, gdyż ich smak mi nie odpowiadał. Choć dzisiaj je jem. Dużo było nabiału; masła, sera, śmietany, także fasoli. Nie obcy był bób i soja. Dość popularna była fasola i fasola duża zwana „Jasiem”. Ojciec mój miał kilkanaście uli. Miód stał w słojach. Ule jak trzeba było, to robił sam. Dużą pasiekę miał Baran Wojtek, który wyrabiał jeszcze dodatkowo woskowe gromnice na zamówienie, Do miodu mieliśmy też wirówkę. W gospodarstwach przeważnie hodowano krowy, ale np. u sąsiada Sendyki były i kozy. Te kozie wyroby były droższe od krowich. Koni wcale tak dużo nie było. Z tego, co pamiętam ojciec obrabiał pole Sendyki i Chrapka. Twojego dziadka Faszynkiedra pole obrabiał jego szwagier Wojciech Janusz. Ja osobiście za mięsem nie przepadałem. Na ogół dwa razy w roku przeciętny gospodarz dokonywał uboju, najczęściej były to świny. Ale mięsa za dużo ludzie nie jedli. Radzono sobie różnie. - Było nieraz i tak, że gospodarz zboża nie wymłócił naraz, tylko stało ono w stodole w snopkach i tak cepami je po trochę obijał. Czasem i skończyło się zboże, a do nowego trzeba było dwa, trzy tygodnie doczekać. Poplony były powszechne. Była to gryka, proso, rzepa. Ze zbóż najpopularniejsze było żyto a później owies i jęczmień. Nieco rzadziej siano pszenicę i kukurydzę. W słojach przechowywano na zimę soki, które konserwowało się cukrem. Nawet jak sok wiśniowy czy jagodowy przefermentował, to nie tracił żadnych walorów smakowych. W lasach było dużo malin i poziomek. Wprost były urodzaje na te owoce. Grzyby występowały podobnie jak tu na Śląsku prawdziwki, kozaki czerwone i białe, opieńki, kurki. Ciasta, podobnie jak dzisiaj, były to: makowce, kruszonki, babki, jabłeczniki, ciasto drożdżowe, wspaniałe serniki drożdżowe, bułeczki z serem słodkim w środku lub z marmoladą pączki, chrusty itp. Kutii powszechnie nie znano. W niektórych domach, gdy Polak ożenił się z zasiedziałą od kilku pokoleń rodaczką - to ją robiono. Także kontakty świąteczne Ukraińców i Polaków, które były przecież na porządku dziennym we wsiach mieszanych, przyczyniły się do popularyzacji tego smakołyku. Słyszałem też, że Ukraińcy wróżyli sobie z kutii, rzucając ją o powalę i z tego, co tam się zawiesiło, przepowiadali sobie plony na najbliższy rok,

Paczkowski Kazimierz mówi: To prawda, że posiadanie jednej krowy było rzadkością ale tacy biedniejsi gospodarze jednak byli. Pamiętam też tych najbogatszych: Jarosz Michał miał 6 krów i buhaja zarodowego. Podobnie u Cubera Feliksa też było 6 krów. Duże gospodarki były u Wolaków, Stepniów i Krycińskich.

Sklepy

Mam księgę sklepu mojego dziadka Antoniego Faszynkiedra za lata 1934-1939 (formalnie sklep należał do Zofii Ziemiańskiej - teściowej dziadka). Na przykładzie tego sklepu (a było ich na Łukowcu 6-8) jestem w stanie podać co ludzie kupowali. Jakie było zapotrzebowanie na towar (dziadek rozliczał dochody i wydatki w odstępach cotygodniowych). Jak wyglądał asortyment zakupywanego towaru, przedstawiam poniżej, na przykładzie czterech tygodni wyrwanych z 1934, 1935, 1936 i 1938 roku. Także z tych tygodniowych rozliczeń można zorientować się, jakie były koszty i zyski sklepu. Najważniejszy jednak jest towar, jaki ludzie kupowali. Zwraca uwagę fakt, że co tydzień szło około 50 do 100 kg soli, także, co tydzień lub dwa kupował dziadek na potrzeby sklepu świnie. Dwie trzy paczki piwa kałuskiego jasnego i ciemnego, a także pieczywo, tytoń, drożdże, cukier, machorkę, zapalki. Rzadziej kupował naftę, miód, lemoniadę, bingo, czyli spirytus, albo benzynę. Również kupował zboże na mąkę (żyto, owies, pszenicę). Mamy też zapis, że wywoził jaja do miasta (120 szt. do Stanisławowa). Sklep miał najprawdopodobniej typowe obroty - choć był on jednym z większych na Łukowcu. Wśród osób, które z dziadkiem stale współpracowały (przywoziły towar) należy wymienić takich gospodarzy jak: Dziubaka, Korczyńskiego, Chmurę, Wolaka,

Janusza, Maciaga, Kućmę, Puzia, Krycińskiego, Iskrę, Małkowicza. Rzeźnik Cisowski zabijał na potrzeby sklepu świnie, kupowane najczęściej u gospodarzy na Łukowcu. Piwo zamawiał stale u Obiera w Chodorowa - pośrednika w handlu tym towarem.

ROZLICZENIA TYGODNIOWE SKLEPU

Roschód

Przychód

30/XII 1934	1/2 litra białego	545	30/XII	Dzienny utarg	3500
- " - "	1 p. piwa gorzkiego	1800	31/XII	- " - "	5000
31/XII	1 p. - " - "	1800	1/I	- " - "	12000
- " - "	kapusta	850	2/I	- " - "	4000
- " - "	pietruszka z Biskupstwa	1404	3/I	- " - "	2000
- " - "	1/2 kg drożdży	210	4/I	- " - "	14000
1/I 1935	1 p. piwa mieszanego	1850	5/I	- " - "	6000
- " - "	50 kg soli	1648	Tygodniowy utarg		51500
3/I	1 p. piwa gorzkiego	1800	- " - "	roschód	49984
- " - "	Maciągowski z Biskupstwa	1525	Kasa wgl		1216
- " - "	Kupiono żyta 35 kg	490			
- " - "	Flora wzięła gotówki	200			
- " - "	do Chodorowa na towary	8150			
4/I	1/2 kg drożdży	210			
- " - "	do Biskupstwa na towary	22050			
5/I	50 kg soli	1252			
- " - "	Iskne renta za swinię	2600			
- " - "	1/2 kg kaszkielto	550			
Tygodniowy roschód		49984			

Rorchoł

Trzechł

28/1	1935	50 kg soli	1652
-	-	6 - cukru kost i gr	815
-	-	piernikowo z cukrem	2524
29/1	-	zinek kwasu na syce flot	500
30/1	-	zinek kwasu na dostawę towaru	1000
-	-	1/2 kg oleistych	210
-	-	5 kg karkasy	180
31/1	-	50 kg soli	1652
1/2	-	tyto	6313
-	-	piernikowo z cukrem	380
-	-	8 kg cukru	1088
-	-	1 p. piwa czarnego	1900
2/2	-	1 p. - - - - -	1800
-	-	piernikowo z cukrem	162
-	-	15 kg cukru	240
Wygodniowy rorchoł			20416

28/1	Trzechł	6000
28/1	-	2500
29/1	-	3500
30/1	-	4000
31/1	-	4000
1/2	-	15000
2/2	-	11000
Wygodniowy utarg		46000
Trzechł		20416
Kasa w ogółu		25584

Rozchód

Przebieg

1936	120 szt. 1/2 kg sto. Kiełbasa	500	10/12	Druciny stary	12 00
-	10 szt. 1/2 kg sto. Kiełbasa	460	11/12	-	55 00
-	10 szt. 1/2 kg sto. Kiełbasa	1105	12/12	-	30 00
-	1 kg kisielnicy	340	13/12	-	40 00
1/8	1 kg kisielnicy	288	14/12	-	50 00
-	1 kg kisielnicy	4234	15/12	-	52 00
-	1/2 kg drożdży	210	16/12	-	63 00
19/12	1 kg drożdży	2340	-	Przebieg stary	312 00
-	5 kg papirusu	225	-	Przebieg stary	121 49
3/12	3 kg kisielnicy	540	-	Kasza jagol	100 51
1/2	1/2 kg drożdży	210	-	-	-
-	1 kłb. kisielnicy	20	-	-	-
15/12	1 kg drożdży	1622	-	-	-
-	1 kg kisielnicy	1850	-	-	-
-	50 kg soli	1500	-	-	-
-	1/2 kłb. kisielnicy	455	-	-	-
-	10 kg kisielnicy	2200	-	-	-
1/12	5 kg kisielnicy	510	-	-	-
-	1 kg kisielnicy	435	-	-	-
-	1 kg kisielnicy	1850	-	-	-
-	Przebieg rozchód	22149	-	-	-

Rozchód

Przychód

938	Jedna paczka piwa czarnego	1750	13/II	Dzienny utarg	6000
-	50 kg soli	1500	14/II	-	6500
-	piernik z kumawca	186	15/II	-	5000
-	tytoń	2304	16/II	-	5500
-	zapalki	190	17/II	-	4000
-	piernik z Chodorowa	800	18/II	-	4000
-	Jedna paczka piwa miedziowego	1650	19/II	-	6300
-	tytoń	4662		Dzienny utarg	4000
-	torby	100		- rozchód	35341
-	piernik z kumawca	450		Muska gotowa	5029
-	wykupienie mydła "Pianicki"	6835		Wynosiący z masek	
-	- - - - -	421		od J. Giermugi płatny	
-	405 - - - - -	615		10. II. 1938 r. na 50 zł	
-	piernik z kumawca, drożdże	535			
-	za wina kicierekę tytoniową	1650			
-	Jedna paczka piwa miedziowego	100			
-	10 szt. reszty 16 kurtk. 10 szt. reszty 16	4200			
-	Dziennikowa dostawa towaru	450			
-	piernik z Chodorowa	1500			
-	50 kg soli z kumawca	70			
-	1 k. benzyny	5300			
-	200 kg porzeczki od Wolaka	35341			
-	Dzienny utarg rozchód				

Różne informacje o Łukowcu

Łukowiecka technika

Pan Jan Kuchta mówi: Trudno mi dzisiaj wyliczyć dokładnie ile kieratów na Łukowcu było, ale myślę, że to urządzenie znajdowało się w co piątym, no może, w co siódmym gospodarstwie. Pamiętam, że mieli je tacy gospodarze jak:

Jarosz Michał

Kuchta Jan

Roguski Jan

Roguski Maciej

Tęcza Bartosz

Dudek Wojciech miał kierat wiatrak i żarna a nawet agregat.

Dudek Stanisław

Kobylarz Walenty

Bal Bartłomiej

Woś Leopold

Burdzy Tomek

Burdzy Franek

Dec Franciszek

Babula Władysław

Babula Franek

Martka Wojtek

Turbak Jan

Hodor Stanisław

Miśkiewicz Jan

Probala

Cuber Feliks i wielu jeszcze innych gospodarzy.

Kuźnie

Władysław Bak miał na Łukowcu Żurowskim kuźnię. Na Łukowcu Wiśniowskim kuźnia należała do pana Korzystki. Jadach miał kuźnię w Nowoszynach, a drugą kuźnię w Nowo-szynach miał Józef Bak.

Kuźnia Władysława Baka wyposażona była w miech, kowadło, imadła gwintowniki, klucze, mutry. Najczęstsze prace to kucie koni, naprawa wozów, robienie lemieszów do pługów, wykonywanie kołowrotów do wozów, wykonywanie i naprawa broni oraz różnego rodzaju sprzętu rolniczego. Pan Bak naprawiał też bryczki np.: księdzu Dacy. W czasie wojny Burdzy Józef dał mu wóz rusznikarski pozostawiony po polskiej armii. Jak opowiada syn pana Baka - Jan: Było tam pełno rurek mosiężnych i z tego ojciec wyrabiał zapalniczki a denka robił z polskich monet. Pozostał mu jeszcze klucz francuski po ojcu, bo i po wojnie jakiś czas w Brunowie ojciec nadal trudnił się kowalstwem. W czasie wojny Niemcy zakontraktowali na Łukowcu sporo tytoniu i ojciec robił maszynki do krojenia tego tytoniu. Można je było tak ustawić, że cięły tytoń drobno lub grubo. Jan Kuchta mówi, że Bak potrafił też ze zdezelowanego radia tak te słuchawki pomontować, że mogło go słuchać kilku ludzi na raz. Każdy miał tylko po jednej słuchawce przystawionej do ucha, co już wyglądało na poważne rozwiązanie techniczne. Na Łukowcu było wielu ludzi o różnych specjalnościach. Szott był szewcem a Babula Józef - stelmachem, Turbak - rymarzem, Prus Jakub - stelmachem, robił też beczki, a Korzystka na Łukowcu Wiśniowskim był bardzo dobrym kowalem. Pasiaki były m.in. u Turbaka, Dudka Wojciecha, Wosia Leopolda, Jeńca, Babuli, Kuchty, Kachela

Franciszka. Barana Wojciecha. Zespół muzyczny tworzyli Jeńcy: Kazimierz, Wojtek, Michał, Franek (skrzypce, trąbka, klarnet) oraz Kwiecień Józek - bęben. Był też drugi zespół z Choleszowskiej - Miśkiewiczów puzon- Józek Tęcza, klarnet -Michał Skrybant, akordeon Miśkiewicz Jan).

Partyka Jan, uczył też gry na skrzypcach - choć był niewidomy. Chodził do domów sąsiadów, do swoich uczniów, miał tak policzone odległości krokami, że nigdy się nie pomylił z dojściem do właściwego domu.

Areszt

Areszt na Łukowcu znajdował się koło kasy Stefczyka, koło dużego boiska. Był to mały okratowany budynek. Kućma Stanisław tam przetrzymywał drobnych złodziejasków, których po wymierzeniu kary - laniu - na ogół wypuszczał. Gdy sprawa była poważniejsza po aresztanta przyjeżdżała policja.

Młockarnie szychtówki

Były one na Łukowcu dość popularne (mówi Jan Kuchta). Uruchamiał je kierat. Od niego do młockarni szła transmisja. Młockarnię obsługiwało w zasadzie czterech ludzi jeden podawał snopki, drugi był przy maszynie, trzeci stał za gardłem a czwarty wytrząsał słomę (wydaje mi się, że i przy kieracie musiała być 1 osoba, aby pilnować czy koń lud konie, których czasem było trzy a nawet cztery dobrze chodzą).

Tkacze

Wielu ludzi tkalo len, ale tymi najbardziej znanymi, jak mówi pan Kuchta byli: Paczkowski Stefan na Łukowcu Żurowskim i Malec Franciszek na Łukowcu Wiśniowskim. Także pan Dziuba Józef robił płótno z konopi.

Mydło

Jan Kuchta mówi: „W czasie pokoju mydła nie brakowało. W sklepach najpopularniejszym było mydło „Jeleń” Jednak po wkroczeniu wojsk rosyjskich a potem niemieckich z tym towarem było kruczo. Łukowianie więc zaczęli je robić sami. Na wywarach z resztek zabitej świni czy zdechłej kury. Zlewało się taki wywar i dodawało sody kaustycznej i po odstaniu było gotowe mydło szare. Gdy tłuszczem było masło wtedy mydło miało zabarwienie białe. Można było i stosować do produkcji mydła łój i inne tłuszcze. Wyrabiano też ług drzewny Przesiewano popiół drzewny z drzewa liściastego przez sito do cebrzyka czy jakiejś wanny i zalewano go gorącą wodą - po odstaniu przez jeden dzień można było już nim prać na rajbetce drewnianej lub metalowej. Słyszałem też raz, że i mój dziadek Karol Burdzy wyrabiał mydło doraźnie w brytfankach razem z Jasiem Majdańskim - stolarzem. Gdy zapytałem Tadeusza Majdańskiego, mieszkającego obecnie w Szczecinie, jak to w ogóle wyglądało - stwierdził, że pamięta tylko to mydło w metalowych brytfankach i że po prostu rodzina się nim podzieliła.

Żołnierze z Łukowca uczestnicy wojny obronnej 1939 r. i pobrani do I i II Armii Wojska Polskiego

O tych ludziach już pisałem, ale jakiś, chociaż częściowy wykaz im się też należy. Było ich kilkudziesięciu m.in.:

1. Kwiecień Józef
2. Franciszek Martka
3. Franek Opiola (wcielony do armii radzieckiej)
4. Kubala Józef (nie powrócił z wojny)
5. Chudzik Władysław (nie wrócił z wojny 1939 r.)
6. Franciszek Drozd (uciekł z transportu rosyjskiego wieziony na zagładę)
7. Gwoździeński Antoni
8. Majdański Józef

9. Ostrowski Józef
 10. Halicki Józef (zginął niedaleko Kołobrzegu)
 11. Babula Stanisław.
 12. Babula Ludwik
 13. Iwanicki Kazimierz (doszedł do stopnia pułkownika)
 14. Tacza Kazimierz (zginął w Kołobrzegu)
 15. Michał Cygan (nie powrócił z wojny)
 16. Marcin Kozioł - wojsko polskie (II armia)
 17. Ziemiański Józef- doszedł aż do Berlina
 18. Dudek Kazimierz - II armia Wojska Polskiego
 19. Pasek Kazimierz (oraz poniżej wymienieni - II armia WP)
 20. Popek Józef
 21. Nitek Antoni
 22. Cygan Emil
 23. Cygan Jan (doszedł do stopnia kapitana)
 24. Babula Stanisław
 25. Wojtowicz Wiktor i jego brat
 26. Marut Edward
 27. Paczkowski Mieczysław
 28. Jesionka Stanisław
 29. Skrybant Józef
 30. Cuber Feliks i inni
- (nie liczę tu ludzi z armii Andersa: Chmura Wiktor, Cebula, Dul Andrzej, Faszynkieder Antoni, Burdzy Stanisław, Starkiewicz Stanisław, Kopala Władysław i inni).

Burdze (Burdzowie) - RÓD NIE TYKO ŁUKOWIECKI

W dokumentach mojego ojca znalazłem między innymi drzewo genealogiczne rodziny Burdzych. Wiem, że sięga ono korzeniami mojego prapradziada urodzonego najprawdopodobniej w pierwszej połowie XIX wieku. Szymona Burdzego, który miał 6 synów i 1 córkę . Owa córka wyszła za mąż też za Burdzego (był nim najprawdopodobniej ojciec Burdzego - Władysława „Maska”). Trzecie pokolenie Szymona Burdzego to 20 chłopców i 20 dziewczyn. Jeden z tych 20 chłopców (oznaczonym w przedstawionym drzewie genealogicznym numerem 40) - to mój dziadek Karol - urodzony w 1896 roku. I chociaż pewien jestem, że nie wszyscy Burdzowie pochodzący z okolic Łukowca znajdą swoich przodków w tym drzewie, to faktem pozostaje bezspornym, że potomków Szymona Burdzego i Zofii Wiśniewskiej żyje dzisiaj kilka tysięcy, rozsianych nie tylko po całej Polsce ale i po całym świecie. W kilku przypadkach Burdzy, żenił się z Burdzym. Ten fakt też trzeba uwzględnić. A także i w kilku przypadkach mówiono mi, że np. to nie był Tomek tylko Marcin albo nie Wojciech a Grzech. Tym niemniej, jeżeli nawet jakiś taki błąd znajdzie się i tak nie umniejsza on znaczenia dokumentowi. Obejmującemu jedną z gałęzi rodziny Gałąź sięgającej blisko 200 lat do tyłu. Bardzo duża grupa Łukowian jest też w stanie znaleźć jakieś związki z naszą rodziną i to zarówno przedwojenne jak i te całkiem późne, już po II wojnie światowej. Bowiem Łukowianie mieszkając na Ziemiach Zachodnich chętnie, żeniły się pomiędzy sobą. Drzewo opracował, jak już wspomniałem, mój ojciec gdzieś w latach 1970-1980. Był wtedy w radzie miejskiej Lubina. Ponieważ w tym czasie nasiliło się zainteresowanie rodowodami. Jako radny, ojciec zaczął opracowywać swój rodowód. Pozostawił go na firmowym papierze miasta Lubina. Drzewo obejmuje XIX i początki XX wieku. Burdzowie, którzy nie znajdą w drzewie swoich przodków nie powinni się tym

\

zbytньо przejmować. Bo u Burdzych wprawdzie pokrewieństwo się też liczyło, ale wielu na pierwszym miejscu stawiało nazwisko i przekonanie o wywodzeniu się z jednej wsi i jednej wspólnoty. Na zasadzie: „Ja Burdzy i ty Burdzy a więc jesteśmy braćmi”. Wszyscy oni przyjechali ze wsi Burdze z powiatu Nisko, wieś istniejąca do dzisiaj w Puszczy Sandomierskiej (8 km od Stalowej Woli). Zasada pokrewieństwa rozciągana była i na innych; gdy np.: jakaś babcia mówiła, że jej mama jest z Burdzych, zaraz traktowano rodzinę przyjaźnie. Dzisiaj w Brunowie nie mieszka ani jedna rodzina o nazwisku Burdzy, ale roznosząc Zeszyty Łukowieckie w wielu domach powiedziano mi, że moja mama czy babcia była z Burdzych co mnie mocno zdziwiło, bo choć wiedziałem, że jest tam kilka rodzin spokrewnionych, to nie zdawałem sobie sprawy, że jest ich aż tak dużo. Tym bardziej, że ja tam byłem najwyżej, w co czwartym domu. Gdy zapytałem pana Edwarda Sabata o „legendę” dotyczącą silnych związków rodzinnych u Burdzych, określił tę sytuację tak: Oni stanowili jeden z najsilniejszych klanów rodzinnych na Łukowcu. Trzymali się mocniej i mocniej się wspierali zgodnie z powiedzeniem, że: „Burdzy za Burdzym wskoczyłby w ogień”. Zapytałem pana Kurenia (93 lata) - na czym ta solidarność Burdzych polegała. Odparł mi na wpół filozoficznie: „To byli nawet życzliwi ludzie, ale jak z jednym zadarłeś ośmiu się do ciebie nie odzywało i dopóki z tym jednym się nie pogodziłeś mowy nie było, żeby inny z tobą gadał”. Podobnie powiązani więzami krwi pomagali sobie nawzajem i inne rodziny np: Krycińscy, Janusze czy Miskiewiczze. Jan Kryciński mówi: „W naszej rodzinie chłopaków od kilkunastu do dwudziestu paru lat było aż 12 i myśmy też trzymali się wszyscy razem” a rodzina Krycińskich, co dodawało jej jeszcze splendoru, należała do najbogatszych we wsi). Jedną z takich anegdotycznych zdarzeń charakteryzujących stosunki wśród Burdzych opowiedział mi ojciec: Wracając na Łukowiec z jakiejś libacji dwaj Burdze, jeden duży a drugi mały - bili się na drodze. Wyglądało to tak, że ten duży od czasu do czasu podbiegał do tego małego i spuszczał mu łomot. Sytuacja stale się powtarzała. Z Łukowca z kolei do ukraińskiej wsi szedł człowiek i widział całe zdarzenie. Po prostu doszedł do wniosku, że temu małemu należy pomóc. Zresztą obaj wyglądali na nieźle podchmielonych, więc i sprawa wydawała się „do szybkiego załatwienia”. Gdy zrównał się z Burdzykami nie wiele myśląc rzucił się na większego z krzykiem: „Bydlaku, jak ty możesz tak bić tego małego człowieka”: Doszło do szarpaniny, która nie wiadomo jakby się skończyła bo Ukraińiec ułomkiem nie był. Niestety ciosy, które otrzymał od tyłu całkiem go zdezorientowały. To mały Burdzy z całym impetem i determinacją rzucił się na niego od tyłu i spowodował, że Ukraińiec upadł na ziemię. Po kilku kopniakach od obu - usłyszał słowa: „Głupku, po co się do Burdzych wtrącasz”. I kiedy się podniósł, zobaczył w oddali dwóch ludzi w przyjaznym uścisku oddalających się w kierunku Łukowca .

Wśród tych anegdot się wychowałem. Wielu opowiadań przekazanych przez dziadka Karola mam jeszcze i dzisiaj w pamięci. W tych opowiadaniach dziadka oprócz chwały Burdzych: A to ten był kawalerzystą, a to ten w wojsku też dzielnie służył, były i rzeczy, których należało by się dzisiaj zwyczajnie wstydzić. Omal nie zamordowali Mazura. W jakiejś szarpaninie dostał nożem. Podobno jeden z Burdzych przyznał się dopiero na łożu śmierci, że to on pchnął niepotrzebnie tego człowieka. Bez względu na winę czy sytuację a nawet charakter tego człowieka, sprawa była bardzo brzydka. Nie wiem jak to się stało, że nikt za to nie odpowiedział, a nawet dziwnym trafem ludzie za to niewątpliwe świnstwo Burdzym szybko to zapomnieli. Raz też jeden z Burdzych wrócił do domu na fleku, położył się koło dziecka (chłopczyka) i niechcący udusił syna. Szalał potem ze zgryzoty. Innego ugryzł wściekły pies i zmarł w straszliwych mękach. Imion tych stryjów nie znam, ale zdarzenia są prawdziwe. Wiem też, że jeden z Burdzych -Marcin, uczył się na księdza. Wszedł do stawu na Łukowcu pod osłoną trzcin. Niestety na drugiej stronie stawu ktoś polował, myślał, że w trzcinach spłoszyły się kaczki - strzelił. Jedni mówili, że się utopił a inni, że został po prostu przypadkowo zastrzelony. Był to syn Tomka Burdzego. Moja mama, która do Burdzych

nie miała już tak sympatycznego stosunku mówiła nam ciągle, że: „Bez pasa Burdzyka się nie wychowa”. I często mnie i bratu za byle co sprawiała manto.

Ogółem, w czasie wojny i zaraz po niej zginęło 7 lub 8 Burdzych od Ukraińców, Niemców Rosjan, UB. Pozostawili oni często liczne rodziny, które musiały radzić sobie same. Myślę tu o rodzinie Franka Burdzego i Władysława a także Adama czy tego zamordowanego na Korczynku Jana, o którym pisze pan Kaflowski. Stanisław Burdzy (brat cioci Baranki) zginął w armii Andersa. Prawda jest i taka, że takich rodzin a nawet takich, które poniosły jeszcze większe straty, było na Łukowcu sporo. Matki musiały chować gromadki dzieci. Choćby pani Wróblowa - Rosjanie zabili jej męża a ona została z 4 niepełnoletnimi synami. Kubala Józef nie wrócił z wojska, Władysław Stadnik zginął od przypadkowej kuli, podobnie Józef Rejman. Przewięda Józef na całe życie został kaleką, Dziuba Józef nie wrócił z Syberii. Z wywiezionych rodzin Starkowiczów i Ziemiańskich większość wymarła na Syberii. I

specjalnie nikt się nad takimi rodzinami nie użalał. Na ogół musiały sobie radzić same. Duże grupy chłopców i ludzi z Łukowca pracowały w łańdystach - na potrzeby Niemców. Osobną sprawą jest też wywózka na roboty do Niemiec ludzi z Łukowca. Była przynajmniej jedna wywózka przymusowa na roboty do Niemiec 20 osób. Po wojnie żołnierze z I i II armii wojska polskiego i ludzie wywiezieni na roboty szukali nieraz swoich po kilka lat.

Dziadek Karol Burdzy i babcia Ewa

Dziadek mój Karol był na Łukowcu lubiany. Należał do tych najspokojniejszych Burdzych. Zwad z nikim nie szukał. Jego krótki życiorys przedstawia się tak: Gdy wybuchła I wojna światowa próbował (to informacja od mojego ojca) wstąpić do Legionów. Nie miał jednak szczęścia. Trafił na jakiś taki okres, że przez trzy dni nie było, co jeść. Więc przeszedł do wojska austriackiego. I walczył w I wojnie światowej po stronie austriackiej. Gdy Austriacy cofnęli się w góry, został w Karpatach ranny. Po prostu szrapnel pod nim się rozerwał. Przez kilka miesięcy leżał w szpitalu na Węgrzech (tak naprawdę na Słowacji w Koszycach). Ale dziadek zawsze mówił: „Leżałem na Węgrzech w Koszycach”, co w stosunku do tamtego okresu i podziału Austro-Węgier jest historycznie słuszne. W wyniku zranienia stracił oko, miał też kilka draśnięć w rękę i nogę. Wspominał, że Węgrzy, których wielu leżało w tym szpitalu byli do niego wyjątkowo przyjaźnie nastawieni. Szafki miał pełne jedzenia. Każdy Węgier odwiedzający swoich chorych obowiązkowo przychodził do niego i coś mu wciskał. Tak, że tytoniu, ciasta i owoców miał pełno, a ponieważ nie palił, więc po prostu oddawał tytoń innym rannym. W okresie międzywojennym dostawał dziadek rentę wojskową. Ile tego było - nie wiem. Raz słyszałem jak powiedział: porządnej krowy by się za to nie kupiło, bo za taką trzeba było dać od 70 do 100 zł, ale jak by się uparł to, jak to powiedział kiepską krowinę można by i za to dostać. Więc mogło być tej renty jakieś 40-50 zł. Dziadek prowadził na Łukowcu kilkunastomorgowe gospodarstwo rolne (miał 16 mórg a później 12) i z tych dwóch źródeł utrzymania żył. Po II Wojnie Światowej też otrzymywał jakąś małą rentę, ale, w porównaniu z 40-50 zł z okresu międzywojennego były to już marne grosze.

Wiem jeszcze, że w wojnie bolszewickiej powołano go na tyły i tam rozbijali Ukraińców. Wyglądało to tak, że jak podejrzewali, że we wsi jest broń, to ją chłopom ukraińskim zabierali. Nieraz i przy pomocy przymusu fizycznego. Dziadek był tam podobno tylko dwa lub trzy miesiące w charakterze woźnicy. Opowiadał, że gdy szli za frontem, to ciągle natrafiali na polskie wioski i polskie kościoły. Mieszkańcy tych wsi nie mówili po polsku, ale byli Polakami.

Dziadek w wieku 24 lat ożenił się z Ewą Małkowicz, wdową po Małkowiczu. Rodowe nazwisko babci - Tęcza. Miał dziadek tylko jedno dziecko, mojego ojca Mariana powszechnie nazywanego na Łukowcu „Maryjankiem” dla odróżnienia od innych Marianów. Ojciec już przed wojną zaczął chodzić do Liceum Ogólnokształcącego i jak przyszli Rosjanie zrobili z niego księgowego kooperatywy (spółdzielni). Było to chyba bardzo poważne stanowisko. Rosjanie trafili jednak fatalnie, bo ojciec Rosjan całe życie nie cierpiał. Czasem coś robił, co musiał jak np. nauka w szkole za ruskich, ale on był Polakiem, katolikiem i tym ze Wschodu nigdy tak zresztą jak i Dziadek, ale to przenigdy nie wierzył. Babcia, choć była od dziadka 12 lat starsza, była kobietą przewspaniałą. Po ożenku córek (jedna wyszła za Starkiewicza Jasia, druga za Majdańskiego Jasia -stolarza). Żyła na Łukowcu i cieszyła się ojcem. Trzeba jeszcze wspomnieć o Franku Małkowiczu jej synu z pierwszego małżeństwa. (przyrodnim bracie ojca), który zmarł na gruźlicę na Łukowcu. Babcia w trakcie małżeństwa z Małkowiczem była dwa razy w USA - za chlebem. Raz 2-3 lata, a drugi raz aż 8. Mieszkali w Pasajku. To tam - jak ona mówiła - Franek Małkowicz nabawił się gruźlicy. Wziął udział w jakimś biegu ulicznym, przemókł a potem już - jak mówiła, ciągle tylko kaszłał. Powrócił jeszcze na Łukowiec z Ameryki i tam umarł. Babcia i dziadek bardzo mnie kochali. Byłem ich ulubionym wnuczkim. Spałem od najmłodszych lat z nimi i byłem przez nich jak na warunki panujące na Wałach Śl. hołubiony. Babcia była życzliwa ludziom, pracowita jak pszczołka, ciągle nuciła religijne pieśni i była moim przyjacielem do końca swoich dni: Zapamiętajcie „Nie szukajcie przyjaciół daleko, ci najwięksi są blisko Was”. (Gruźlica w okresie międzywojennym zbierała straszliwe żniwo - sporo ludzi na nią chorowało i umierało. Raz ojciec mi powiedział, że była rodzina na Łukowcu z której tylko jedna osoba przeżyła reszta - wymarła.)

W naszym domu ciągle mówiło się o Burdzych, gdzie mieszkali, gdzie powyjeżdżali. Dlaczego ten a ten zginął? Kogo należy odwiedzić. Dziadek wszystkich znał a ja słuchałem i tych wszystkich stryjków, wujków, poranionych, pozabijanych, uciekających przed Niemcami czy Ruskimi miałem codziennie po dziurki w nosie. Kuba Burdzy siedział po wojnie w więzieniu tylko, dlatego, że będąc w wojsku, jakiemuś kapusiowi powiedział, że jego rodzinie pomaga Polak z Ameryki, który rodziny nawet nie zna. Jak ta sprawa wyglądała dokładnie nie wiem ale wiem, że siedział 4 lata. Słyszałem tylko, że jakiś Polak w Ameryce poszedł do księdza, który przyjechał z Polski i powiedział: Jak znasz w Polsce jakąś rodzinę, która potrzebuje pomocy to będę jej trochę pomagał. Ksiądz ten przypomniał sobie, że Władek Burdzy jest na Syberii a dzieci jest tam dziesięcioro i dał chłopu adres. Ile on rodzinie pomógł nie wiem. Komunistów to jednak zabolalo i uznali że Kuba to szpieg, bo z Ameryki rodzina dostaje paczki. Taką mieliśmy rzeczywistość. I jeszcze kilka słów o dziadku. Jak spotkał na ulicy nieznanego pytał go - nie co robi, czy po co przyjechał, ale skąd pochodzi. A ponieważ większość ludzi była z Kresów, zawsze miał coś z nimi do pogadania, coś im wyjaśniał albo ...oni jemu. A ja musiałem to podziwiać. Raz nawet w Bukowicach znalazł rodzinę. O nazwisku „Szabat”. Gdy ojca zapytałem - Czy to w ogóle jest możliwe - Ojciec zdziwiony odrzekł - No tak, przecież jego żona jest z domu Burdzy. Więc odwiedzaliśmy naszą nowo odkrytą rodzinę. O ojcu powiem tylko tyle, że to, co dziadek czuł, czuł i on. Miał tylko nieco poszerzone argumenty. Na zakutego komunistę mówił „to czerwony Burek” znaczyło to że: „Polaka w nim już niewiele zostało”. W Starym Wołowie przez jakiś czas po wojnie siedział z Wojtkiem Ślepokurą - potrafili jednak dogadać się z tymi co ich tam trzymali i jak mówiła mama; raczej tam pili a nie byli więzieni... a ja wrywałam sobie włosy z głowy i myślałam dzień i noc jakby ich ratować - popożyczałam pieniądze, bo ktoś jej powiedział, że jest szansa na wykupienie ojca. Ojciec mówił, że w Wołowie ginęli ludzie. Chodziłem do równoległej klasy w Liceum w Brzegu Dolnym z Wojtkiem Hertleinem synem polskiego przedwojennego majora. Ojciec mówił, że jego UB

wykończyło. Ojciec w początku lat pięćdziesiątych skończył studia i pracował jako główny księgowy na budowie elektrowni wodnej Wały Śląskie. Później w Rokicie w Brzegu Dolnym. Po przeniesieniu się do Lubina jako główny księgowy w Legnicko - Lubińskim Przedsiębiorstwie Budowlanym a później w Inwestycjach w Zarządzie KGHM, ZG Rudna i w Inwestycjach w Zakładzie Transportu KGHM. Miał ojciec jakieś zasługi dla Technikum w Brzegu Dolnym, gdzie przez 8 lat był nauczycielem dochodzącym. Jednak po tym czasie wyrzucono go za nazbyt katolickie jak mówił poglądy i bzdurne oskarżenia. Nawet takie, że przed każdą lekcją się żegna. Albo, że trzymał pod rękę biskupa, który odwiedził wieś Warzyń gdzieś w latach 1963-1965. Podobno Dyrektor powiedział, że nic do niego nie ma, ale ma partia... Ojciec odpowiedział, że jest katolikiem, ale przed lekcjami się nie żegna. A na Warzyniu w czasie wizyty biskupa był. Nie trzymał go jednak pod rękę - a gdyby nawet trzymał, to byłby to dla niego zaszczyt!. Ojciec popierał też powstanie Liceum Ogólnokształcące w Brzegu Dolnym, którego pierwszym Dyrektorem i właściwym twórcą był Stanisław Watras - łukowianin o czym już w Zeszytach kilka razy wspominałem. Gdy raz podważyłem zasługi ojca dotyczące powstania Liceum od mojej mamy otrzymałem reprimendę i wyjaśnienie, że to ojciec dał Staszce dwie córki do pierwszej powstającej klasy, bo stanu osobowego w ogóle nie mieli. A pierwsza klasa musiała mieć minimum 16 uczniów. Dlaczego moje siostry chodziły razem do jednej klasy? - Bo jak jedna zaczęła chodzić do szkoły w przepisany wiek 7 lat to druga 6-cio latka wpadła w rozpacz i przez tydzień płakała. Wtedy mama postanowiła z panią Dwornikową - nauczycielką z Wałów Śl, żeby skoro tak rozpatrzą i pragnie tej szkoły to niech chodzą razem i albo jej przejdzie, albo jak da rady to niech zostanie i tak została... Zawsze uczyła się bardzo dobrze. Ojciec popierał powstanie Liceum Ogólnokształcącego jako radny z Jodłowic. Myślę, że tych popierających było wielu a ojciec był tylko jednym z nich. W każdym bądź razie Liceum Ogólnokształcące powstało i szybko się rozwijało. Rozwijało się tak szybko, że jak ja poszedłem do I klasy Liceum, które istniało już 2 lata. To były egzaminy wstępne odrzucające trochę słabszą młodzież. Klasy były już też dwie. Jedna dziesiąta, dwie dziewiąte i dwie ósme. Na marginesie dodam jeszcze, że mnie w 8 klasie zostawiono przy pełnej akceptacji - Dyrektora Liceum - Staszka Watrasa - prawie że najlepszego kumpla ojca. I o dziwo ojciec do swojego kumpla nigdy o to pretensji nie miał. W przeciwieństwie do reszty rodziny, która była tym bardzo oburzona. W Brzegu Dolnym ojciec należał do Stronnictwa Demokratycznego. Mówił, że jest to partia niemarksistowska i że nie ma za wiele z komunistami wspólnego. Praktycznie to jednak ona coś z komunistami miała, bo godziła się na tzn. przewodnią rolę PZPR-u. Ojciec po przeniesieniu się do Lubina był przez szereg lat radnym Miejskiej Rady Narodowej a nawet jej Wiceprzewodniczącym z racji tej, że był Przewodniczącym Stronnictwa Demokratycznego w tym mieście. W pewnym momencie gdy ruszyła Solidarność a Stronnictwo Demokratyczne zaczęło za bardzo wchodzić PZPR-owcom w tyłek ojciec rzucił je i przeszedł na pozycję solidarnościowe. Ojciec ustroju socjalistycznego nie potępiał w czambuł (we wszystkich jego przejawach) ale nie mógł znieść zakłamania, rządów Moskali, złodziejstwa, zafałszowania historii, stosunku do Armii Krajowej i tego, że odarli kraj z honoru, z Ziemi Wschodnich, że udają przyjaciół, kołchozują na siłę, że wydarli by Polakom nawet dusze. On po prostu wiedział co dla Polski jest dobre, czym jest Ojczyzna, honor, dane słowo, katolicyzm i prawda. Gdzie kończy się wolność a zaczyna służalstwo, poniżenie, hańba. Myślę, że większość Łukowia i większość Polaków znała i zna te pojęcia - chociaż wydaje mi się, że aktualnie coraz to mniej się młodzi ludzie tymi sprawami interesują. Były też w rodzinie pewne drobne konflikty pomiędzy ojcem a mamą występowały na tle stosunku do radzieckich żołnierzy. Mama uważała, że przynieśli nam jakąś wolność. Ojciec zaś, że drugą niewolę. Mama przypominała sobie 16, 17 letnich chłopców przechodzących przez Łukowiec i proszących o chleb i te ich słowa: „Mamuszka daj chleba - idziemy bić Germańców” - A ojciec mówił, że choć to prawda - jednak byli

nieprzewidywalni, za byle co mógł ci strzelić w łeb bez zastanowienia. Zniszczyli AK, patriotów rozpędzili. Najlepszych Polaków wymordowali. Za Katyń zwalili winę na Niemców. Zmiany ustrojowe, które były przecież Polsce potrzebne wprowadzali na siłę za cenę krwi, wywózki i zdrazieckich knań. Nie mieli ni słowa, ni honoru, ni krzty godności. O czym świadczą choćby procesy polityczne wywózki i zwykłe mordy ludzi praktycznie całkowicie niewinnych. To oni doprowadzili prawie do wojny domowej wywołując na Sybir dowództwa Armii Krajowej, które podstępnie zapraszano na narady i z których już nie wracali. To przez nich część żołnierzy AK poszła do lasu do WIN i NSZ. Bo nie bardzo wiedzieli co robić a wyzwoliciel okazał się zwykłym zdrajcą. Ojciec uznawał, że żołnierze radzieccy, rozgromili na naszych ziemiach Niemców i swoją krew tu przelali i tego im nie mamy prawa negocjować, ba nawet uważał, że nie wolno nam o tym zapomnieć. Ale prawda ma być cała odkryta a nie tylko fragmenty, które pasują komunistycznej władzy i wasalom obcego państwa.

Rodzina Burdzych już przed wojną oprócz ich gniazda, jakie znajdowało się we wsi Burdze powiat Nisko zamieszkiwała i w lubelskim. Także w XIX wieku Polacy z Galicji - rolnicy zasiedlili okolice Bania Luki należące dziś do Bośni i Hercegowiny. Z tego, co im tam obiecywano powstało w Polsce przysłowie „pleciesz Bania Luki” albo „ To są Baniałuki”. Znaczyło to, że rzeczywistość daleko odbiegała od tego, co tam zastali. W każdym bądź razie wśród tych Polaków osiadłych w Jugosławii popularnym było nazwisko „Burdzy”. Polacy zamieszkujący te tereny (informacja zasłyszana) popierali partyzantkę Tity. W zamian za to, chcieli po wojnie wrócić do Polski wraz z dobytkiem. Tito im to obiecał i dotrzymał słowa. Kilkanaście tysięcy Polaków wróciło do kraju po II Wojnie światowej. Osiedlili się na Dolnym Śląsku, głównie w okolicach Bolesławca w kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu wioskach. Wiem o tym - bo kilka razy zapytano mnie - czy nie jestem emigrantem z Jugosławii? Kilku Burdzych w tym mojego dziadka Karola ojciec Marcin mieszkało na Wołyniu we wsi Witosówka Koło Dubna. Część zamieszkujących tam rodzin w czasie ukraińskich mordów uciekła nawet na Łukowiec a część do pożydowskich domów w Dubnie. Wiem też, że jeden z Burdzych - Wiktor osiedlił się w okresie międzywojennym na Pomorzu. Kupił gospodarkę po wyjeżdżających z Polski Niemcach. Mieszkał we wsi mieszanej z Niemcami, którzy nie chcieli opuścić Polski. Ten stryj kilka razy odwiedził mojego ojca. Gdy go zapytałem czy była różnica pomiędzy gospodarowaniem na Wschodzie i na Pomorzu mówił, że poziom na Pomorzu był wyższy. Wspomniał też, że w czasie wojny Niemcy go aresztowali. Powód był dość blachy. Ale konsekwencje mogły być poważne. Sąsiadka Niemka poszła na gestapo i prosiła za nim, mówiąc, że to człowiek porządny. Kazali jej podpisać papiery, że będzie przestrzegał porządku prawnego - taką jakby gwarancję i ona to podpisała, co go uratowało. Stryja Wiktora po wojnie spotkało bardzo duże nieszczęście. Miał pięciu synów, wszyscy zatruli się jadem kiełbasianym i chyba dwóch zmarło. Po wojnie sporo Burdzych z Łukowca i okolic Łukowca osiedliło się na Dolnym Śląsku. Tych pochodzących z Łukowca jest przynajmniej kilkudziesięciu. Za granicą mieszka też kilkunastu (w Chicago i Nowym Jorku a także w Niemczech i Irlandii).

Transport na Ziemię Zachodnie

Żeby dostać się do transportu na Ziemię Zachodnie trzeba było dojechać do miasteczka Cho-dorów. Droga z Łukowca Wiśniowskiego prowadziła przez Mołodzieńce, Bortniki i Dobrowlany a z Łukowca Żurowskiego także przez trzy wioski ukraińskie Choleszów, Bortniki i Dobrowlany. Ukraińcy transportów nie atakowali, bo był „dogowor” - porozumienie.

Legitymacja służbowa
Nr 4/46

Ob. *Burdzy Marian*
(nazwisko i imię)
Waty 51. pow. Nowos
(adres)
95. Krasnowo
(zatrudniony, to charakter)

Marian
(nieświadczy podpisu)

Ważna do:

30.8	30.8	30.8	30.8	30.8
1954 r.	1954 r.	1954 r.	1954 r.	1954 r.

Brzeg Bolny, data *19.11* 1952 r.
płoczek *Marian* podpis *Marian*

LEGITYMACJA Nr 135/66

Ministerstwo Budownictwa
Przem. i Materiał. Łoż. i Chł.
Wrocławskie Zjednoczenie Budownictwa
Wrocław, ul. Hutnicza 15/16
Tel. Sekr. 361-50, Zesp. 323-87
(pieczęć podłoga wystawczy)

Marian
(nazwisko)
BURDZY
(nazwisko)
Główny Księgowy
(stanowisko)
W Legn. Lub. Przem. Bud.
Wrocław 1.02. 1966 r.
(miejscowość i data)
ZŁA NACZELNIKA
Wydział Organizacji
do 400000
(pieczęć i podpis)
Wincenty Mazur

Ważność legitymacji przedłużono na rok:

19	19	19	19
----	----	----	----

CWD 08-113 am. Nr 20-ZW-2
Druk ZPT Huta am. 15-63 mild 40000

Legitymacja pracownicza Nr 15/68

Ob. *Marian Burdzy*
(imię i nazwisko)
Legn. Lub. Przem. Bud.
(adres)
Wrocław 1.02. 1966 r.
(miejscowość i data)
KG 44
(stanowisko)
data *19.11* 1963 r.
płoczek *Marian* podpis *Marian*

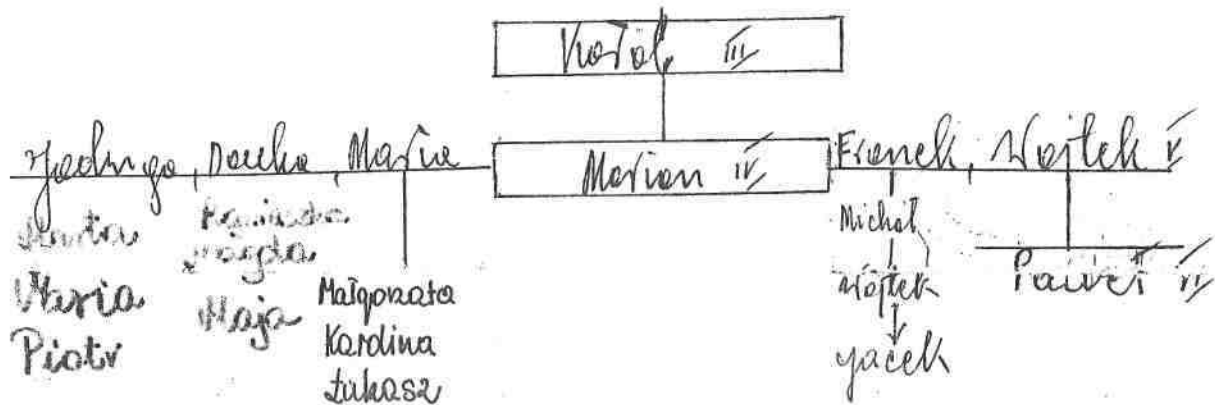
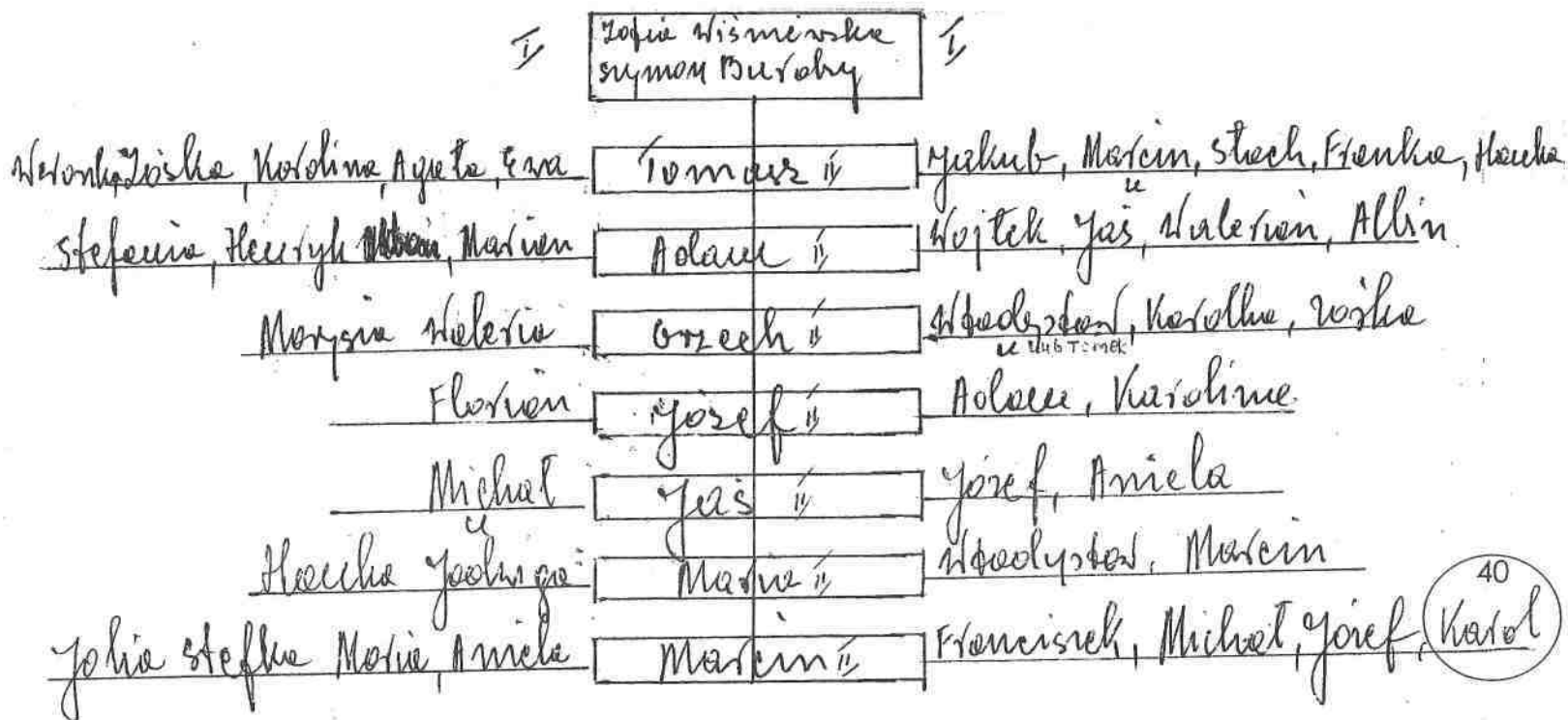
Marian
(nieświadczy podpisu)

Ważna do:

30.8	30.8	30.8
1963 r.	1963 r.	1963 r.

1963 r. 1963 r. 1963 r.

DRZEWO GENEALOGICZNE BURDZYCH XIX I POCZĄTKI XX W.



Tajemnice Łukowca

Materiały się kończą i choć wiem, że o Łukowcu napisałem niewiele, chcę jeszcze wspomnieć o kilku sprawach z pogranicza samoobrony zasłyszanych od ludzi, i czasem też trochę dziwnych i nie do końca dopracowanych: Np. taka trochę śmieszna sprawa: Piorun uważał że na temat „dogoworu” z Ukraińcami ja nie powinienem nic pisać - bo to co napisał Polak w swojej książce jest i było analizowane i tak było jak tam to właśnie zapisano. Ja natomiast naraziłem się nieco Piorunowi mówiąc, że Pan Kazimierz Paczkowski z Brunowa był w grupie żołnierzy czy chłopców, którzy poszli na ten dogovor jako ochrona i czekali na swoich dowódców, gdzieś tam przed lasem, aż wrócą - Nic właściwie więcej. Gdy w końcu Panu Paczkowskiemu przekazałem, że Piorun nie chce nic więcej do tego dogoworu dodawać i że zwyczajnie jego nie pamięta. Odrzekł mi tak: „Ale ja tam byłem - pamiętam to napięcie jak czekaliśmy na swoich dowódców i to o czym oni rozmawiali ze sobą gdy wracali już po tych ustaleniach do wsi - pamiętam treść tej rozmowy - mówili, że wyszło dobrze ale głupio im było, że poszli do dowódców ukraińskich w kufajkach typu ruskiego. A ukraińscy oficerowie, którzy ich przyjęli - byli ubrani w skórzane kozuszki węgierskie i na ich tle nasi dwaj oficerowie zaprezentowali się bardzo kiepsko.

I jeszcze jedno zdarzenie, które opowiedział mi ojciec. Raz stali ze Staszkiem Watrasem na drodze w charakterze wartowników. Staszek stał na środku drogi z drewnianym karabinem i to tak miało być, bo broń prawdziwa była pochowana i bardzo rzadko żołnierze z nią paradowali. Ojciec stał gdzieś przy płocie ubrany w jesionkę z pistoletem prawdziwym w kieszeni. Nagle za plecami Staszka pojawił się niemiecki samochód z żołnierzami zatrzymał się natychmiast i kilku Niemców z karabinami gotowymi do strzału wyskoczyło krzycząc do Watrasa: Halt! i Hande hoch! . Staszek podniósł ręce do góry i tak stał a oni go otoczyli nie zwracając specjalnie uwagi na ojca stojącego z boku. Z samochodu wyszedł jeszcze Słowak Marecek współpracujący z Polakami. Jeden z Niemców wziął karabin do ręki i nagle zaczął się strasznie śmiać. Podał go drugiemu ten trzeciemu i wszyscy zaczęli się rechotać. Do grupy Niemców podszedł i Słowak i zaczął im tłumaczyć, że ci chłopcy to są "swoi" - stąd Niemcy po wymienieniu kilku słów oddali karabin Watrasowi i odjechali ze Słowakiem. Ojciec był i przerażony i zły na Słowaka, że tak się zagapił - mówił: - On miał zareagować szybciej a ruszał się jak mucha w smole. Poza tym gdyby mnie zrewidowali to by znaleźli bron. I sprawa byłaby trudna do wyjaśnienia. Ten Słowak - pan Marecek. W pewnym momencie opuścił całkiem Niemców i osiedlił się na Łukowcu. Był nawet dowódcą placówki wartowniczej. Później z Polakami przyjechał na Ziemie Odzyskane i tam ożenił się z łukowianką. Pomimo, że ojciec miał do niego pretensje o tamto zajście, że za wolno reagował, to jednak trzeba przyznać, że człowiek ten, był bardzo życzliwie nastawiony do Polaków i cieszył się wśród łukowian dużym szacunkiem. Był potrzebny samoobronie i partyzantce i informował ją w miarę swoich możliwości o zamiarach Niemców. W sumie dobrze zasłużył się łukowianom.

Inną jeszcze historię słyszałem od mego ojca. Gdy w rewanżu za jakiś napad Ukraińców postanowili spalić kilka wysuniętych domów czy stodoł na jakiejś ukraińskiej wsi. Podeszli tam rano postrzelali a jak ludzie uciekli zaczęli podkładać ogień pod stodoły. W jakiś momencie ojciec na podwórku zauważył kulawą dziewczynkę, która nie mogła uciekać. Podeszedł do niej i pyta czy jest Ukrainką czy Polką. Bo jak jesteś Polką to weźniemy cię na Łukowiec. A jak jesteś Ukrainką to cię tu zostawimy w spokoju i nie masz się czego bać. Podeszło jeszcze kilku partyzantów. I zaczęli nad dzieckiem deliberować. W końcu jeden mówi: - A skąd tu polskie dziecko by się wzięło? Inny mówi do dziecka: Mów pacierz po polsku - I tu zdumienie - dziewczynka najczystsza polszczyzną zaczęła mówić pacierz. Konsternacja - i znowu ktoś mówi - mów pacierz po ukraińsku - I dziewczynka znowu najczystsza ukraińską mową powtarza słowa modlitwy. Gdy partyzanci usłyszeli strzały od

wszyscy postanowili się wycofać i zostawili tę dziewczynkę. Ojciec jak kiedyś mówił, nie był tak do końca przekonany, że było to dziecko ukraińskie.

Kiedyś przyjechał do mojego ojca kuzyn Marian syn Władysława Burdzego zwanego „Maskiem”. On był w oddziale osłonowym- powiedział ojcu taką historię. Oddział wracał na Łukowiec lasami i w pewnym momencie usłyszeli jakiś gwar rozstawili się po obu stronach leśnej drogi i gdy ludzie nic nie podejrzewający znaleźli się w pułapce wyskoczyli i kazali im odrzucić broń. Pytania skąd są i gdzie idą oraz dlaczego z bronią? - Wyjaśniali sensownie, że idą z jednej wsi do drugiej coś tam robić, a broń jest na wszelki wypadek. Ilu tych ludzi było nie wiem - pamiętam tylko, że opowiadający ojcu tę historię stryj mówił, że zaczęli się nagle Polacy zastanawiać czy by im nie zabrać broni i puścić wolno. Jednak jeden z chłopaków naszych podszedł do dowódców i zaczął im coś tłumaczyć. Kazano się po chwili Ukraińcom położyć na ziemi. I zarabano ich siekierami. Ojciec, pamiętam, że zapytał czy nie mogli ich jakoś inaczej zlikwidować. Wtedy stryj odparł, że bali się w lesie... do nich strzelać. Będąc daleko od Łukowca między wsiami ukraińskimi, nie chcieli narazić się na jakieś zaskoczenie. Dlaczego zapadła decyzja żeby ich zlikwidować i to w tak okrutny sposób - bo jeden z chłopaków, podszedł do dowódców wyjaśnił, że zna tego co przy drzewie stoi, że jest banderowcem z tej a tej wsi i nazywa się tak to a tak, a ten obok to jego brat też banderowiec i idą albo na jakąś akcję albo wracają z akcji do swoich wsi... Pochowali ich płytko w lesie. Mało tego stryj mówił, że jeden Ukrainiec bardzo prosił o darowanie życia ... ale mu go nie darowano. Dlaczego o tym piszę. Bo chcę, ukazać cały ogrom tragedii. I nawet stwierdzić, że Polacy choć zachowywali się na ogół przyzwoicie w stosunku do ludności ukraińskiej. - Nie było zabijania kobiet, dzieci, bezmyślnego strzelania do wszystkiego co żyje. I o tym Ukraińcy dobrze wiedzą. To nie można przecież powiedzieć, że nigdy Polacy nie czynili zła czy to w formie odwetu osobistego czy z innych jakichś tam powodów. Nie mówiąc już o tym, że banderowców uważali za zbrodniarzy i ich likwidowali bez żadnych skrupułów. Samoobrona też czasem, tam gdzie mogła, stosowała odwet. Pan Edward Kwiatkowski mówił, że będąc kilkanaście razy na Wołyniu w swojej rodzinnej wsi spotykał się z Ukraińcem, który (jak on uważa) był banderowcem. A i słyszał, że pierwszą jego żonę zabił Polak, gdyż uznał ją za łączniczkę. I właściwie zastrzelił ją bezmyślnie. A był to Polak, któremu Ukraińcy wymordowali całą rodzinę. Pan Kwiatkowski mało tego uważał, że ten Polak na Ukraińcach gdzie mógł to się mścił. We Francji mieszka mój kuzyn Piotr Szulc, mówił mi, że jeden z jego znajomych, mieszkający na Pomorzu, powiedział mu, kiedyś że polski żołnierz strzelił jego ojcu staruszkowi w plecy. W ramach wysiedlania czy coś w tym rodzaju, że on nie chciał słuchać żołnierzy - odwrócił się i coś chciał robić innego a ten strzelił mu w plecy i zabił staruszkę niepotrzebnie, za nic. Piotrek sugerował, że działo się to w ramach akcji wysiedlania. Przypomina mi się pewne zdarzenie odnośnie akcji „Wisła” (która jak już pisałem moim zdaniem była przeprowadzona stosunkowo przyzwoicie w stosunku do ludności łemkowskiej). Jeden z polskich żołnierzy bardzo poganiał Łemków, któregoś tam kopną czy uderzył. Inny podszedł do niego i mówi. Jak ty się zachowujesz... co ty od tych spokojnych ludzi chcesz.... - Co oni ci zrobili? - Tamten popatrzył na niego i odparł. - Jestem z Wołynia.... tam, dwóch synów mi zamordowali... a ty chcesz żebym ja miał jeszcze do nich jakieś serce...). I tak Łemkowie , chyba najspokojniejsza grupa etniczna Rusinów została wrzucona do jednego worka z Ukraińcami.

Nie tak dawno słyszałem w naszej telewizji, w polskim filmie, że jakiś polski oficer strzelił do ikony. Bardzo to mnie zabolalo, bo Polacy takich rzeczy nie robili. Pana Kuchtę gdy zapytałem, czy słyszał o jakimś choćby jednym przypadku, żeby Polacy podpalił kościół greckokatolicki w stanisławowskim? - To odparł, że nie słyszał nigdy, o takim zdarzeniu. Dla Polaka nie do pomyślenia było iść i podpalić Dom Boży. To mógł zrobić tylko psychopata,

albo jakiś wariat. Ale żeby partyzanci czy żołnierze coś takiego zaplanowali... nigdy! A Ukraińcy, niestety to robili i to na szeroką skalę, napadając często podczas mszy na ludzi modlących się w kościołach i zabijając ich podczas nabożeństw albo paląc kościoły z ludźmi w środku. Jeden z moich kolegów, którego mama była Ukrainką z Rozdołu a ojciec Polakiem z kieleckiego. Po wojnie osiedlił się we wschodniej lubelszczyźnie mówił mi: „Franek, co tam się działo, już nikt nie wiedział kto zaczął, a mordowano chłopą za chłopą rodzinę za rodzinę. Ojciec bał się i jednych i drugich, choć wszyscy wiedzieli, że on Polak, a mama Ukrainka. Rodzice już nie wiedzieli czy to dobrze czy to źle. Jak nadarzyła się okazja wyjazdu na Ziemię Zachodnie, zwinęli manele i przyjechali na Dolny Śląsk. To samo słyszałem od człowieka, który jak mówił, przyjechał z robót w Niemczech do siebie na wschodnią lubelszczyznę. Wziął za żonę dziewczynę i uciekli na Dolny Śląsk do Kowar.

Komentując to - Polacy i Ukraińcy dobrze wiedzą kto zaczął i wiedzą co się stało. A że sytuacje były i pokrętne, i popłatane to też jest fakt. Trzeba także powiedzieć, że byli Ukraińcy, którzy nie zgadzali się z eksterminacją Polaków czy Żydów. Ostrzegali sąsiadów, czasem narażali siebie i rodziny pomagając Polakom w ukryciu się, czy ostrzegając, aby natychmiast uciekali ze wsi czy przysiółka, bo grozi im śmierć. Wojciech Janusz mówi: „Było to w 1945 roku pracowali w dwójkę w polu. Nagle, z karabinem maszynowym wyszedł z lasu Ukrainiec i krzyczy. „Wojtek uciekaj - naszych tu jest pełno - przeczesują teren - na Łukowcu zabili kogoś z rodziny popa z Wiśniowa, jak was tu znajdą to koniec z wami". Był to Ukrainiec, mój kolega. Uciekliśmy do wsi. Do dziś jestem mu wdzięczny, za uratowanie życia. A tak naprawdę to faktycznie nasi partyzanci zabili brata popa. Praktycznie Ukraińcy nie mogli chodzić po terenach kontrolowanych przez łukowian. Gdy złapano kogoś, przechodzącego przez Łukowiec, zatrzymywano go kontrolowano i badano. Czasem decydował o delikwencie Polak czasem Piorun czasem Budrys. Oni tych ludzi zawracali albo pod eskortą pozwalali im przejść przez wieś. To co opowiedział mi pan Wojciech Janusz wcześniej słyszałem i od pana Kurenia Józef mówił: " Komendant Polak, zawsze takich ludzi puszczał wolno tzn. kazał przeprowadzić przez Łukowiec, lub najwyżej nie pozwalał przejść i odprowadzano takiego delikwenta z powrotem do granic wsi bez prawa przejścia. Kureń mówi, że mogły się zdarzyć samowolne przypadki zastrzelenia takich przechodzących przez wieś Ukraińców, gdy ich podejrzewano o szpiegostwo czy w sytuacjach niejasnych. Nie chcę tego za bardzo komentować, bo sytuacji faktycznie nie znam, ale nie chcę też niczego ukrywać, gdy mi o czymś mówi kilka osób, to informację uważam już za prawdziwą. Pan Kazimierz Dziuba poinformował mnie o fakcie zastrzelenia cztery dni przed wejściem żołnierzy radzieckich Ukrainca łąącego po Łukowcu tam i z powrotem. Któryś z dowódców uznał, że to coś z tym człowiekiem jest nie tak... i rozstrzelano go w olszynie pomiędzy zabudowaniami Krawca i Babuli.... Miał ten Ukrainiec w torbie pełno jabłek, leżały one i nikt ich nie ruszał. Kiedy Rosjanie za cztery dni przyszli, wszystkie te jabłka pozbierali i zjedli. W Biuletynie Bukaczowieckim nr 49 w art. Pana Tadeusza Tomkiewicza „Lato 2006" jest opis podróży na Kresy. Ponieważ Bukaczowce leżały 7-8 km od Łukowca istnieją spore powiązania pomiędzy obu tymi miejscowościami. (miasteczkiem i wsiami polskimi). Do Koła bukaczowian należą też łukowianie, a także ludzie, którzy Łukowiec znają lub tam się chronili. Część bukaczowian miała i na Łukowcu rodziny. Czytam Biuletyny bukaczowieckie z dużym zainteresowaniem. W czasie ostatniego pobytu na Kresach Pan Tomkiewicz nabył w Żurowie książkę o historii miasteczka, wydaną w Stanach Zjednoczonych, napisaną po ukraińsku. Żurów założył Michał Daniłowicz protoplasta, matki króla Jana Sobieskiego. W książce robi się z niego Ukrainca. Osadę na podstawie przywileju króla Zygmunta Starego w 1510 r. przekształcono w miasto. Autor pisze dalej, że książkę wypełniają relacje prawdopodobnie byłych banderowców, którzy w zaciszu swych amerykańskich czy kanadyjskich domów dożywają swoich dni, a którym rzeczywistość miesza się z fikcją Ot choćby

stwierdzenie: „Że polskie bandy z Łukowca w czasie wojny terroryzowały i mordowały spokojną ludność ukraińską w okolicznych wsiach, tak, że nocami ludność z Żurowa musiała spać po polach”. Śmiać się czy płakać, być dumnym czy podziwiać cynizm i bezszczelność ludzką. Jak tak dalej pójdzie, to my niedługo będziemy przepraszać nie tylko banderowców, ale i gestapowców i esesmanów, że nas nie wymordowali. Ukraińcy mają pretensje, że banderowcy też ginęli z rąk Polaków. Niemcy, że byli źle traktowani przy wywózkach i przesiedleniach. Zamiast pokory jest buta i kłamstwo. A przecież lubobójstwa nie można porównywać z obroną kraju, wsi, domu czy rodziny. Sprawy Katynia, banderowców, którzy mordowali zarówno Polaków jak i Żydów powinny być już dawno osądzone przez instytucje międzynarodowe. Ruscy od 60 lat zwodzą nas, a nasi politycy udają że może oni łaskawie kapną nam jakiś papierek, który rzuci światło na ich zbrodnie. Polityka polska w stosunku do rodaków ze Wschodu jest beznadziejna. Brak pieniędzy. Brak pomocy. Nawet nie stać nas na wywiezienie „swoich” kilkudziesięciu tysięcy” ludzi z Kazachstanu. Niemcy przyjęli z Kazachstanu ponad milion osób. Pięciomilionowy Izrael przyjął z Rosji 800 tysięcy ludzi. A nam brakuje mieszkań, pracy dla 70 czy 80 tysięcy rodaków. Narodu blisko 40 milionowego na nic nie stać.

Generał i pułkownicy.

Łukowianie wiedzą że trzech chłopaków z Łukowca zostało pułkownikami Iwanicki. Kazimierz, Kryciński Edward, Krutysa Michał. Mówiono nawet, że gdyby nie tragiczna śmierć (wypadek samochodowy), Kryciński byłby generałem. Ja kiedyś byłem u Franciszka Godka - leśniczego we wsi Obora koło Lubina, którego odwiedził Krutysa. Właściwie wychodził z leśniczówki, gdzie Godek mieszkał. Przedstawił mnie umundurowanemu człowiekowi mówiąc; to jest syn Mariana Burdzego z Łukowca”. Po paru minutach gdy odjechał zapytałem: - Kto to był? - Godek odparł: Generał Krutysa - łukowianin. Przez ostatnie cztery lata wszyscy wmawiali mi, że Krutysa był pułkownikiem. Kogo bym nie zapytał. Więc to już tak we mnie zostało. Ostatnio, będąc u Pana Edwarda Szota w Brunowie wyskoczył on nagle ze zdaniem: „Nasz generał z Łukowca” - zapytałem o kogo chodzi -odparł - o Michała Krutysę. A więc jednak pomyślałem, był on generałem (lotnictwa). To są tylko takie sztandarowe postacie łukowian, którzy szybko po wojnie zrobili kariery wojskowe. Myślę, że oficerów by się znalazło jeszcze kilku. Pan Kazimierz Pawlik urodzony na Łukowcu w 1945 roku (jest z tego dumny) syn Karola Pawlika mieszka w Poznaniu i jest emerytowanym podpułkownikiem lotnictwa.

Dyplom

Stowarzyszenie Zaburzan Regionu Ogólnopolskiego z siedzibą w Dzierżonowie uhoronowało mnie dyplomem za autorstwo Zeszytów Łukowieckich. Nie szczędząc mi ciepłych słów za przedstawienie losów łukowian i pamiątniki ukazujące na przykładzie mojego dziadka walkę Polaków na Zachodzie. Pod dyplomem podpisali się: pan Piotr MIELNIK z Polesia, pan Edward BIEŃ z Ottynii, pan Adam BURZYŃSKI z Jasnego Boru, pan Romuald R. RUDNICKI z Równego oraz pan Kazimierz OZGA z Karolówki. Od pana Ozgi otrzymałem również książkę a raczej poemat pod tytułem „Kresowa łza” napisany przez pana Adama Burzyńskiego. Poemat ten opisuje w formie wierszowanej dzieje kresowych wsi oraz opowiada o przeżyciach ludzi z okresu II Wojny Światowej. Autor wspomina także; Karolówkę, Bukaczowce i Łukowiec.

Autor: Edward Kwiatkowski

Życiorys Wołyniaka. Wspomnienia z lat 1929-1972

Praca Edward Kwiatkowskiego pt. „Życiorys Wołyniaka” to opowieść sięgająca Wołynia miejsca urodzenia się pana Edwarda. Autor ukazuje obraz wołyńskiej wsi przed wojną, sytuację ludności na tych ziemiach, uwarunkowania społeczne i polityczne, a także najcięższy okres II Wojny Światowej, obejmujący eksterminację Polaków i Żydów. Nierówną walkę o przetrwanie ludności polskiej, w konsekwencji likwidację kilkunastu wsi polskich przez Ukraińców. Wywózkę uratowanych Polaków na tereny ówczesnych Niemiec, na roboty przymusowe. Pan Edward jako świetny obserwator opisał zdarzenia, które przeżył. Takich jak on były tysiące. Praca ta została przygotowana w latach dziewięćdziesiątych, kiedy wreszcie ludzie mogli już pisać i mówić o tamtych straszliwych czasach. Był wtedy trend, aby ci, co mogą coś napisać- pisali, bo ludzi pamiętających tamte czasy stale ubywa. A w literaturze okres ten to praktycznie dziura. Dominacja ZSSR tzw. przyjaźń krajów demokracji ludowej blokowała prawdę. Udawano, że pewnych rzeczy nie było. Także walki ukraińsko - polskie czy rzezie Ukraińców dokonywane na Polakach były bagatelizowane. Może to zabrzmi trochę prozaicznie, ale jak człowiek po 12 czy 15 latach Sybiru wrócił do kraju, to marzył tylko o tym żeby czerwoni o nim zapomnieli i bał się nawet mówić gdzie był i za co siedział. Taka postawa dotyczyła bardzo wielu ludzi. I to bez względu na wykształcenie pochodzenie społeczne czy nawet to co naprawdę o tym myślał. Często tylko najbliżsi wiedzieli co człowiek przeżył i co widział. Praca pana Edwarda Kwiatkowskiego jest jedną z tych, która porusza różnorodne tematy dotyczące Kresów. Być może, że pod względem literackim są w niej jakieś niedomagania, tym niemniej, wszystko co jest opisane, napisane jest językiem zrozumiałym można by rzec - żywym i czyta się to jednym tchem. Nawet im dalej się czyta tym bardziej treść pracy jest jakby fascynująca. Żeby pokazać ogrom tragedii i to wszystko co się działo na Kresach to co dotyczy stosunków polsko- ukraińskich nie wystarczy tylko Łukowiec. Po prostu więcej przykładów daje lepszy obraz. I jednym z tych właśnie przykładów jest praca pana Edwarda Kwiatkowskiego. Zdecydowałem się ją przedstawić za zgodą autora a praktycznie umieścić w Zeszytach Łukowieckich duże jej fragmenty. Bo jest to czytany film, ze stale wzrastającym napięciem i zmieniającymi się stale obrazami.

Spis treści:

Wołyń parę słów wyjaśnienia.

Okres szkolny

Ksiądz Józef Czajkowski

Nowy ksiądz.

Szkoła

Rok 1939.

Nowa władza

Życie za Sowietów

Uzdrowisko Słone błoto.

Rok 1941

Losy Żydów huciańskich.

Rok 1943

Wejście Niemców do wsi po raz pierwszy

Wejście Niemców do wsi po raz drugi.

Losy rodziny po opuszczeniu Huty stepańskiej.

Nieznany los

Życie w Równym

Ewakuacja.

Życie i przygody w Legnicy

Jelenia Góra.

Następna zmiana
Czeska Lipa -życie i przygody.
Przygoda w lesie
Wydarzenia przy więzieniu.
Przygoda we wsi.
Spotkanie w lesie i ulotki.
Przygoda z Ukraińcem.
Przygoda w pociągu.
Nalot na pociąg przy naszym baraku.
Ostrzeżenie.
Powrót.
Osiedlenie.
Spełnione marzenie.

Wołyń - parę słów wyjaśnienia.

W tej książce pragnę umieścić swoje wspomnienia od najmłodszych lat, od kiedy zdołałem coś utrwalić w swej małej głowie. Nadaje jej tytuł Życiorys Wołyniaka - Wspomnienia z lat 1929-1972. W związku z nadaniem jej takiego tytułu pragnę poświęcić parę słów Wołyniowi. Gdzie leży w sensie geograficznym, Jacy ludzie tam zamieszkiwali. I skąd się wzięła nazwa Wołyń. Te wszystkie wiadomości zaczerpnąłem z książki Czesława Piotrowskiego; "Gdzieś między Horyniem i Styrem". Wołyń leży na tzw. Kresach II Rzeczypospolitej . Ujęty był w granicach województwa wołyńskiego. Granicząc od północy z woj. poleskim od zachodu z woj. lubelskimi lwowskim oraz od południa z woj. tarnopolskim. Od wschodu graniczył ze Związkiem Radzieckim ustalona linia graniczna w traktacie ryskim 18. III. 1921 roku. Zajmował zatem obszar pomiędzy rzeką Prypeć od północy i Wyżyną podolską od południa , od rzeki Bug na zachód - do linii idącej mniej więcej z biegiem rzeki Słuczy. Teren woj. wołyńskiego składał się z równinnego obszaru Polesia wołyńskiego w części północnej i właściwego Wołynia zwanego również Wyżyna wołyńską. Linia graniczna przebiegała przez Uscilug, Włodzimierz, Łuck, Klewań, Równe i Korzec. Na południe od niej zalegały tereny lessowe, zaś na północ ciągnął się pas moren czołowych aż po linię Luboml - Kowel, Czartorysk, Klesów, Rokitnoza, którą zalegały już obszary błot poleskich. Wskutek pochylenia wyżyny wołyńskiej ku północy, znalazła się ona w dorzeczu Prypeci do , której wpadały główne rzeki Wołynia: Turia, Stochod, Styr z Ikwą, i Horyń ze Słuczą. Prypeć wypływał z błot i jeziora Świteż, leżących na północy powiatu lubomelskiego i kierując się ku wschodowi wpadał do Dniepru a z nim do Morza Czarnego. Przez kanał królewski i Ogińskiego łączyły się wody zlewisk bałtyckiego do Bugu i czarnomorskiego do Prypeci. Styr: którego długość wynosi 490 km początek swój bierze podobnie jak Bug z wyniosłości leżących na krawędzi pomiędzy wyżynami podolską i wołyńską Jego lewy dopływ to Ikwa i Tykwa, prawe: Sytenka, Plaszówka i Konopla. Horyń: o długości 562 km wypływa z okolic Wiśniowca w powiecie krzemienieckim. Lewe dopływy: Stubło z Putylówką, Oscianica, Zbytenka i Wilia (pod Ostrogiem) Trościanka i Horynka. ... Horyń zawsze odgrywał w historii polski rolę strażniczą w najazdach ze wschodu na zachód , toteż nad jego brzegami znajdowały się liczne okopy, kurhany i stare zamczyska nadające mu charakter przedmurza obronnego... Nazwa Wołyń wyprowadza się od wschodniosłowiańskiego plemienia Wołynian, które w X wieku zamieszkiwało tereny nad górnym Bugiem i Styrem.. Plemię to znane było również pod nazwami; Dulębów lub Bużan... Powstałe w granicach II Rzeczypospolitej woj. z siedziba w Łucku ... było drugim co do wielkości woj. w Polsce po województwie poleskim. 35,754 km2 ...W skład województwa wchodziło 10 powiatów. Na Wołyniu zamieszkiwało 2,085 000 ludzi. Ludność miejska 12% .Ukraińcy 68%, Polacy 16,6% Żydzi 9,9% Niemcy 1,1% Pozostali - 3,2 %...

Rok 1926

Autor przychodzi na świat... We wsi Huta Stepańska powiat Kostopol. Wieś praktycznie czysto polska. Z kilkoma rodzinami żydowskimi.

Okres szkolny

Autor wspomina tu bójkę z dwoma chłopcami. Jednym był Polak, który mu dokuczał. A drugim chłopiec Żyd jak pisze o bardzo ciętym języku. Oprócz tego wspomina księży, którzy jak pisze mieli duży wpływ na życie wsi i to co w niej się działo.

„Najwięcej sytuacji niekoleżeńskich miałem z sąsiadem Noselem Szpetrykiem narodowości żydowskiej. Wszelkie jednak zadrażnienia wynikały nie na tle narodowości - on miał bardzo cięty język- zawsze mi tak dopiekał, że ja mu później musiałem wyperswadować ręcznie. Podobne usposobienie miał i kolega Józef Zieliński, on też miał dar dokuczania mi. Swary kończyły się zawsze bójkami. Pamiętam takie zajście tydzień przed pójściem do I Komunii Świętej doszło do tak zaciętej walki, że Stanisławem Zielińskim, organista, który nas uczył w zastępstwie księdza, nie mógł nas rozdzielić. Początkowo ja obrywałem, ale końcówka była moja, on musiał uciekać z pola walki. (nasza wieś) Huta Stepańska była wsią dość rozległą sięgała od wsi Omelanka do wsi Borek i od wsi Ostrówki do wsi Lady. W pierwszym przypadku około 5 km i w drugim około 5 km. Nie było zwartej zabudowy, całość podzielona była jak gdyby na kilka dzielnic. Część bliżej kościoła aż do młyna stanowiła centrum. Następnie uzdrowisko tzn. Słone błoto i trzecia część Zarycze ... lub Zarzeczce., chociaż nie było tu żadnej rzeki. Naszą wieś poznałem dzięki temu, że Ojciec przez wiele lat był listonoszem, a każdy mieszkaniec wsi pronumerował miesięcznik „Rycerz Niepokalanej” ... Wsie takie jak Omelanka Ożgowo, Tanne Rządowe i Stepańskie poznałem chodząc z księdzem po kołędzie. Tu muszę zaznaczyć, że od 7 lat byłem ministrantem w naszym kościele. Kościół w Hucie Stepanskiej był drewniany, zbudowany na wysokich fundamentach z cegły i kamienia. Był w stylu zakopiańskim. Wewnątrz były trzy ołtarze; główny z figurką Serca Pana Jezusa. Po prawej stronie ołtarz Matki Boskiej Różańcowej i z tego powodu dwa razy w roku były odpusty. Po prawej stronie obraz Św. Teresy z dzieciątkiem Jezus. Była duża zakrystia z dwoma pomieszczeniami oraz dość obszerny chór. Na którym mieściło się dużo ludzi. Organów nie było tylko filharmonia, na której pięknie grał Franciszek Józiuk- nasz organista. Pierwszym naszym księdzem był Franciszek Ciesielski, którego nie znałem. Następny był Teodor Czaban, dzięki któremu wieś doszła do wyższej rangi. ... Ksiądz Czaban prawdę mówiąc kościołem i parafią zbytnio się nie przejmował. Był to człowiek raczej interesu, a nie oddany służbie bożej. Miał głowę do czego innego. Np. była wieś, Rudnia, doszedł do wniosku, że ta nazwa musi się wiązać z jakąś rudą. Sprowadził wiertacze i zaczęli szukać. Owszem, natrafił na rudę żelaza ale po głębszym badaniu uznano, że te pokłady są za małe żeby rozpocząć eksploatację. Zostawił to, zaczął się zastanawiać nad innymi wioskami takimi jak Mały i Wielki Mydzk- czyli coś od miedzi. Ci sami wiertacze zaczęli poszukiwać i z takim samym rezultatem. Pokłady były za małe, więc i to zostawił. W wolnych chwilach zajmował się myślistwem i dość często wyjeżdżał na bagna, które zajmowały dość dużą przestrzeń na końcu wsi od strony Podsielecza i Omelanki. Na tych błotach była niezliczona ilość dzikich kaczek i gołębi. Tam właśnie zauważył niespotykane zjawisko. Gołębie przylatywały stadami i piły wodę i to w dość dużej ilości, a krowy jak doszły do bagna to chciwie piły wodę, a jak było jakieś źdźbło trawy to wrywały je z korzeniami i zjadały. Pewnego razu gdy tak obserwował te zjawiska... Przyszło mu na myśl, żeby spróbować tej wody. Przez chusteczkę pociągnął tej wody i stwierdził, że jest słona. A brzegi bagna były żółte - jakby od rdzy... Długo nie czekał wywiercił otwór w ziemi - skąd trysła czysta zimna woda o smaku słonym. W pierwszych dniach tryskała samoczynnie na wysokość 120 cm. Nabrał tej wody nakopał torfu, czyli borowiny i odesłał do Warszawy celem przeprowadzenia analizy. Wynik był rewelacyjny i nieoczekiwany. Zawartość składników mineralnych w

wodzie i borowinie dawały drugie miejsce w Polsce po Ciechocinku. Po otrzymaniu tak rewelacyjnych wyników badań (ksiądz) najpierw zbudował barak, zebrał okolicznych ludzi dotkniętych paraliżem i przeprowadził próbne leczenie. Wyniki wypadły rewelacyjnie. Chorzy, którzy nie chodzili w ogóle mogli się poruszać o kulach, a kto był mniej chory poszedł po zastosowanych zabiegach o własnych siłach. Wybudował, więc zakład kąpielowy z prawdziwego zdarzenia. Przyjechało trochę ludzi z pieniędzmi i pobudowali pensjonaty. Po kilku latach były zakład kąpielowy został przebudowany na pensjonat a w niewielkiej odległości (od niego) wybudowano zakład kąpielowy murowany. Przez to, że co roku przybywało pensjonatów, przyjeżdżało coraz więcej kuracjuszy wielu ludzi znalazło zatrudnienie. Coraz więcej mieszkańców wsi mogło sprzedawać swoje produkty w postaci warzyw owoców i mleka. Sezon rozpoczynał się od maja i trwał do października. Ja sam w czasie wakacji chodziłem do pracy ... Praca lekka... tarcie borowiny na sitkach. Bardzo dużo kuracjuszy zamieszkiwało u gospodarzy i z tego też były pewne zyski... Ksiądz Czaban wiedział jak było za czasów cara (zacofanie, żadnych szkół) i z tego powodu ... Organizował wieczory kulturalne. Po prostu uczył... Wlewał wiedzę życia - chętnym. Odpowiadał na pytania ... Moja mama nie pościła ani jednego wykładu. To co ona powiedziała... Ja teraz przelewam na papier.. Cóż ksiądz zajął się swoim uzdrowiskiem a kościół i parafia zostały opuszczone i zapuszczone 93 ha należało do kościoła - były to łąki i krzaki).. Ludzie jeździli do biskupa żeby dał innego księdza. Pewnego dnia przybył nowy, młody energiczny wysoki i dobry ksiądz. Był dobrym kaznodzieją. Nazywał się Piotr Paweł Andryka... Po przyjeździe nowego księdza ludzie odetchnęli. Wszystkim się podobał... Jak długo Czaban nie wtrącał się do spraw parafii tak długo był spokój i ład. (Gdy zaczęły się kłótnie) ksiądz Czaban opuścił plebanie i przeprowadził się na Słone Błoto czyli na swoje uzdrowisko... parafia została podzielona na dwa jak gdyby obozy; Czabanowców i Andrychowców. .. Ksiądz Czaban miał lepsze chody w kurii i po roku ksiądz Andryka został przeniesiony do Tajkuru a nam przysłano nowego księdza - człowieka starszego - Józefa Czajkowskiego.

Ksiądz Józef Czajkowski

Z księdzem Czabanem ks. Józef Czajkowski bardzo szybko znalazł wspólny język... Zaakceptował on czabanowców a wrogo ustawił się do andrykowców. Gdy po wojnie odnalazłem go w Nysie. Pierwsze jego słowa były: A ty jesteś andrykowcem czy czabanowcem... w 1939 r. ks. Józef Czajkowski został zmobilizowany do wojska .

Nowy ksiądz

Po wejściu wojsk sowieckich na nasze wschodnie ziemie i po zajęciu Łucka jako miasta wojewódzkiego zostało rozwiązane seminarium duchowne w Łucku. Wicedyrektor tego seminarium wiedząc, że u nas parafia jest wolna - bez księdza przyjechał i objął ją. Księdzem tym był ks. Dr prałat Bronisław Drzepecki. Ksiądz Bronisław Drzepecki był księdzem z prawdziwego zdarzenia, był kapłanem w pełni tego słowa znaczeniu. Do parafii Huta Stepańska należały takie wsie jak Kamionka Stara, Kamionka Nowa, Lady ,Huta Mydzka, Huta Stydyńska, Wyżkowa, Ozigowo, Romaszkowo, Tchory, Grabina, Tenne Rządowe, Tenne Stepańskie, Hrada, Borek no i Hyta Stepańska. Jak żaden ksiądz dotąd jeździł na rekolekcje do wiosek, które były oddalone 12-15 km od Huty. Ja jako ministrant często z księdzem Drzepeckim jeździłem... starał się zjednoczyć rozbitą parafię. Pomimo prześladowań przez władzę miejscową, radziecką nie poddał się. Został wypędzony z plebani. Zamieszkał początkowo u Hniteckiego a w późniejszym okresie u gospodarza Dionizego Lipińskiego. Bez względu na pogodę codziennie była odprawiana Msza Św. Ja zaś jako ministrant przychodziłem o 630 i dzwoniłem dużym dzwonem. Ks. Bronisław Drzepecki urodził się 13 marca 1906 roku w Felsztynie na Podolu w bardzo licznej rodzinie. Derepów. W 1922 roku ucieka z terenów zajętych przez bolszewików. Przekracza nielegalnie granicę na rzece Zbrucz i dostaje się na tereny polskie. Cudem unika śmierci, bowiem bolszewicy

strzelają do niego kiedy przepływa rzekę. ...Tu zaopiekował się nim ks. Proboszcz Nosalewski były proboszcz Płoskirowa. Jak również otoczył go opieką biskup kamieniecki Piotr Mańkowski. W seminarium dokonał zmiany nazwiska z Derepa na Drzepecki. 7 września 1930 r. otrzymuje święcenia kapłańskie we Włodzimierzu Wołyńskim.. w 1933 r. wyjeżdża na studia do Rzymu. Po skończonych studiach otrzymuje tytuł doktora teologii i wraca do kraju. Wybuch wojny w 1939 roku zniweczył piękne zamierzenia i prace. Wojska radzieckie zajęły Łuck. Zostaje zmuszony do opuszczenia stanowiska wicerektora seminarium duchownego w Łucku i przenosi się do Huty Stepańskiej - wiedząc, że parafia jest wolna (ponieważ ks. Czajkowski został powołany do wojska...)

Szkoła.

(Autor charakteryzuje sylwetki nauczycieli - bardzo ciekawie).

„W roku 1927 oddano do użytku piękny murowany budynek szkolny. Przez cały czas za wyjątkiem 1933 r. było 7 oddziałów. Kierownikami szkoły byli, Witman, którego nie pamiętam. Jego żona uczyła mnie religii. Następnym był Czesław Gawęda - jego żona też uczył. Ostatnim kierownikiem szkoły był Władysław Kurkowski. Jego żona uczyła języka polskiego... Jako jeden z pierwszych nauczycieli, który mnie uczył i którego zapamiętałem był Gałczyński. Był bardzo dobrym nauczycielem i człowiekiem. Miał bardzo dobre podejście do dzieci. Przed nim nikt nie miał lęku, był zawsze uśmiechnięty. Wprowadzał nas bardzo umiejętnie w tryb życia szkoły, ale coś na nasze nieszczęścieprzenieśli go.... na jego miejsce przyszedł Burkacki. Tego też pamiętam, ale z tej gorszej strony... Bił za byle co. Przed wojną kto miał maturę dostawał od razu stopień oficerski. I właśnie Burkacki wykorzystywał to przychodząc do szkoły w mundurze wojskowym - oficerskim. Wiadomo , że jak był mundur to musiał być i pas... Za byle co kładł na ławkę i bił. Dziewczynom podnosił spódnice lub sukienkę a chłopcom ściągnął spodnie i lał na goły tyłek ile chciał. Ja ... miałem przyjść do szkoły na godz. 10 30 , ale przyszedłem trochę wcześniej. Stałem na korytarzu oparty o ścianę niedaleko drzwi wejściowych do klasy. Na korytarzu nie widziałem nikogo. W pewnym momencie wskoczył na korytarz kolega z mojej klasy, który nazywał się Janek Wiatr (prawdziwy wiatr) podbiegł do drzwi i kopnął je i wyskoczył jak wiatr. Ja stałem tam gdzie stałem. Wtedy drzwi się otworzyły wybiegł Burkacki , chwycił mnie za rękę wciągnął do klasy i zanim zdążyłem się wytłumaczyć wziął linijkę taka 50 cm i uderzył mnie z całej siły. Wiem tylko tyle, że jeden kawałek linijki został u niego w ręku drugi na podłodze a trzeci u mnie w ręku, który trzymałem kurczowo. Ja myślałem, że mi serce pęknie, ale nie z bólu od uderzenia to był ból moralny gorszy od fizycznego. Pomyślałem, dlaczego nie zapytał, kto uderzył w drzwi. Miałem cztery godziny lekcyjne i ja te cztery godziny przeplakałem. Jednak to, że Janek Wiatr kopnął w drzwi widziała Jadwiga Juzukuwna, córka organisty, której ja nie zauważyłem i powiedziała Burkackiemu, że to nie ja a Janek Wiatr (kopnął drzwi). Gdzieś na trzeci dzień po tym zajściu zawołał mnie Burkacki, dał pieniądze i poprosił, żebym kupił czekoladowych cukierków... Było tego chyba kilogram. Przyniosłem cukierki do kancelarii, podałem mu je nie patrząc w jego stronę, gdyż zauważyłem, że to jest dalsze upokorzenie mnie. Wychodząc usłyszałem - zaczekaj. Poczęstował cukierkami nauczycieli będących w kancelarii a resztę podał mi i powiedział: to za fatygę. Wychodząc wiedziałem, że to było coś w rodzaju przeprosin. Pomyślałem sobie, a niech tam będzie i tak. Następnym nauczycielem podobnym do Gałczyńskiego był Mike. Nie był długo. Wspominam go też jako bardzo miłego i dobrego pana. Było też małżeństwo Beneszów. On mnie nie uczył a ona za najlepsza odpowiedź stawiała dostateczny. Twierdziła, że na bardzo dobry umie Bóg, nauczyciel na - dobry a uczeń jak bardzo dobrze odpowiada to może dostać dostateczny. Innych nauczycieli autor pamięta panią Chomiczką panią Łaszczukową - córkę popa. Inni

nauczyciele to Wera Poważykówna Józef Olearczyk, - uczył muzyki i śpiewu oraz prowadził harcerstwo Pan Romaniec - uczył matematyki. Był i Franciszek Grendus, który był bardzo dobrym nauczycielem, później uczył w Kamionce. Zginął w Katyniu. Jest na liście zamordowanych przez NKWD. Kamiński za Niemców uczył języka ukraińskiego. Wcześniej w 1940 roku został wywieziony na Sybir. Po tygodniu wrócił, gdyż uznano wywóz za jakąś pomyłkę. Była jeszcze nauczycielka o imieniu Maria. Jako ostatnia nauczycielkę wspomina pan Edward nauczycielkę narodowości ukraińskiej przysłaną za władzy radzieckiej Tamarę Aleksandrownę Osiczenko i tak o niej pisze:

„Była przesłana jako nauczycielka języka rosyjskiego. Była ładna i energiczna. Najgorszym mankamentem było to, że ona przyjechała do nas - dzieci nie rozumiejących w ogóle po rosyjsku, z programem do 6 klasy szkoły radzieckiej. Rezultat był taki: Pierwsza lekcja zaczęła coś czytać. Rozumiałem tylko tyle: dwa czasu, cztery czasu.... ale czego co to nie wiedziałem. Okazało się, że ona czytała plan nauki na cały rok. W tym literatura, więc trzeba było czytać dużo książek a my przecież nie znaliśmy nawet alfabetu rosyjskiego. To coś czytała nam cała godzinę. Na następny dzień ledwo weszła do klasy, wzięła dziennik popatrzyła na nas 5 i chyba ja jej się podobałem, bo byłem bardzo piegowaty, podeszła do mnie i coś zaczęła mówić, uważałem, że trzeba wstać bo coś pyta. Wstałem i patrzymy na siebie. Ona tylko mówi „nu” a ja nic. Coś powiedziała i odeszła a ja stoję nadal. Obejrzała się zobaczyła, że stoję, podeszła przycisnęła mnie do ławki, więc zrozumiałem, że mam usiąść . To powtarzało się codziennie było ciągle „nu” i „oczeń płocho” czyli niedostatecznie. Co znaczy „oczeń płocho” dowiedziałem się od kolegi Ukraińca. Nie wiem czy moje piegi tak jej się spodobały czy tak mnie znienawidziła bo wywoływała mnie codziennie i codziennie było to „nu” i sakramentalne „oczeń płocho”. Pewnego dnia nie wytrzymałem. Kiedy mnie znowu wywołała, ja bez zastanowienia popatrzyłem groźnie na nią i wyrecytowałem: Proszę do mnie mówić po polsku, bo ja pani nie rozumie, czy pani to rozumie czy nie!!! Tamarę jakby замуrowało. Popatrzyła na mnie i wyskoczyła z klasy. Po chwili wróciła z kierownikiem szkoły Kurkowskim. Ten mnie pyta - coś ty jej takiego powiedział, że ona taka rozżalona do mnie przyszła. Ja opowiedziałem jak było. Dyrektor zaczął jej tłumaczyć, że do nas nie należy tak podchodzić jak do dzieci w Związku Radzieckim, My nie możemy czytać literatur ani uczyć się gramatyki skoro jeszcze liter nie znamy... U nas trzeba zastosować inną taktykę i inny program. Zrozumiała wreszcie i rezultat był taki, że ona wcześniej nauczyła się języka polskiego niż my rosyjskiego. A pomógł jej nasz szkolny sekretarz Bronisław Zieliński, który był już jej narzeczoną lub coś w tym rodzaju. Tu muszę zaznaczyć, że poznanie języka polskiego przez Tamarę Aleksandrowną pomogło w nauczaniu nas języka rosyjskiego. W ciągu niecałego roku myśmy już czytali Lermontowa i Puszkina... Pewnego dnia coś jej odbiło i kazała wszystkim chłopcom obciąć włosy jak u nas się mówiło na łysą pałę.. czyli przy samej skórze. Przed wojną u nas w szkole był taki zwyczaj, że chłopcy w siódmej klasie już mogli nosić włosy takie na 3-4 cm. Myśmy się już czuli jako najstarsi w szkole upoważnieni do noszenia takich włosów. Siódmej klasy nie było, bo Sowieci cofnęli wszystkie oddziały o jedną klasę wstecz. Nie pomogły prośby i tłumaczenia, że w tym wieku tzn. 14 lat chłopcy dotychczas nosili już włosy dłuższe. Domyślałam się, że była to sprawka sekretarza szkoły Bronisława Zielińskiego, który był fryzjerem i jej chłopakiem czy narzeczoną. Nazajutrz wszyscy przyszli ostrzyżeni a ja nie, ale to nie była moja wina, po prostu rodzice nie dali mi pieniędzy na fryzjera. Rano na pierwszej lekcji zauważyła moje włosy Tamara Aleksandrowa i powiada: „Ja na ciebie smotret nie mogu” (ja nie mogę na ciebie patrzeć). Ja wtedy mówię: - To ja wyjdę z klasy! ... Odpowiedz -ujdi - więc wyszedłem. Jeszcze dobrze drzwi się nie zamknęły a sąsiad Żydek Szpetryk Nosel o którym już wspominałem głośno powiedział: „Nu stoi jak pies za drzwiami”. Ja nie wytrzymałem szybko wróciłem do klasy i powiedziałem: „Żydzie za to' powiedzenie dostaniesz tęgie lanie” - Ta-

mara Aleksandrowa krzyczy; - ujdź z klasa ... - Nie wyjdę odpowiedziałem. - A to ja ujdę i wyszła. Widocznie kierownika nie było bo przyszedł sekretarz - czyli Bronek Zieliński i wyprowadził mnie z klasy. Idąc do domu Żydowi wlałem ile chciałem. Na drugi dzień Tamara Aleksandrowa wzywa mnie i Nosela i pyta: - Nosel bił cię Edek? - Nie - odparł. - Przecież wiem, że cię bił. - Dużo dzieci to widziało. A on na to; chyba ja wiem lepiej czy mnie bił czy nie bił. - Na tym sprawa ta się skończyła" Jeszcze raz miałem zatarg z Tamara Aleksandrowa. Zawiała organizację „Pionierów”. I tak jakoś się złożyło, że wszyscy się zapisali tylko ja i córka organisty, Jadwiga Józukówna nie. Namawiała mnie, straszyla, groziła mi dwójką z zachowania ale ja byłem uparty. Wyrzuciła mnie z chóru szkolnego, bo to był chór pionierski, powiedziała nawet, że postawi mi dwójkę ze śpiewu i nie przejdę do następnej klasy, ale tego nie zrobiła. Ogólnie mówiąc lubiłem ją"

Gdzieś w 1937-8 roku moja mama ciężko zachorowała... początkowo zażywała po jednym proszku od bólu głowy (koguciki) potem po 6-8 dziennie. Wreszcie zdecydowała się pójść do lekarza w miasteczku... Był bardzo dobry lekarz zdaje się narodowości niemieckiej -Misol. Z relacji mamy: Jak weszła tylko do gabinetu nie badając postawił diagnozę. .. Dlaczego pani z tym zwlekała? - Dlaczego pani nie przyszła wcześniej u pani w głowie tworzył się wrzód. Ponieważ nie mógł się wydostać do wierzchu poszedł w kierunku mózgu. Z listu napisanego przez jedną panią która leżała obok mamy w szpitalu dowiedzieliśmy się, że mama miała trepanację czaszki. Dowiedzieliśmy się później, że to była operacja, z której zostaje przy życiu 1 osoba na 1000. Robiący te operację lekarz zrobił wielką sławę. Jak opowiadała mama to gdzieś dwa tygodnie po operacji zjeżdżały się różne komisje lekarskie, aby obejrzeć pa-cjenta i sprawdzić czy faktycznie z każdym dniem czuje się lepiej? Mama przez 6 tygodni była oczkiem w głowie ordynatora szpitala w Tiutkowicach (dzielnica Równego)... Jak byłem w piątej klasie ogłoszono, że organizowana jest wycieczka do kamieniołomów w Janowej Dolinie... zobaczyliśmy pracę skalnika. Pokazano nam jak robią kostkę o wymiarach 19x10x10 lub 10x12x8. Mierzyliśmy i nie znaleźliśmy nawet milimetrowej różnicy. To było przeżycie. Jak nauczyłem się pływać.

... U mego sąsiada Hipolita Sawickiego był chłopak narodowości ukraińskiej, który pasł krowy. Miał około 15 lat, a na imię Hryć, ktoś wymyślił na niego takie zdanie, które go zliło „Hruć peryperdyk makosrajów syn”. Koledzy mnie namówili żebym powiedział mu to zdanie, a że ja tego nie rozumiałem więc jak go spotkałem to mu to powiedziałem... On trzymał w ręku bat i z tym batem puścił się za mną, w pogoń. Ja nie czekając uciekłem. Po paru dniach w porze obiadowej poszedłem nad rzekę. Najwięcej chłopców było przy mostach, bo tam było najgłębiej. Stanałem na moście oparty o poręcz i przyglądałem się jak koledzy skaczą z mostu do wody. W pewnym momencie poczułem, że unoszę się w górę a następnie lecę w dół do wody w ubraniu i w miejscu gdzie było najgłębiej. Zacząłem się bronić przed utonięciem machając rękami i nogami. Stał się dla mnie cud zauważyłem, że płynę. Dopłynąłem do brzegu chwyciłem się trawy chcąc wyjść na brzeg, poczułem bicie po palcach różgą. To mnie strasznie zabolalo. Więc odepchnąłem się i zacząłem płynąć do drugiego brzegu. Na drugim brzegu spotkało mnie to samo bicie po palcach. Przepłynąłem chyba z osiem razy tam i z powrotem aż w końcu zabrakło mi sił. Zacząłem krzyczeć. Ostatkiem sił dopłynąłem do brzegu, wyszedłem i zobaczyłem śmiejącego się, Hrycia, który mi oświadczył, że jak jeszcze raz powiem na niego to, co powiedziałem to mnie utopi. Taką przygodę miałem z Hryciem, najadłem się przy tym strachu, ale od tej pory już sam skakałem z mostu i nauczyłem się pływać. (W dalszej części pracy autor przedstawia swoich kolegów i opisuje rozmieszczenie najważniejszych dla wsi obiektów takich jak: Kościół, szkołę, młyny, kasę Stefczyka, piekarnię, dom ludowy, posterunek policji, cmentarz, gdzie chowano ludzi z 17 wiosek mleczarnię, boisko sportowe itp. i itd.

Rok 1939)

... pamiętam jak na ulicy zbierały się tłumy i rozprawiali o tym co zaszło... Najpierw była mobilizacja zabrano dużo ludzi. Przy posterunku policji wielki płacz odjeżdżających i żegnających. Następnie przywieźli od granicy niemieckiej ludzi narodowości niemieckiej i porozmieszczali ich u gospodarzy. Ci ludzie pracowali przy wykopkach ziemniaków a w południe mieli się wszyscy meldować na policji... Policja nasza jak sobie przypominam nie wiedziała jak się zachować. Raz wychodzili w mundurach a raz po cywilnemu. Ludzie szli na plebanię lub do szkoły żeby posłuchać radia, a wieści z każdym dniem były gorsze. Niemcy parli na przód. W Hucie Stepańskiej grupowo pokazywali się żołnierze w mundurach. Oficerowie uciekali samochodami. Policjanci każdego legitymowali i wpisywali do ksiąg. Zatrzymano oficera, który przewoził pieniądze w banknotach 5-cio złotych. Komendant policji zarekwirował pieniądze, oddał sołtysowi, żeby rozdzielił pomiędzy mieszkańców Huty Stepańskiej. Jakby tego było mało to gdzieś 14, 15 września nadeszła wieść, że Ukraińcy ze Stepania okopali się na przedpolach Stepania i nie wpuszczają ani nie wypuszczają nikogo z miasta.... (oddalonego o 12 km)... z relacji wynikało że szykowali się zaatakować Hucę Stepańską albo... bali się ataku Polaków, choć Polacy byli bardzo dobrze usposobieni do Ukraińców... Ruch Ukraińców w Stepaniu bardzo poruszył moją mamę, bowiem brat Janek do września pracował w Stepaniu na poczcie jako listonosz i dotychczas nie wrócił do domu... a to, że przeżył zawdzięcza swojemu gospodarzowi i jego synowi, który już wtedy był przywódcą bandy. A oto jego relacja:

„Było to gdzieś 4-5 września nadleciały trzy niemieckie samoloty i zrzuciły trzy bomby. Celowo na most. Jedna spadła przed mostem i rozerwała się w rowie. Druga tuż przy słupie telefonicznym i uszkodziła przewody, a trzecia wcale się nie rozerwała - nie wybuchła wcale. Naczelnik poczty polecił mi i Henrykowi Piotrowskiemu abyśmy wzięli słupolazy i połączyli rozerwane przewody telefoniczne. Brat opowiada dalej. Ledwo wszedłem na słup i połączyłem przewody, a tu jak spod ziemi wyrasta bardzo duża grupa ludzi i starszych i młodych, którzy kazali rozerwać połączone przewody. Zorientowałem się, że to są ludzie narodowości ukraińskiej. Poznałem dużo młodych z którymi chodziłem do szkoły. Do lochu z nimi - wołali.. My u nich byli 20 lat w niewoli, a oni niech posiedzą chociaż 20 dni. Inni znowu wołali, na szubienicę ich! - Zrozumiałem, że źle z nami. Zaczęto nas popychać w stronę miasta. Myśmy łączyli przewody po drugiej stronie mostu. Gdy nas już zepchnęli prawie do rynku, zjawili się nasi gospodarze mój Jarmoluk i Heńka Piotrowskiego (chyba) Moisiejew ... Gospodarze nasi zatrzymali ten pochód i Jarmoluk powiedział: - Chłopcy czepiacie się nie tych co trzeba. Zrobiła się straszna wrzawa, o to, że ktoś tam ma czelność stanąć w obronie Polaków. Wtem na te krzyki przyszedł syn gospodarza, dwa metry wzrostu i powiedział krótko - wypuścić ich. Odezwał się głos a jak pójda do Huty Stepańskiej to przyjdą strzelcy i będą nas bić!. Odpowiedź była krótka: Ja za nich odpowiadam. Mój gospodarz zabrał mnie do domu i mówi tak; Janek ty się nie gniewaj, ale ja ciebie muszę zamknąć czyli w piwnicy zbudowanej na dworze przykrytej dachem od ziemi.. Wyobraź sobie, że ci dumnie przyjdą jeszcze raz a jak Miszy nie będzie to ja cię nie obronię. Więc poszedłem bez oporu. Powiedział jeszcze, że jak się uspokoi to ja ciebie odprowadzę do Melnicy (6 km) a potem pójdziesz do domu. Po paru dniach siedzenia w piwnicy otworzyłem drzwi, żeby wpuścić ciepłego powietrza. Usłyszałem straszna strzelaninę. Początkowo jakby trochę dalej a później jakby przenoszącą się do centrum miasta. Walka trwała dość długo. Okazało się, że kompania KOP-u wycofywała się spod rosyjskiej granicy i droga ich wiodła przez Stepień, a więc musieli przejść przez most na rzece Horyń. Gdy weszli na most banda nacjonalistów ukraińskich zaatakowała ich. Podobno zabity został porucznik i kapral. Wojsko jak wojsko szybko rozprawiło się z bandą. Rozgromili, wzięli zakładników, których za miastem rozstrzelali. Jeden z nich był mi znany miał niemieckie nazwisko Kromf Piotr, ale był Ukraincem...Wojsko chciało puścić z dymem ukraińskie budynki, ale ksiądz proboszcz

Stepania wyprosił u nich zaniechanie tego zamiaru. Powyższe to była wypowiedź mojego brata Janka.

Nowa władza ...(21 -22 września 1939 r.)

... Autobus zatrzymał się przed posterunkiem, przepuścił samochód ciężarowy. Z samochodu ciężarowego wyskoczyli (radzieccy) żołnierze okrążyli autobus i wtedy z autobusu wyszli... bolszewicy, których widziałem w Stepaniu. Gdy doszli do budynku posterunku komendant zszedł na dół, podszedł do jednego z tych ludzi / dwóch było w mundurach wojskowych a jeden w skórzanej kurtce i głośno zameldował: Ja komendant posterunku w Hucie Stepańskiej przekazuję w ręce władz sowieckich władzę i proszę o pójście na posterunek w celu przekazania wszelkiej broni łącznie z osobistą. Ten jakby ogłupiał. Stał nie wiedząc, co ma robić. Widocznie nie spodziewał się takiej reakcji. Po chwili podał rękę komendantowi i wszyscy weszli na posterunek. Siedzieli tam dość długo. Ludzie podchodzili do żołnierzy, ale ci byli jakby speszeni. Nie chcieli początkowo rozmawiać, ale po jakimś czasie jak zaczęli się nawzajem częstować machorką i papierosami języki im się trochę rozwiązały. Do budynku posterunku zawołano dwóch żołnierzy, którzy po chwili wyszli niosąc dwa karabiny, oraz kilka pistoletów z pasami i kaburami oraz jedna dubeltówkę i to wszystko załadowali na samochód ciężarowy. Komendanta i policjantów puszczono na razie do domów. Po wyjściu oficerów z posterunku jeden z nich zabrał głos... Powiedział tak: Ja tu będę u was coś w rodzaju wójta. Opowiadał o Związku Radzieckim, że u nich ludzie bardzo dobrze żyją że oni przyjechali nas wyzwolić od gnębicieli, żeby się ich nie bać, nie słuchać wrogiej propagandy

- oni biednym nic nie robią a niszczą tylko bogatych. Mówił, że przyjadą jeszcze do nas i my sami sobie wybierzemy swoją władzę, która rządzić będzie w naszym imieniu. Po kilku dniach przyjechali na wybory władz. Zanim nastąpiły wybory jeden z nich miał znowu przemówienie... rozwodził się o tym jak to dobrze ludzie mają w Związku Radzieckim. Wszyscy mają wszystko i teraz u nas też tak będzie... Po długim przemówieniu poprosił ludzi o zabranie głosu: Pamiętam jako pierwszy zabrał głos Stanisław Sawicki zwany „Griszuk” . Był on żonaty z moją sąsiadką Wiatrową. Jego szwagier był gajowym u księcia Radziwiłła

- nazywał się Chodorowski Zwrócił się z zapytaniem i to w czysto rosyjskim języku: Przedstawił osobę Chodorowskiego i zapytał: Czy taka osoba, która całe życie pracowała na księcia może żyć w obecnym ustroju, czy nie będzie szykanowana lub więziona?. Bolszewik pomyślał i powiedział, jeżeli pracował na księcia to oczywiste jest, że mu nic ze strony władzy radzieckiej nie grozi. Ale dużo gajowych zostało wywiezionych na Sybir. Pamiętam, że zabierało głos dużo ludzi, ale to w formie pytań... Pamiętam jeszcze, że jakiś chłop z Wyrki wystąpił i tak się rozgadał, tak szkalował rząd polski, że zapomniał gdzie jest i co mówi. W pewnej chwili powiedział: Rząd polski nie dbał o ludzi, człowiek był bez pracy i nieraz musiał za 80 groszy Żydom bieliznę prać. Ludzie wybuchnęli śmiechem, a on mówca ocknął się. Wtedy Dawid Bojer pełniący funkcję milicjanta aż się poderwał z krzesła... Wybory wyglądały tak: Bolszewik wziął kartkę do ręki i powiedział - Ja wam proponuję na stanowisko Przewodniczącego Rady gminnej Iwana Szwałę. On całe życie pracował u księdza, zna biedę i będzie dobrym Przewodniczącym. Kto za - proszę rękę do góry. Jak jeden mąż wszyscy podnieśli ręce do góry? Cóż mieli robić jak nie podnieść rąk do góry. Gdyby ktoś nie podniósł to byłby uważany za wroga. Bolszewik uśmiechnął się tylko. Przeciwnych ani wstrzymujących się nie było. Nie wiem dlaczego ale na sekretarza Rady zaproponował Stanisław Sawickiego... Który tak pięknie mówił po rosyjsku ujmując się za Chodorowskim. Następnie był wybór na komendanta milicji. Zaproponował Dawida Bojera, który już pełnił tę funkcję. Na Bojera głosowali wszyscy za wyjątkiem jednego Żyda-Jankiela, który zapytany, dlaczego jest przeciwny tej kandydatury, nie wiedząc, co odpowiedzieć rzekł; że Bojer to polski szpieg. Bolszewikiem aż zatrzęsło - powiedział tylko- milicjonier bierz go do aresztu. Bojer wstał i powiedział „Idy w pered" (idź naprzód). Na tych wyborach wybrali

jeszcze dziesiętników. Zadaniem ich było zawiadamianie ludzi o zebraniach i dopilnowywanie, żeby (ludzie) poszli na nie... Jeśli ktoś nie poszedł... Powiadomić władzę... Uznany za przeciwników groził Sybir.

Nowa władza w osobie Iwana Szwajki i Stanisława Sawickiego przystąpiła do rządzenia, a rządzenie polegało na tym, wzięli się za zsyłki ludzi na Sybir. Zaczęli od księdza Czabana, ale im uciekł, więc zabrali księdza rodziców staruszków, których nie dowieźli bo w drodze poumierali. Następnym do zsyłki by komendant policji oraz policjanci, a po niedługim czasie ich rodziny. Nie upłynęło wiele czasu a zabrali sierżanta Kułakowskiego, a po paru tygodniach jego żonę i syna Bogdana. Jeden z mieszkańców Huty był w policji ale służył w Warszawie, kiedy Polska upadła wrócił do domu. Był to Franciszek Choraży, a mieszkał z matką i dwoma braćmi Władysław był kowalem a Firym miał gospodarkę. Szwaja i o nim nie zapomnieli, pewnej nocy przyjechało NKWD po Franciszka, ale on był sprytniejszy i im uciekł... przez okno. Nie dali za wygraną i przyjechali po całą rodzinę. W tym czasie Firym odbywał karę w Klesowie w kamieniołomach... dostał trzy miesiące ciężkich robót za to, że nie wykonał zadania nałożonego mu przez Szwaję i jego bandę tzn. Nie wyrąbał w lesie w określonym czasie 10 000 tyczek. Już wsiadali wszyscy, czyli cała rodzina na sanie a tu przychodzi Firym, bowiem odbył już karę. Był ucieszony, że zastał jeszcze wszystkich i usadowił się na saniach przy swojej żonie i dzieciach. Żłudne były jego marzenia, że pojedzie wraz z rodziną. Ich prawo było takie - przyjechali, kogo zastali zapisali i w drogę, a tu Firym nie był zapisany a lista zamknięta, podkreślona i koniec, kropka. Powstał wielki płacz, tak Firyma jak i jego żony i dzieci. Wiadomo każdemu, że sowietci byli artystami od propagandy, potrafili nawet niewinnego przekonać, że jest winny. Potrafili przekonać i Firyma, powiedzieli mu tak: Ty powinienes nas po rękach całować, że my ciebie zostawiamy: Czy ty wiesz, że tam dokąd oni jadą jest głód, mrozy, a kto im pomoże jak wszyscy wy pojedziecie-co? - A jak ty tu zostaniesz to będziesz im wysyłać paczki i oni przetrwają. Tym przekonali Firyma a on swoją rodzinę... zostali wywiezieni na południe Kazachstanu... wszyscy wrócili oprócz matki, która była w podeszłym wieku i umarła daleko od Polski... w 1940 roku brat Jasek pracował w urzędzie pocztowym w Hucie Stepańskiej. Pewnego dnia zadzwonił telefon. Brat podniósł słuchawkę przedstawił się i posłyszał słowa ; Tu NKWD, połączcie mnie z Siel Sowietem czyli z Gromadzka Rada Narodową. Brat połączył i włączył się na podsłuch. Głos ze Stepania - to wy Szajko? -Tak - no to dawajcie: Brat przestał oddychać żeby nie wyczuli, że podsłuchuje! Szwaja zaczął; Helena Sawicka - komendantka strilczyn-przeciw Związkowi Radzieckiemu. - Henryk Sawicki - miał piekarnie, bogacz - przeciw Związkowi Radzieckiemu. - Jako następny był mój ojciec - carski strażnik - przeciw Związkowi Radzieckiemu. Bratu po usłyszeniu tego wyroku słuchawka wyleciała z rąk. Przyszedł na obiad, ale go nie jadł, chodził smutny i zamyślony ze trzy dni. Nie pomagały prośby mamy, żeby powiedział, o co chodzi, zawsze była jedna odpowiedź „nic”. Wreszcie wyksztusił z siebie: Szykujcie się na Sybir... Pamiętam rodzice zabili świnie posprzedawali krowy, nakupili dużo potrzebnych na Sybir rzeczy, jak ciepłą odzież, buty, czapki z nausznikami, kufajki i spodnie watowane, ciepłe rękawice. Mama codziennie piekła chleb i od razu suszyła go na suchary. Byliśmy na zsyłkę przygotowani. Każdej nocy ktoś spał u którejś z siostrz mamy, gdyż pomni na Firyma też chcieliśmy, żeby ktoś z nas został i pomagał tym, którzy pojedą na Sybir. Na nasze szczęście i pół nieszczęścia Niemcy uderzyli

na ZSSR

Życie za Sowietów

Naród był w ciągłym strachu przed zsyłką. Właściwie zesłali już kogo mieli zesłać, ale każdy wiedział o tym, że o wszystkim decydował Michał Szwaja i Stanisław Sawicki... Wcześniej było we wsi 3-6 sklepów. Za władzy sowieckiej zrobili jeden sklep zwany powszechnie kooperatywa. Towaru nie było. Początkowo nawieźli pudru, wody kolońskiej i portretów członków Biura Komitetu Centralnego, a było tego bardzo dużo. Przytoczę tu

jeden epizod. O którym było głośno we wsi. Na uzdrowisku pracował pewien mężczyzna pochodzący z Łódw. Wsi sąsiedniej a jednocześnie był muzykantem... dla kuracjuszy. A nazywał się Tomala. Otóż ten Tomala pewnego dnia wszedł do sklepu czyli kooperatywy z siatką w ręku. Sklepowa była kobieta narodowości żydowskiej nazywała się Złotka. W tym samym czasie w kooperatywie był milicjant -Rosjanin naczelnik NKWD. Tomala niby żartem mówi: Złotka czy ja mogę wziąć Stalina za jaja. Złotka zbladła. Milicjanier skoczył do Tomnali z groźną miną i krzyczy: Czto ty skazał? ... Naczelnik też nasrożył się strasznie. Tromala ze spokojem sięga do siatki i mówi: Wy mnie nie zrozumieliście ja chcę wziąć, czyli kupić portret Stalina za jajka, bo nie mam pieniędzy. Wyłożył wszystkie jaja, które przyniósł i poprosił za wszystkie portrety. Nabral tyle, że ledwie udźwignął. Milicjant z naczelnikiem stali z wybałuszonymi oczyma i nie wiedzieli co mają robić. Było z tego dużo śmiechu... Raz przywieźli bardzo dużo czapek... były bardzo tanie... Mój brat Janek... kupił 20 szt. (autor pisze ,że pewnego razu przywieźli też sól i on kupił 250 kg bez zgody rodziców - później ta sól im się bardzo przydała)... Ale teraz opiszę (pisze autor) jak się kupowało lepsze towary jak cukier czy materiały tekstylne. Ktoś wychodzi ze sklepu i mówi, że jadą po towar. Nie wiadomo skąd już ustawiła się kolejka. Wszyscy stoją do wieczora nikt nie może odejść ani na chwilę bo traci kolejkę. Stojący mógł być ewentualnie podmieniony przez innego członka rodziny... Po towar jeździli zazwyczaj na noc do Sterpania. Stojący w kolejce mieli dużo nie wiadomych. Pojechali, ale czy przywiozą? A jak przywiozą- to, co? Czy wystarczy wszystkim stojącym w kolejce?. Jeśli dostali towar to wracali nad ranem. Złotka przychodziła do pracy o 7 00. Przyjmowała towar do 12 00 a czasem i do 15 00. Następnie komisja zastanawiała się czy sprzedawać na osobę stojącą w kolejce czy na rodzinę. I wtedy gdzieś około 16 00 zaczynano sprzedawać... Ludzie przeklinali sowiecką władzę, bo obłożono ich kontyngentami nie do zrealizowania. Przeklinali, ale po cichu. Byli i tacy, co donosili do

Szwaji. Byli też tacy, którzy specjalnie chodzili i podsłuchiwali pod oknamiKiedy już władza sowiecka utrwaliła się przyjechał na uzdrowisko nowy dyrektor Osnow, następnie przyjechała jego żona z dwojgiem dzieci. Przyjechali nocą więc nic nie widzieli, ale kiedy wyszli rano na podwórko i zboczyli domy kryte blacha, duże sady wokół domów, szybko przybiegł starszy i z krzykiem oznajmił ojcu i matce, że tu żyją sami obszarnicy... Ale jak spotkał portiera, który otwierał bramę to znów pobiegł do ojca i powiedział, że widział jednego kołchoźnika... Jak wroga była propaganda wobec Polski dowiedziałem się od pani Miszczenko (Miszczenko jako kucharz przyjechał do uzdrowiska. Był na wojnie rosyjsko-fmskiej. Pani Miszczenkowej odradzano wyjazd do Polski mówiąc, że ludzie są groźni nie życzliwi, żyją jak dzikusy. Ona jednak postawiła na swoim z trudem wyrobiła dokumenty i przyjechała z Leningradu do męża)... (Autor opisuje jej wspomnienia) „Przyszedł wreszcie dzień wyjazdu z Leningradu Wsiadam do pociągu bez kromki chleba, bez niczego...Zanim pociąg ruszył. Dzieci zaczęły płakać i szeptem mówią- mamu jeść nam się chce. Widocznie byłam obserwowana, bo zaraz zjawił się człowiek z NKWD i pyta dlaczego dzieci płaczą? -A ja szybko tłumaczę, że dzieci płaczą za ojcem. Nareszcie pociąg ruszył. Długo jechaliśmy a dzieci coraz natarczywiej dopominają się jedzenia. Pociąg się zatrzymał - słyszę jakby w obcym języku ktoś woła „bułeczki”. Wyrzłam przez okno i zobaczyłam młodego człowieka niosącego w koszyku „bułoczki” białe i pulchne. Powiadam „Pan, proszę bułoczki i podaje mu banknot pięćdziesięcio rublowy. Pyta - ile, nie zrozumiałam od razu, ale za chwilę domyśliłam się, o co chodzi. Powiadam za wszystkie pieniądze. Popatrzył na mnie uśmiechnął się i podał mi wszystkie razem z koszykiem i odszedł. Pociemniało mi w oczach. Myślałam, że to sen. Zamykam oczy, następnie otwieram i widzę nadal ten sam koszyk z pachnącymi bułeczkami. Dzieci z oszupiałymi buziami stały nieruchome z wrażenia. Ja jeszcze nie ochłonełam a tu znowu dał się słyszeć głos - kielbasa, komu kielbasa. Teraz to już do mnie szybciej dotarło. Wychylam się przez okno i widzę młodego człowieka niosącego na kiju kilka krążków kielbasy. Zapach pięknie uwędzonej kielbasy rozchodzi się po peronie...

Wołam tego młodego człowieka, podaje mu następną pięćdziesiątką i powiadam - proszę za wszystko kielbasy!. Podał mi z tym kijem wszystką kielbasę i odszedł. Byłam zaszokowana tym zjawiskiem. Dzieci pytają czy mogą jeść a ja jeszcze nie rozumiem, co się dzieje, nie mogłam przyjść do siebie...Kiedy pociąg ruszył zrozumiałam, że jestem właśnie w tym kraju, gdzie nic nie ma, gdzie ludzie jak dzicy napadają na ruskich ludzi? Zrozumiałam jak nas karmiono tyle lat okropną propagandą głosząc, że nigdzie na świecie ludzie tak dobrze nie żyją jak w ZSSR. Po godzinie zobaczyłam jak moje dzieci najedzone usnęły. A buzie ich nie przypominały tych samych dzieci, które głodne i przestraszone opuszczały swoje miasto rodzinne.

Uzdrowisko Słone błoto

(Zostało jak pisze autor docenione przez Sowietów... Założono prąd elektryczny... była jednak większa biurokracja...)

Rok 1941

Tak jak przed wrześniem 1939 r. ludzie mówili o wojnie a nawet marzyli o jakiejś zmianie bo prawdę mówiąc rząd polski przedwojennej o naród w ogóle nie dbał.. Bezrobocie, nędza i ubóstwo, większość narodu żyła w skrajnej nędzy a hrabiowie i panowie bawili się bez umiaru. Sekwestrator potrafił zabrać ostatnia krowę nie patrząc na to że w domu sporo dzieci i nędza... Przyszedł rok 1939 a z nim nowy ład i porządek, który ludziom szybko stanął kością w gardle. Dzień 22 czerwca 1941 r. zapisał się w ludzkiej pamięci. Niemcy faszystowskie tak jak przed dwoma laty na Polskę tak teraz napadły na swojego sojusznika z którym w 1939 r. rozebrały Polskę... na Związek Radziecki... Już po paru dniach przez naszą wieś ustępowały wojska radzieckie... Uchodzili w popłochu... Niemcy zaczęli pokazywać, co umieją i na co ich stać...Nałożyli olbrzymie kontyngenty zboża, mleka, mięsa, jajek, i co tylko mogli zabrać to zabierali. Co parę miesięcy zabierali krowy. Bywało też, że chodzili od domu do domu z małym prosięciem, tarmosili je żeby kwiczało, a świnia, jeśli była ukryta w komórce natychmiast się odzywała. Mieli metody na wszystko. A co chyba było najgorsze to to, że wywozili młodzież a nawet i starszych na przymusowe roboty... na wszystkie stanowiska władz mianowali Ukraińców, nie bacząc na to, że cała wieś poza kilkoma rodzinami żydowskimi była zamieszkała przez Polaków. Sołtysem został Ukrainiec Juchym Kryczyński a policjantami : Cecik, Welesyk i Alosza, wszyscy z Osiewicz, kolonii oddalonej o 3 km od Huty Stepańskiej. Za rządów Juchima było jeszcze względnie. On lubił popić, nikomu nie wadziło, wykonywał zarządzenia władz niemieckich. Gorszy był natomiast jego brat, który objął władze po nim. Ten potrafił człowieka zbić bez powodu. Zawsze chodził z karabinem... za czasów Juchima zostali zabrani do Niemiec moja siostra Hela i brat Janek. Obydwoje starsi ode mnie... Pamiętam jak to latem spaliśmy/ w czterech/ z braćmi na sianie w stodole. W pewnym momencie poczułem, że ktoś jest przy nas. Gdy otworzyłem oczy zobaczyłem, że trzy lufy karabinowe są skierowane na nas. Wtem słyszę "tych trzech za młodzi, ale ten, wskazuje na brata Janka, może jechać. Wstawaj pojedziesz do Niemiec na roboty. Brat się zerwał i powiada - ja na ochotnika... Brat był na robotach do zakończenia wojny we Francji niedaleko miasta Szerburg. (autor pisze, że podczas wywozu 18 uciekło',z furmanek, samochodów przez dziury w płocie - nieraz i po wiele razy - on także opisuje swoją ucieczkę).

Losy Żydów huciańskich.

Okupacja niemiecka dała się we znaki wszystkim narodom okupowanym. Nie oszczędzali nikogo. Ale najbardziej to ucierpieli Żydzi. Jak wcześniej zaznaczyłem we wsi u nas było

kilka rodzin żydowskich, oprócz naszych było jeszcze kilka osób, które pracowały za władzy radzieckiej na uzdrowisku „Słone Błoto”. Pracowali oni na różnych stanowiskach, księgowych, lekarzy i pielęgniarek. Wszyscy ci Żydzi pochodzili z Warszawy. Pamiętam taką jedną rodzinę Rozenbergów, ojciec- główny księgowy, władał 14 językami, jego syn był lekarzem. Był też Norberg pięknie grający na skrzypkach. Był jeszcze jeden, którego nazwiska nie pamiętam, a którego Niemcy zaraz po wejściu zabili w życie, przy drodze na Słone Błoto. Pielęgniarki miały polskie imiona: Zosia, Renia, Hanka, i Lidia. Już słysząc było że zbudowali dla Żydów getta, ale nasi huciańscy Żydzi mieszkali jeszcze we wsi i byli na wolności. Plotkowano, że oni płacą haracz Niemcom, żeby ich zostawiono. Pewnego dnia przyjechał furmanką ze Stepania Niemiec i zauważył, że po wsi chodzą Żydzi. Za Niemców Żydzi byli oznakowani, każdy Żyd musiał nosić żółte kółko na plecach i piersi. Nazajutrz przyjechali policjanci, zebrali wszystkich, ustawili wszystkich w czwórki, a jedną młodą Żydówkę córkę Zelmana Krukowera, która była za władzy radzieckiej w NKWD, postawili na czele. Włożyli jej na piersi i plecy tablicę z napisem: NKWD prowadzi do raju i tak popędzili ich do getta w Stepaniu. Tych z Warszawy nie zabrali, ale nie wiem z jakiego powodu... oni mieszkali wszyscy w domu u mego wujka, który wcześniej wyjechał do Sarn. W tym czasie sołtysem był już brat Jachima Jakub. Ten bez karabinu się nie ruszał ani na krok. Kogo chciał zabić to zabił a kogo zabić to zabił nie szukając powodu. Pamiętam jak pewnego razu zabił Mieczysława Włoszczyńskiego syna Gracjana. Już po zabraniu Żydów do getta niespodziewanie w domu mego wuja zjawił się Jakub. I poprosił pielęgniarki Zosie i Hankę aby udały się z nim do byłego uzdrowiska, bo on chce je o coś tam spytać, bo niby one mogą wiedzieć, ponieważ tam pracowały. Te biedne istoty nie przeczuwały, że to ich ostatnie minuty życia, poszły bez oporu. Gdy wyprowadził je za wieś w kierunku Słonego Błota, zatrzymał się i powiedział, że nie ma sensu iść dalej, bo to już tu i strzelił do Hanka. Zosia widząc co się dzieje chwyciła za lufę i prosiła, żeby jej nie zabijał, ale on wystrzelił raz, a kiedy puściła lufę strzelił jeszcze raz i zabił. Na odgłos strzałów wyszedł z krzaków stary Żyd huciański imieniem Sruł. Dobrze nie dowiedział. Kiedy podszedł bliżej Jakub go zauważył i powiedział; o mamy tu jeszcze jednego do kompletu. Zastrzelił go nie namyślając się długo. Zakopani zostali w rowie. Może by o tym nie wiadomo ale temu wszystkiemu przyglądał się mieszkaniec Huty Stepańskiej Antoni Zieliński, który twierdzi, że Jakub siłą go zabrał, żeby zakopać zabitych. ... Pewnego razu jakiś Ukrainiec przyprowadził do Jakuba małego chłopca żydowskiego 8-9 lat. Jakub prowadził go obok domu Józefa Piotrowskiego i tam słyszał jak mały prosił: „Proszę mnie nie zabijać, ja będę u pana paść krowy”. Jakub poprowadził go na małe żydowskie pastwisko i tam pod dębem zastrzelił. Widziałem tego chłopca, miał przestreloną głowę. Ja i kilku innych kolegów zakopaliśmy go pod tym dębem. Po zastrzeleniu przez Jakuba pielęgniarek Zosi i Hani oraz Sruła reszta Żydów uciekła. Po paru dniach miało miejsce takie zdarzenie, Jakub złapał gdzieś następną pielęgniarkę Renię. Przyprowadził ją do Antoniego Zielińskiego, zamknął ją w kuchni i wszedł do zakłady fryzjerskiego /Zieliński był fryzjerem/. Po chwili do kuchni weszła żona Zielińskiego i zobaczyła płaczącą Renię. Zielińska nie tracąc czasu a zachowując zimną krew, otworzyła okno i mówi uciekaj, wejdź do ustępu i przez otwór wejdź do skrzyni pod spodem, akurat była pusta, i siedź aż się wszystko uspokoi. Renia bez namysłu zrobiła jak jej Zielińska kazała... Jakub jak został ogolony wchodzi do kuchni i omal nie padł. Okno zamknięte drzwi zamknięte a Reni nie ma. Szalał, ryczał jak wół, wył jak pies, biegał szukał po ogrodzie, zajrzał nawet do ustępu, ale do otworu nie zajrzał. Zaglądał wszędzie gdzie podejrzewał, że tam może być. Gdy się wyszalał zagroził Zielińskiej, że jak się Renia nie odnajdzie to on się z nią rozprawi. Jak Jakub odszedł, Zielińska wysunęła skrzynię. Rena wyszła i schowała się w sianie. Wieczorem przy zasłoniętych oknach przebrała się u nas w męskie ubranie i nocą Zielińska odprowadziła ją do wsi Hały, oddalonej od nas 15 km, niedaleko stacji Rafałówka. Po jakimś czasie Rena dostała się do partyzantki radzieckiej. Po wojnie spotkaliśmy się z

Zielińskimi i Zielińska opowiadała mi, że spotkała się z Reną w Kowlu. Zabrała ich do siebie nie dała jej nic robić. Na każdym kroku jej usługiwała. Chciała, żeby Zielińscy zostali u nich do końca życia /bo już była zamężna /. Zielińska opowiadała, że po prostu uciekli od nich, bo takie ciągle nadszaskakiwanie jej było żenujące. Potem się dowiedziała, że Rena z mężem wyjechali do Izraela. To była relacja Zielińskiej a częściowo słyszałem(ją) od Reny gdy już była przebrana w męski strój... U Piotra Sawickiego zwanego Dolarem... krowy pasł pastuch narodowości ukraińskiej... Pasąc krowy zauważył, że ze stogu siana coraz wystaje jakaś głowa. Domyślił się, że to może być Żyd. Kiedy przypędził krowy na obiad poszedł do Jakuba i powiedział, że jak mu da ubranie Żyda to on pokaże gdzie ten się ukrywa. Jakub bez wahania obiecał mu to ubranie. Po południu kiedy pastuch pędził krowy na pastwisko, Jakub szedł razem z nim niosąc łopatę. Podeszli do stogu i Jakub zawołał; wiem, że tam się ukrywasz, natychmiast proszę zejść. Na wezwanie pokazał się (człowiek) i powoli zaczął zsuwać się ze stogu. Był to właśnie dr Rozenberg. Jakub wręczył mu łopatę i kazał kopać dół. Nie opierając się wykopał. Następnie poprosił o papierosa a po wypaleniu poprosił, żeby mu strzelił w dołek szyjny, kierując lufę ku górze. Jakub odpowiedział bez zastanowienia, tyle mogę panu zrobić. Przed zastrzeleniem kazał mu się rozebrać, a ubranie oddał pastuchowi. Wieczorem pastuch położył się spać. Ledwie usnął zerwał się na nogi i zaczął krzyczeć, pokazując przed siebie - on tu jest - Kto - pyta gospodarz? - No ten Żyd, którego Jakub zastrzelił. Gospodarz przygarnął go do siebie i wypytał o wszystko. Pastuch jak na spowiedzi opowiedział o wszystkim... Poszedł spać do krów, położył się pod żłobem, ale i tam nie zaznał spokoju- ciągle widział doktora. Do rana już nie było pastucha uciekł do domu -mieszkał w Małym Mydzku. W Hucie Stepańskiej nie było już żadnego Żyda... Po jakiś czasie wyznaczono kilka furmanek, które miały stawić się w Stepaniu... załadowano Żydów na furmanki i powieziono do lasu za Stepan. Po wyładowaniu ich w lesie furmanom kazano odjechać. Jak wynikało z opowiadania Hipolita Sawickiego to prawdopodobnie niedaleko pędzono ich na nogach, bowiem zaraz słychać było krzyki i strzały z broni maszynowej. Na furmance Hipolita Sawickiego jechały rodziny; Zelmana , Krukowera i Joska Chyżego.

Rok 1943

Rok 1943 zapisał się krwawo nie tylko w pamięci mieszkańców Huty Stepańskiej, ale ludności polskiej całego Wołynia. W żadnym innym województwie nie zginęło tylu Polaków ile zginęło na Wołyniu. Chcę opisać drogę przez mękę i cierpienia Polaków mieszkających w Hucie Stepańskiej, okolicznych wioskach i na całym Wołyniu. Rozmyślałem nieraz, co mogło się stać z ludźmi spokojnego usposobienia, życzliwymi, gościnnymi i można by rzec ludźmi bez skazy. Mam tu na myśli ludność narodowości ukraińskiej. Przecież bywały przypadki, że się pobierał Polak z Ukrainką i odwrotnie... Pamiętam jak w Stepaniu ksiądz katolicki wychodził z procesją do rynku, następnie popi prawosławni z dwóch cerkwi, łączyli się i szli razem dookoła rynku, po procesji żegnając się rozchodzili się, każdy do siebie. Wydawało się, że to przyjazny naród. Pamiętam jeszcze jak opowiadali starsi ludzie, że kiedy jesienią wyjeżdżali na t.z. „zarobki”/ wywóz drzewa z lasu/ a trzeba było jechać dość daleko, tak, że w ciągu dnia nie dało się pokonać tej odległości, trzeba, więc było gdzieś zanocować, żeby dać koniom wypocząć. Opowiadali tak: Jak poprosisz Polaka o nocleg to albo albo, ale jak poprosisz Ukrainca, to konie postawi w pomieszczeniu, aby nie zmarzły, nakarmi, da owsa i siana, a gospodyni, usmaży słoniny, nakarmi i da miejsce do spania. Za to wszystko nikt grosza nie wziął... Jak pomyślę dobrze to ta nienawiść ujawniła się już w 1939 r. kiedy to Ukraińcy napadali na wycofujące się wojsko polskie... Przecież Polacy nie mieli odrębnych praw czy przywilejów. Jak popatrzeć to wszystkie lepsze ziemie były w rękach Ukraińców? Wszędzie tam gdzie była rzeka były wsie ukraińskie. Dużo też Ukraińców było na stanowiskach. Nawet u nas w Hucie Stepańskiej - wsi polskiej było dwie Ukrainki nauczycielki. W Stepaniu kierownikiem polskiej szkoły był Ukrainiec - Dymidiuk... W

styczniu 1943 r. nadeszła do nas smutna wiadomość, która nas sparaliżowała. Dowiedzieliśmy się, że do wsi Parośl weszli mordercy ukraińscy... podając się za partyzantów radzieckich. Następnie podstępnie powiązali niektórych, a następnie wymordowali wszystkich bez wyjątku. Ocalała jedna kobieta i dziecko, ale byli ciężko ranni. Kobieta została uderzona siekierą w głowę, kiedy padała w tym momencie uderzony został jej mąż, który upadł na nią... w nocy wydostała się spod zwłok... i dowlekła do miasta Rafałówki, gdzie została zatrzymana w szpitalu... Świadkowie, którzy oglądali to pobojuwisko w Parośli mówili, że to jest wprost nie do uwierzenia, aby ludzie choćby z nazwy, byli tak zwyrodniali i mogli dopuścić się tak ohydneho mordu... pucinali piersi kobietom. Robili otwór w brzuchu i zatykano go ogórkiem. To wszystko opowiadał Józef Jezierski ożeniony w Hucie Stepańskiej z Helena Kuczyńską. On tam jeździł. Pochował tam w jednej wspólnej mogile swoich najbliższych. Albo inny przykład - pocięto trzy osoby na kawałki i powieszono każdą część ciała na drabinę.

Coraz częściej słyszało się, że gdzieś tam daleko wymordowali parę rodzin lub zamieszkałego w lesie leśniczego czy gajowego z rodzinami. Te wszystkie morderstwa były jeszcze w pewnej odległości od naszej wsi Huty Stepańskiej. Czarne chmury już nadciągały. 10 lutego 1943 r. widmo śmierci zbliżyło się do nas. W odległości 7 km we wsi ukraińskiej Butejki, Był duży majątek hrabiego Chamca, obecnie pod zarządem niemieckim. Tym majątkiem zarządzał Edward Bartkowski, który miał żonę, teściową i dwoje dzieci. Księgowym w tym majątku był Edward Kalius , pochodził ze wsi Borek oddalonej 2 km od Huty Stepańskiej. Kalius miał narzeczoną Gienie Jucewicz. Miała ona straszliwego pecha, bowiem pojechała do Butejek do swojego narzeczonego. Nikt nie przeczuwał, że ta noc będzie ostatnią nocą w ich życiu. Owej nocy do pałacu wtargnęli banderowcy. Powiązali wszystkich kolczastym drutem i wszystkim bez wyjątku odrąbali głowy. Zabitych Bartkowskich zabrali do Stepania, a tych dwoje przywieziono do Huty Stepańskiej, aby ich pochować... Na pogrzeb przyszedli ludzie z całej wsi... W czasie pogrzebu ks. Drzepecki wezwał ludność do zorganizowania się-stworzenia samoobrony. Twierdził, że jeżeli się nie zorganizujemy ta banderowcy wymordują nas pojedynczo wszystkich. W naszym rejonie na pierwszą wartę zgłosili się dwaj koledzy Henryk Piotrowski i Zbyszek Hofman. Młodzi chłopcy... Z opowiadania Miry i Czesława Piotrowskich: „Do pełniących wartę, Henryka Piotrowskiego i Zbyszka Hofmana ... podjechało dwie pary sań zaprzężonych po 2 konie a na nich po czterech ludzi. Zatrzymali się i podali za partyzantów radzieckich. W pierwszej chwili przyczepili się do broni, chcąc, aby im ją oddali. Potem zapytali, kto ma dobre konie. Henryk wiedział, że u sąsiada Hipolita Sawickiego są dobre konie zaprowadził ich tam. W mieszkaniu kazali Henrykowi i Zbyszkowi rozebrać się do bielizny. Kozuch i ubrania zabrali ze sobą. Sawickiemu kazali zaprzęgać konie. Zrobił to jego syn, który wyczuł z kim ma do czynienia i... konie zaprzęgną ale sam uciekł. Odgłosy strzałów usłyszał sąsiad Władysław Libera. Ubrał się i poszedł tam skąd dochodziły strzały tzn. do Hipolita Sawickiego... Gdy wszedł do mieszkania zastał rozebranych Hipolita i Zbyszka... Banderowcy oddają po trzy strzały zabili Libere, Heńka i Zbyszka. (W domu Piotrowskich wyważyli drzwi i wpadli do mieszkania zastali syna Czesława i córkę Mirkę - pytali o ojca. Stanisław Piotrowski wyczuł zagrożenie, ukrył się w drugim pokoju. Banderowcy zostawili ich i poszli szukać ojca. Wtedy Czesław i Mirka uciekają. Piotrowski Czesław zginął ale drogo... sprzedał swe życie... zabił jednego banderowcę a drugiego ciężko zranił... Nadszedł dzień pogrzebu. Ludzie szli gromadnie, aby oddać hołd następnym ofiarom... Ksiądz Drzepecki zaapelował jeszcze raz aby zjednoczyć siły i zorganizować samoobronę. Mówił, że trzeba bronić dzieci, kobiet i ludzi starszych. Od razu... Założono komitet samoobrony, na którego czele stanął kierownik szkoły Władysław Kurkowski a do pomocy zgłosili się: Józef Sawicki syn Hipolita, Ksawery Lipiński, Jan Szabelski i Hieronim Konwerski, który przez dłuższy czas był u nas komendantem strzelców. Przywódcą duchowym został ks. Bronisław Drzepecki. Komitet przystąpił natychmiast do

pracy. Według zarządzenia ludność miała się skupić po 10 rodzin do jednego domu i wystawić wartę tuż przy budynku. Po wsi chodziły patrole i kontrole. Kto miał jakąkolwiek broń wyciągał ją z ukrycia. Widziałem karabiny japońskie, francuskie, rosyjskie. Widziałem pistolety bębnekowe oraz amunicję do karabinu. Wyciągnięto broń myśliwską. Znalazły się też granaty. ...każdy karabin, każda mało znacząca broń ludziom dodawały otuchy, że się utrzymamy... zaczęli do nas napływać ludzie... Trzeba jeszcze raz zaznaczyć, że Huta Stepańska była wsią czysto polską. I dookoła otoczona była przez polskie wsie takie jak: Lady, Stara i Nowa Kamionka., Borek, Omelanka, Ożgowo, Tchory, Ciemne Stepanskie, i Rządowe, Siedlisko, Wyrka, Soszniki, Uzanie, Ostrówki. Ale wsie ukraińskie były też np.: Wielki i Mały Mydzk, Wielki i Mały Stydyń. Albo za wsią Borek, tylko przez las i już była wieś ukraińska Butejki a tuż za nimi: Werbcze, Korost i Kryczyłsk. To były duże wsie ukraińskie i w każdej chwili mieszkańcy tych wsi mogli nam zagrozić. Parę dni po pogrzebie Piotrowskich Hofmana i Libnera przyszło do wsi siedmiu uzbrojonych ludzi. Zatrzymali się naprzeciwko naszego domu. Pamiętam Stanisław Zieliński zapytał kim oni są. Jeden z nich odpowiedział po rosyjsku „obyknowienni liudia” (zwyczajni ludzie), to zapamiętałem. Potem tłumaczyli, że oni są partyzantami radzieckimi. Zawiadomiono sztab samoobrony i padło pytanie- co robić? Przypomniano o Parośli, że tam też weszli banderowcy podając się za partyzantów radzieckich a potem zrobili masakrę ludności. Dopatrzone się też, że wśród przybyłych jest też dwóch Ukraińców. Nie wiedzieli, co sądzić i jak postąpić, bowiem między nimi był też jeden Żyd z Rafałówki., Znowu ktoś powiedział, że dla podstępu mogli wziąć Żyda. W sztabie uradzili, że należy ich jakoś podstępnie rozbroić i dać znać Niemcom. Tak też uczyniono. Zaproszono ich na obiad i w jego trakcie rozbrojono, a goniec na koniu popędził do Rafałówki oddalonej o 21 km zameldować o nich Niemcom. Kiedy goniec pojechał zaczęto się zastanawiać, a co będzie jeśli to są faktycznie partyzanci? Znowu rada... posłali dwóch do lasu w okolice Ciemnego /Tamne/, żeby odnaleźć partyzantów i powiadomić ich o tym. Po tym wszystkie błądy strach padł na ludzi a już przyjdą i Niemcy i partyzantka, wtedy ucierpi cała wieś... Na szczęście po południu wrócił goniec z Rafałówki i powiedział, że Niemcy nie przyjadą bo to nie ich rejon. Niemcy zaproponowali, aby partyzantów schwycić i przywieźć ich do wsi Soszniki, to oni mogą tam przyjechać i ich zabrać. Tymczasem przed wieczorem przyjechali partyzanci radzieccy i rozpoznali swoich. Był to zwiad oddziału tzn. Diadi Wani. Kamień spadł z serca wszystkim. Diadia Wania, gdy spojrzał na swoich partyzantów uśmiechnął się i powiedział "Wy Polacy Mołodcy a wy, co z was za partyzanty skoro daliście się rozbroić. Od tej pory często przyjeżdżali do wsi... Wtedy kiedy oni byli we wsi było rażniej. Widzieliśmy w nich siłę i w razie, czego można było na nich liczyć... Dalej autor pisze o zorganizowaniu podręcznego szpitala skąd odwożono chorych do Rafałówki oraz o ratowaniu ludności polskiej. M.inn wspomina o transporcie do Huty Stepańskiej Polaków przywiezionych z zajętej przez Niemców terenów w ramach wymiany ludności. Niemcy pojechali za San a Polacy stamtąd na ich miejsce otoczone wioskami ukraińskimi do wsi Huta Mydzka, gdzie stanowili tylko część ludności i byli otoczonej wioskami ukraińskimi.) Tych Polaków postanowiono zabrać... zorganizowano dużo furmanek, tak, żeby można było zabrać cały ich dobytek... Kierownikiem, czyli dowódcą został Mirosław Libera, który został wcześniej dokooptowany do Komitetu samoobrony. W jedną stronę pojechali przez Podsielecze obok Omelanki wsi polskiej. Do Huty Mydzkiej dojechali szczęśliwie. Ludzie się ucieszyli, że wreszcie odetchną swobodnie i będą bezpieczni... Po załadowaniu wszystkiego na furmanki powstał problem. Wyłoniła się grupa na czele jak mi się zdaje Jana Szabelskiego, która twierdziła, że tą samą drogą jechać niebezpiecznie, gdyż Ukraińcy mogą zrobić zasadzkę w lesie. Natomiast Mirosław Libera twierdził, że jeśli przejechali w jedną stronę to i przejadą z powrotem. Szabelski twierdził wręcz coś odwrotnego. Grupa pana Jana Szabelskiego przejechała bez żadnych przeszkód. Natomiast grupa Libery została zaatakowana jak przewidywano przy pierwszym lesie. Wzięto

ich w krzyżowy ogień. Padło dużo koni. Bowiem Ukraińcy zaczęli strzelać po koniach idących w czołówce, aby zatrzymać ten cały pochód. Powstał lament krzyk kobiet i dzieci. Matki uciekając gubiły swoje maluchy... Nie było, dokąd uciekać, bo ze wszystkich stron strzelano. Ochroną jedyną, było zboże. Libera jadący na pięknym koniu wywijający szabelką, gdy jechał do Huty Mydzkiej teraz pierwszy dał nura w krzaki zostawiając wszystkich na pastwę losu i Ukraińców. Niebawem znalazł się w Hucie Stepańskiej... Pamiętam jak obok domu Marcina Włoszczyńskiego jeździł i krzyczał: Jezus Maria, tam ludzie giną - pomóżcie. Pamiętam jak dopadł do Libery nieznany mi mężczyzna i krzyczał: Wybiła twoja ostatnia godzina. Zostawiłeś tyle ludzi na pastwę losu!!! Ty tchórze. Dobrze się stało, że ktoś podbił mu karabin, bo była by to ostatnia godzina w życiu Libery. Libera siedział na koniu błądy. Słowa nie mógł wykrztusić. Z tego transportu zginęło dużo ludzi a najwięcej kobiet i dzieci. (W dalszej części pracy pan Edward Kwiatkowski opisuje coraz to lepsze funkcjonowanie samoobrony wyciąganie wniosków z uchybień typu przysypianie zamiast wartowania itp. a także znalezienie ciała Jakuba Kryczyńskiego, który wcześniej rozstrzeliwał Żydów. Następną partię Polaków przyjechały z zaatakowanych i rozbitych wsi Halinówka, Perelesianka i trzeciej, której nazwy autor nie pamięta. Wspomina o nauczycielce Polce, która uczyła w ukraińskiej wiosce i nie zdecydowała się na wyjazd do Huty Stepańskiej, nauczycielkę z dziećmi porąbano na drobne części (w Butijkach) każda część ciała była wbita na hak i każda wisiała na innym szczeblu drabiny.) Dalej autor pisze, że w Butijkach mieszkali Libnerowie. Rodzina Władysława Libery, który zginął razem z Heńkiem Piotrowskim i Zbyszkim Hofmanem. Oni już byli w Hucie ale nie wiem co się stało, że wrócili do Butijek. Chłopak opowiadał, że przyszło bardzo wiele ludzi jego rodzinę zamknęli w lochu a on był na zewnątrz i udało mu się uciec. Przebiegł przez las 7 km do Huty Stepańskiej.) W tym czasie stacjonował u nas oddział partyzantów radzieckich pod dowództwem Diadi Fiedi... Z rozmów wynikało, że banderowcy szykują napad na Hutę Stepiańską. Postanowiono pojechać i odbić rodzinę Libnerów. Słyszałem jak dowódca partyzantki krzyknął. - automatcziki na podwozy - chcę zaznaczyć, że zawsze stało parę furmanek gotowych do wyjazdu. Na rozkaz dowódcy partyzanci radzieccy z automatami bez słowa wskoczyli na furmanki. Zajęli chyba trzy a nasi z bronią dwie i odjechali. Ja z wieży widziałem te furmanki prawie 4 km. Potem wjechały w las i już ich widać nie było. Dostałem z dołu rozkaz, aby dobrze śledzić i o wszystkim meldować... Po 30 minutach zauważyłem zza lasu dym, następnie opodał drugi i już wiadomo było, że Butejki się palą. Gdzieś po 30 min. zauważyłem jeźdźcę na koniu, jechał, co koń wyskoczy. Zawiadomiłem sztab... Ze sztabu już wyszli na skrzyżowanie dróg, aby odebrać meldunek... Wpada na skrzyżowanie Bronek Krasinkiewicz i krzyczy.! Ludzie, kto w Boga wierzy niech pędzi do Butejek, bo nasi rozbili bandę i zdobyli cały wóz broni i amunicji.. Ci, którzy byli bliżej stojącej furmanki wskoczyli i odjechali (autor pisze, że mażył o karabinie zszedł z wieży ale już furmanka odjechała a następna, która przyjechała wyruszyła z półgodzinnym opóźnieniem - Chłopcy z pierwszej furmanki dojechali do lasu było ich 18 -tu zostali złapani przez banderowców i rozstrzelani, gdyż sytuacja uległa zmianie na korzyść banderowców. Razem w Butijkach zginęło jeszcze 6 Polaków i 2 partyzantów radzieckich. Autor pisze, że gdy Rosjanie i Polacy dojechali do Butijek zastali śpiących w stodole banderowców - Stodoła była 300 m przed wsią. Wszystkich zlikwidowano. Jednak ci banderowcy, którzy spalili po domach zaczęli bronić wsi i przypuścili kontratak w wyniku, którego ukraiński wóz z bronią znalazł się na moście w rękach Polaków i Rosjan. Widząc to Bronek Krasinkiewicz wziął jeden karabin o pojechał z nim do Huty Stepańskiej z wieścią że zdobyto dużo broni i trzeba ją zabrać. Gdy młodzi chłopcy pojechali po nią sytuacja była już inna. Ukraińcy zatrzymali ich na drodze i zabili wszystkich... Oceniając tą akcję pan Kwiatkowski pisze; Rodzina Libnerów została uratowana i wyprzedzono atak na Hutę Stepiańską. Zadano banderowcom duże straty, choć i po stronie Polaków było 24 zabitych oraz 2 Rosjan.

Wejście Niemców do wsi

Po akcji „Butijki” Niemcy weszli do wsi i jak pisze autor tylko czekali na jakiś wrogi gest ze strony mieszkańców. Po kilku godzinach wycofali się.

Wejście Niemców do wsi po raz drugi.

Na drugi dzień Niemcy otoczyli wieś gęstym pierścieniem. Zjechał sąd polowy, wzięto zakładników i rozpoczęto prawdziwy sąd nad wsią z oskarżycielem obrońcą i sędzią. Prokurator wygłosił płomienną mowę, że właśnie tacy jak mieszkańcy Huty Stepańskiej robią wszystko, aby Niemcy wojnę przegrały... Przechowują Żydów, współpracują z Rosjanami, napadają na Niemców. Na takich ludzi jest tylko jedna kara wybić do nogi! Sędzia zadawał pytania a odpowiadał ksiądz. Na wszystko potrafił odpowiedzieć twierdząc, że wieś się broni, że Żydów nie ma, że Rosjanie przychodzą w takich ilościach, że przeciwstawienie się im nie ma sensu oraz, że jak raz zatrzymali grupę partyzantów radzieckich i powiadomili o tym Niemców to ci nie przyjechali po nich. To zostało przez krótkofalówkę potwierdzone z Rafałówki. Obrońca potwierdził, że Polacy nie kłamią i poprosił o uniewinnienie. Po radzie uniewinniono wieś. Proces toczył się w domu Juzuka. Na pamiątkę ocalenia wsi postawiono trzy krzyże w dowód wdzięczności opatrności Bożej.

Jakby tego wszystkiego było mało po dwóch dniach z wieży kościelnej zauważyłem duży oddział wojsk niemieckich podążający od strony Omelanki. Zawiadomiłem szybko sztab. Przybiegli ze sztabu, popatrzyli przez lornetkę i uznali że nie ma obawy, bo oni nie idą szykiem bojowym a normalnie zwartym podążają drogą. Śledziliśmy ich dokładnie... Przeszli wieś... poszli do uzdrowisk "Słone Błoto"...Zamieszkali w starym domu kąpielowym (tam wszystkie domy były puste). Nasi ludzie zainteresowali się tym ich przybyciem... i poszli na spotkanie... Niemcy mieli tłumacza... Dowódca tego oddziału był wysoki szczupły mężczyzna w stopniu majora. Na szyji miał opatrunek... Przez tłumacza oni się dowiedzieli, że oni szli przez wieś czysto ukraińską o nazwie Telce. Tam znajdował się sztab banderowski. Ten major opowiadał, że kiedy na nich napadnięto to oni okopali się i tak długo strzelali aż im lufy porobiły się czerwone ta banda ciągle biegła i krzyczała-ura i biegle... Za nimi zrobił się wał trupów a oni wciąż biegli. Zmusili nas do odwrotu... jeszcze chce od nas 40 ochotników, których uzbroi i użyje jako przynęty... Chodziło o to, aby 40 ludzi przeszło rano przez wieś Telce tam i z powrotem. Jeżeli ich ostrzelają to ich zadaniem będzie jak najszybciej się wycofać do lasu. Ochotników było ponad 100. Ale oni mogli uzbroić tylko 40-ru. Nasi liczyli, że tam będą mogli zdobyć trochę broni i amunicji. Pamiętam jak po powrocie opowiadał Olek Jaworski. Przeszli przez całą wieś z pieśnią: "Hej strzelcy wraz nad nami orzeł biały" - Ludzie przyglądali się im ale, żadnych ruchów nie zauważyli. Wracając z powrotem zostali ostrzelani z dachów domów. Szybko się wycofali do lasu zgodnie z rozkazem. Wtedy Niemcy przystąpili do akcji zabili tych z bronią i tych, którzy uciekali. Przy okazji nasi zdobyli trochę broni po zabitych Banderowcach a amunicja została ta, która dostali od Niemców. Ten wyjazd dał nam dużo dobrego i złego, to według mojego rozumowania. Dobrą stroną było to, że my Polacy nie lękamy się ich, bo przyszliśmy w samo gniazdo banderowskie, to oznaczałoby ,że jesteśmy silni. Z drugiej strony było to złe, bo Banderowcy, widząc naszą siłę, dopiero wtedy uderzyli jak zebrali taką ilość swoich ludzi, z którą byli pewni zwycięstwa... U Piotrowskich mieszkał uciekinier, którego zawód z wojska był rusznikarz... potrafił do obrzynków dorabiać lufy. Potrafił z trzech kawałków lufy zrobić jedną i karabin celniej strzelał jak oryginał. Robił też pistolety jednostrzałowe na amunicję do karabinów... nazywał się Chudaszek... Po powrocie z Telec zebrało się dużo ludzi przy starym zakładzie kąpielowym ... m.in. był i Chudaszek. Ludzie zadawali pytania przez tłumacza. Major z uśmiechem odpowiadał nagle spoważniał i zwrócił wzrok na Chudaszka. Pokazał na niego

palcem i kazał podejść bliżej do siebie... 'Wszyscy zauważyli, że Chudaszek ma zatknięty za pas pistolet swojej roboty. Ludzie struchleli nie mówiąc już o, Chudaszku, który dopiero, co zorientował się, o co chodzi. Gdy zbliżył się do majora, major odpiął kaburę i wyciągnął pistolet. Wszyscy na to patrzyli. To był moment. Każdy, kto widział tą scenę, miał tylko jedna myśl - zastrzeli Chudaszkę. Major wyciągnął mu ten jednostrzałowiec zza pasa i pokazując swój zapytał czy się z nim zamieni... Tłumacz to przetłumaczył. Wielka ulga przyszła na wszystkich ludzi. Chudaszek stał jeszcze blady, ale powoli odzyskiwał równowagę ducha. Kiwnął głową że się zgadza. Wtedy major zawołał jakiegoś podoficera i coś mu rozkazał. Za chwilę przynieśli drugą kaburę i jakiś papier. Tłumacz wyjaśnił, że dostaje pozwolenie na broń. Ma prawo go nosić na wierzchu żaden Niemiec mu tego nie zabierze... Tłumacz jeszcze dodał, że ten pistolet Chudaszka odeśle do muzeum w Berlinie z zaznaczeniem, że taką bronią bronili się Polacy przed bandami ukraińskimi. Wielka radość zapanowała wśród naszych ludzi, po wielkim strachu. Niemcy byli jeszcze chyba ze trzy dni i odeszli. Pierścień Banderowców zacieśniał się... Coraz więcej ludzi napływało do Huty Stepańskiej widząc tu ocalenie. A Banderowcy jakby celowo spędzali ich w jedno miejsce żeby zebrać siły zadać ostateczny cios Polakom.

Nadszedł dzień; 16 na 17 lipca 1943 r. Byłem jeszcze w domu... ze względu na pełnienie służby na wieży kościelnej byłem zwolniony z pełnienia wart w nocy... Ale obecność na placówce była obowiązkowa. Wychodząc usłyszałem bicie dzwonu, które oznaczało obojętnie w dzień czy w nocy alarm. Wyszedłem na ulicę zobaczyłem wielki ruch. Tłum ludzi jechał wozami ciągnąc za sobą krowy, które były przywiązane do wozów. Już nie z jednej strony widziało się łuny, ale wokół całej Huty Stepańskiej. Wszystkie wsie już się paliły, sytuacja straszna. Ryk bydła, płacz dzieci różne nawoływania a przy tym to bicie dzwonu. stwarzało okropny widok... Nie do opisania. Wtem usłyszałem tentent koni i głos nawołujące w języku rosyjskim: nie wyhadi z uhlów, nie pугaj łoszadi, atia!/nie wychodzić zza węgła nie puszczać konia , wio /ja sam przeżyłem to strasznie. Miałem wtedy 17 lat. W tej sytuacji już nie szedłem na swoją placówkę, ale udałem się do szkoły, gdyż takie było zarządzenie ze w razie alarmu należy zameldować się w sztabie.. Gdy wszedłem za furtkę ogrodzenia szkoły, usłyszałem głos i zawołanie: „Edek do mnie”. Popatrzyłem w stronę wołającego i chociaż było ciemno, poznałem głos Antoniego Wiatra, który w wojsku był kapralem, a teraz takim jak on powierzano dowództwo. Ja broni palnej nie miałem. Miałem natomiast imitację karabinu zakończoną długim i ostrym bagnetem. Podeszedłem do Wiatra, który oświadczył, że ja jestem w jego drużynie. Po chwili wyprowadzili nas na stanowiska przy rzece naprzeciw domu Andrzeja Drozdowskiego. Banderowcy już palili domy na Ładach tuż za rzeczką. Nas było chyba 14 - tu, a z bronią 9 - ciu, reszta tak jak ja z drewnianymi karabinami zakończonymi bagnetami. Nas wysłano od strony Ładów, ponieważ wszystko wskazywał na to, że właśnie Banderowcy uderzą od strony Mydzka i Stydyń. Razem z nami był Janek Drozdowski, którego dom był tuż za rzeką... W pewnej chwili zobaczyliśmy, że z zapalonym wiechciem podchodzi do budynków Drozdowskiego jakiś Banderowiec... Janek Drozdowski miał Karabin maszynowy... z rozbitego samolotu niemieckiego... Chudaszek go tak wyszykował, że był jak CKM. W chwili gdy Banderowiec podchodził z wiechciem do domu Drozdowskiego, ten puścił parę kul w jego stronę. Wiecheć gdzieś się podział. Leżąc tak w okopach przy rzece zauważyliśmy, że od tyłu zaczęto strzelać w naszym kierunku ...Zapalającymi kulami... I to bardzo nisko. Mój dowódca zawołał mnie i powiedział - idź Edek do tyłu, tam są nasi i powiedz, żeby nie strzelali tak nisko, bo nas wystrzelają. Wziołem swój karabin i poszedłem. Początkowo wydawało mi się, że te strzały pochodzą spod lipy Dionizego Lipińskiego... Pod lipą nie było nikogo. Usłyszałem jakieś głosy jak gdyby spod Wójcickiego stodoły. Idę i krzyczę nie strzelajcie tak nisko, bo nas nad rzeką wystrzelacie... Szedłem łąką poprzegradzaną drutem kolczastym. przeszedłem takich płotów chyba ze cztery... Gdy przekroczyłem ostatni płot w jednym momencie zapaliła się stodoła Wójci-

ckiego z dwóch rowów drogi wiodącej do uzdrowiska wyskakuje chmara banderowców z okrzykiem: hura byt Lachiw /Hura bić Polaków/. To stało się tak nagle. Ja widzę ich pędzących w moją stronę z tym okrzykiem, stałem jak sparaliżowany tym widokiem. Już widziałem swoją niechybną śmierć, ale nóg od ziemi oderwać nie mogłem. Jak to długo trwało nie wiem? Nie wiem też, jakim cudem znalazłem się z powrotem nad rzeczką... Nad rzeczką już nie zastałem nikogo... Pobiegłem wzdłuż rzeki... Usłyszałem głosy dochodzące jakby z cmentarza...Więc udałem się w tym kierunku, „hura” nie ustawało. Idąc do cmentarza przyszło mi na myśl, że Banderowcy też się chyba boją, bo gdyby tak szli normalnie to już dawno powinni być na cmentarzu. Na cmentarzu zastałem dużo ludzi z bronią i bez broni i dużo też było z taką jaką ja miałem. Ci ludzie w ciemności naradzali się, co robić, wyjść Banderowcom naprzeciw, czy nie. Uradzono, że jednak pójdą. Poszedłem i ja z nimi. Trzymałem się kogoś, kto miał automat. Rozwinęła się prawdziwa tyraliera i ruszyliśmy. Dochodząc do domu Józefa Piotrowskiego - kowala zauważyliśmy, że z prawej strony przyszli partyzanci radzieccy, wszyscy z bronią automatyczną. Dopiero zaczęła się walka. Banderowcy nie chcieli się cofnąć, to trwało może z 15-20 minut i Banderowcy przestali krzyczeć to swoje hurraa.., Zaczął się ich odwrót. Jak sobie przypominę, to pojawienie się partyzantów radzieckich dodało naszym odwagi i śmieiej natarli na bandytów ukraińskich. Pierwszy atak został odparty. Nastął zbawienny ranek. Partyzanci radzieccy pożegnali się i odeszli pod pozorem, że mają do spełnienia jakieś zadanie. Zostaliśmy sami. Jak się później zorientowano to, to niby natarcie ze strony Ładów było wprowadzeniem w błąd naszych obrońców - co częściowo im się udało. Większa ich część weszła od strony Siedliska i Ostrówek. Idąc rano do domu poszedłem tzn. uliczką. To, co tam ujrzałem wstrząsnęło mną. Bardzo dużo było zabitych ludzi, krów i koni. Istne pobojuwisko to właśnie wtedy przechodziły oddziały banderowskie... Pozbierano pomordowanych ułożono w Domu Ludowym Naliczyłem ich 29 osób, w tym troje dzieci... Na cmentarzu nie było już miejsca, więc wykopano jedną wspólną mogiłę na boisku sportowym i poukładano ciała jedno przy drugim, przykryto prześcieradłami i kocami i tak zasypano... Modły żałobne odprawił ks. Drzepecki. Na robienie trumien nie było czasu... Dzień wykorzystano na poprawienie linii obronnej. Tego samego dnia jeszcze przed południem ktoś doniósł, że w życie Mirosława Libry zauważono mężczyznę w niemieckim mundurze... To było około 80 m. od naszego domu. Poszli z bronią otoczyli zboże i zaczęli nawoływać żeby wyszedł ten kto tam się ukrywa. Było cicho jeden bok pola zostawiono wolno i zaczęto strzelać po tym życie. Nagle pokazała się postać, prosząc żeby nie strzelano, ale on nie może chodzić, bo jest ranny. Mówił czysto po polsku. Poszło po niego paru chłopaków Był ranny w nogę, miał zakrwawione jedno oko, wyglądało jak kawałek mięsa. Przy sobie miał karabin maszynowy, u nas nazywano takie „Dziekiarow” - tarcza magazynku z wierzchu, lornetkę, dwie skrzynki amunicji, mapnik i mapę naszych terenów... Każda ścieżka była na niej zaznaczona. Na zapytanie, co tu robi? - Odpowiedział, że przyszedł w pomoc swoim braciom Ukraińcom. Skąd pochodzi? - Ze Lwowa - padła odpowiedź. Przyprowadził 40 bandziorów aż na Wołyń, żeby mordować Polaków. W mapiku znaleziono wykaz „strilciw: /strzelców/. Jeden z naszych, nie będę tu operować nazwiskiem, któremu pierwszej nocy Banderowcy zabili matkę, ojca i siostrę z dwojgiem dzieci nie wytrzymał nerwowo, wsadził mu bagnet w drugie oko, to całe. Ten padając jeszcze powiedział: Smert Lachom. /Smert Polakom/... Nadszedł wieczór. Ja dostałem polecenie udania się na posterunek pomiędzy cmentarzem a Ksawerym Lipińskim. Miałem przy sobie łopatkę ojca wojskową jeszcze z I Wojny Światowej, więc wykopałem dołek strzelecki metr przed płotem z drutu kolczastego. Był ze mną nie znany mi młody człowiek, który miał sowiecki karabin i jak oświadczył miał 60 sztuk amunicji. Jak się zrobiło ciemno Banderowcy zaczęli ostrzeliwać z moździerzy od strony Mydzka... kościół i szkołę. Szkoła była zapełniona ludźmi, przeważnie kobietami i dziećmi. Całe boisko przyszkolne zostało zamienione na jeden duży bunkier- schron. Wykopano duży głęboki dół na wierzch

nakradziono duża ilość belek, na to jeszcze jakieś deski na to ziemię. We wsi jeszcze był ożywiony ruch. Jeszcze przybywali ludzie, którym udało się jakoś uciec przed Banderowcami, którzy ciągnęli do Huty Stepańskiej. Ja leżałem na linii przelotu pocisków. Ta noc pod ostrzałem moździerza była bardzo długa w dodatku mój kompan spał bez przerwy. Tuż nad ranem usłyszałem wielki ruch we wsi, dużo furmanek wyjeżdżało. Przyszli na kontrolę i ja poprosiłem żeby mi pozwolono na krótki czas udać się do wsi...do szkoły... dowiedzieć się, co dzieje się z moją rodziną. W szkole dowiedziałem się, że duża grupa ludzi opuściła wieś i udała się w kierunku Rafałówki. Do Rafałówki trzeba było jechać przez Siedlisko, Wyrkę i Hały, które już były zajęte przez banderowców... Dowiedziałem się, że moja rodzina też wyjechała. Nie wiedziałem co robić. Stojąc tak przyszła mi taka myśl. W domu został rower, więc pójdę i go zabiorę, że to będzie dobrze i uciekać i gonić łatwiej... Pomysł był całkiem poroniony ruszyłem przez ogrody, kryjąc się jak mogłem pomiędzy budynkami, trochę zbożem i dotarłem do domu sąsiada Juzuka, który mieszkał naprzeciwko nas. Leżąc w rowie słyszałem jak z kierunku Siedliska dochodzą echa walk i tuż za mną przy domu Adama Zielińskiego też była duża strzelanina. Już miałem przeskoczyć przez drogę. Po drugiej stronie, jakieś 30 metrów, stał nasz dom.. Jeden rzut oka i widzę, że nasz dom zaczyna się palić. Rozejrzałem się dokładnie czy nie ma nikogo koło mnie i zrobiłem w tył zwrot... chciałem się dostać na cmentarz... Na cmentarzu było jakieś 13-15 osób. Byli z bronią i bez broni, czyli z taką jaką ja miałem... Był też na cmentarzu jeden RKM... W tym czasie przy szkole walka trwała już na dobre. Karabiny grały tak z jednej strony jak i z drugiej. Nawet słychać było wybuchy granatów... Chcieliśmy się dostać do szkoły, ale był bardzo duży pierścień utworzony przez Banderowców. Obsypali nas gradem kul więc wycofaliśmy się z powrotem na cmentarz . Pamiętam, znalazł się jakiś mężczyzna i powiada, że on jest byłym oficerem wojsk polskich i jeśli my poddamy się jego rozkazom to on nas wyprowadzi. Nasz nowy dowódca poprowadził nas na wschód w stronę Kamionki w zboża. Obeszliśmy dużym łukiem i wyszliśmy do zakrętu drogi do wsi Borek. Tam natknęliśmy się na Banderowców. To były odwody banderowskie. Ostrzelali nas znowu, odskoczyliśmy od nich spory kawałek i następnie od Korkusa chcieliśmy się dostać do szkoły... Natknęliśmy się znowu na pozycje banderowców. To była chyba druga linia banderowska, bo przy szkole trwała zacięta walka. Słychać było od czasu do czasu to przeklęte „hurraaa”. Z żalem w sercu musieliśmy opuścić naszą wieś, gdzie urodziłem się, wychowałem i gdzie zostawało tyle wspomnień i niespełnionych marzeń. Żal był tym większy, że człowiek stawał się bezsilny wobec zaistniałej sytuacji... Gdyby była amunicja... Poszliśmy w kierunku wsi Ostrówki. Tam nas ostrzelano ale z daleka. Bali się widocznie podejść bliżej. Omijając Ostrówki poszliśmy w kierunku wsi Hały. Gdy weszliśmy zastaliśmy same zgłiszczka. Po drodze do Hałów natknęliśmy się w lesie na grupę uciekinierów. Byli to ludzie z Wyrki i z Huty. Był Gracjan Kopij z wnukiem, wśród nas był niejaki Sulikowski z Wyrki. Gdy okrążyliśmy tę grupę rozpoznaliśmy ich i rozpoczęliśmy rozmowę. Ci z Wyrki poklekali na kolana i prosili, żeby ich zastrzelić, nie mordować... Sulikowski podszedł i przemówił do nich, żeby się nie bali, bo są wśród swoich. Nie pomogły żadne perswazje bez przerwy na klęczkach powtarzali jedno i to samo : „zastrzelcie ale nie mordujcie”. Nasz dowódca zaproponował, żeby ich zostawić w spokoju, oni sami muszą ochłonać. Odeszliśmy od nich na odległość może 50 metrów i obserwowaliśmy ich poczynania. Gdzieś może po 20 minutach jakby się obudzili. Zaczęli rozmawiać ze sobą i spoglądać w naszą stronę. Sulikowski zaczął ich wołać po imieniu. Za chwilę zaczęli się zbliżać. Zaczęli się poznawać. Gracjan Kopij poznał i mnie... (Nasi zabili świniaaka znajdującego się w zbożu, ale ponieważ z dwóch stron „rozległy się strzały świni nie można było zabrać. Po tym incydencie udaliśmy się bez przeszkód do stacji Grabina, która leżała na trasie Sarny -Kowel. Przed Grabiną ukryto broń, ponieważ na stacji było dużo Niemców. Na stacji było też dużo uciekinierów. Na łące obok stały tysiące koni, wozów, różnych skrzyń... To zostawili ludzie, którzy już odjechali. Niemcy jak się zorientowali, że

jest taki wielki napływ uciekinierów, podstawiali sukcesywnie wagony towarowe a po załadowaniu ludzi odwozili ich w kierunku Sarn. Spotkałem dużo ludzi, którzy opuścili Hutę Stepańską razem z moją rodziną... Dowiedziałem się, że siostra Helena zginęła w Wyrce, przy kościele... Następnie dowiedziałem się, że brat Staszek został zabity w Hucie koło domu Adama Zielińskiego. Niektórzy twierdzili, że mama, ojciec i siostrzyczka Marysia też zostali zabici koło domu Adama Zielińskiego... Wreszcie ktoś tam widział drugiego brata zabitego w kartoflach też koło domu Zielińskiego. Przyjąłem to wszystko do wiadomości odnotowałem w mózgownicy i tyle... bo mojej świadomości tragedia ta nie dotarła. Poszedłem do gromady koni, wybrałem takiego spokojniejszego wsiadłem na niego i pojechałem do wsi Perespa. Tam miałem kuzynów ze strony mamy... Przenocowałem u kuzynów i rano po śniadaniu... Wyszedłem do wsi żeby się rozejrzeć... Spotkałem tam dużo ludzi, którzy byli w szkole kiedy myśmy chcieli się do niej dostać a ona była otoczona dwoma pierścieniami przez hordy banderowskie: Opowiadali tak:

Było bardzo ciężko. Odpierali wszystkie ataki nie dopuszczając Banderowców do szkoły. Przyszła jednak taka siła, że obrońcy musieli się schronić w budynku szkolnym, ograniczając zasięg obrony do strzelania z okien. W pewnym momencie ktoś ujrzał przez okno i zauważył, że robią podkop pod szkołę - chcą wysadzić ją w powietrze... Temu, który robił podkop rzucono granat. Podobno był to Cecik był on jeden z policjantów ukraińskich w Hucie Stepańskiej... Zrobił się straszny krzyk nawoływanie do wyjścia na zewnątrz, ale odważnych nie było. Nie było takiego, kto by był pierwszy. Tu jak znowu opowiadano ksiądz Drzepecki wziął krzyż do ręki i powiedział: - W imię Boga - kto za mną. Wtedy jakby jakiś nowy duch wstąpił w obrońców. Wyszli wszyscy na zewnątrz i o dziwo po krótkiej walce hordy banderowskie zaczęły uciekać. Pomimo strzelania przez Banderowców nikt z naszych ludzi nie ucierpiał. Opowiadali dalej: Dowódca kapitan Kochański pseudonim Wujek, który już w tym czasie objął dowództwo został ranny... Amunicji coraz mniej... Postanowiono opuścić Hutę Stepańską. Do pomocy obrońcom przyszedł sam Pan Bóg. Bo zesał taki ulewny deszcz jakby oberwanie chmur. Wykorzystali to obrońcy oraz ludzie, którzy schronili się w szkole i opuścili Hutę Stepańską... Banderowcy nie chcieli wytknąć nosa w taką ulewę a nasi mogli bezpiecznie, bez strat, wycofać się. Oni wszyscy tak jak ja udali się do Grabiny, a skąd część przeszła na Perespe a część poddała się przeznaczeniu - wsiadła do podstawionych przez Niemców wagonów i udała się w nieznane. Niemcom było to na rękę mieli żywy towar do darmowych prac u siebie... Należy tu jeszcze zaznaczyć, że po opuszczeniu Huty Stepańskiej przez jej obrońców i ludność w Hucie pozostało jeszcze parę nie spalonych domów, kościół i szkoła. Perespa też miała zorganizowaną samoobronę. Dowiedziałem się, że organizują partyzantkę. Do Niemiec na roboty nie chciało mi się jechać, więc poszedłem pod wskazany adres gdzie pan Zygmunt przyjmował chętnych do partyzantki.. Po krótkiej rozmowie i udowodnieniu, że mam tu kuzynów, Somańskich przyjął mnie. Dostałem od razu karabin 10 strzałowy i trzy magazynki amunicji. Teraz mogę powiedzieć, że ten karabin ledwo dźwigałem... Wtedy uznałem, że to z wycieńczenia. Dużo było takich młodych ochotników do partyzantki jak ja... Dowiedziałem się, że nasz ksiądz Drzepecki odprawiał rano nabożeństwo w wykopanych pod ziemią lochach. Podobno wygłosił płomienne kazanie, przypominając, że kiedyś chrześcijanie już byli zepchnięci do katakumb, ale wyszli z tego zwycięsko. Idąc tak przeżywałem jeszcze raz wszystko, co przeszedłem. W tych rozmyślaniach przypominałem sobie, że przecież dwie stacje od Grabiny jest miasteczko Sarny a w Sarnach mieszka siostra mojej mamy. Nawet przypominałem sobie jej adres. Nie namyślając się długo poszedłem do pana Zygmunta i powiedziałem mu tak: Ja w Sarnach mam rodzinę, siostrę mojej mamy, oddaję karabin i amunicję a sam udam się do Sarn. Jeżeli rodzina nie żyje, jak mi powiedziano, to jutro jestem z powrotem tu u pana, ale jeżeli jakimś cudem żyją to chyba już nie wrócę... Wysłuchał i powiedział: - No cóż przysięgi jeszcze nie składałeś, więc masz prawo zrobić jak zechcesz... Poszedłem na przełaj do stacji Antonówka.

Dochodząc do stacji widziałem jak odjechał pociąg w kierunku Rafałówki a w stronę Sarn jeszcze stał. ... rozpoznałem stojącą przy oknie Jadzię Magdzińską z Wyrki... zapytałem czy jej rodzina żyje, bo moi wszyscy poginęli... Ona popatrzyła na mnie uśmiechnęła się i powiedziała: „Bzdury twoja siostra Helena w tej chwili pojechała do Rafałówki do Kozłowskich - waszych kuzynów”. Tam są rodzice z małą siostrą Marysią i brat Heniek. Natomiast twój brat Staszek jest u ciotki w Sarnach... Podziękowałem Panu Bogu za ich uratowanie i za to, że mnie natknął taką myślą żeby pojechać do Sarn. Kto wie jakby się potoczyły moje losy jakbym został w partyzantce. Gdy przyjechałem do Sarn idąc do ciotki miałem dziwne spotkanie. Patrzę a naprzeciwko mnie idą dwaj oficerowie SS a w środku nie, kto inny jak ojciec dr Rozenberga. - Żyda z Huty Stepańskiej, który pracował na uzdrowisku Słone Błoto w charakterze głównego księgowego. Ścisnęło mnie w piersiach gdyż pomyślałem, że prowadzą go na gestapo... Przyjrzałem się lepiej i doszedłem do wniosku, że to jest coś innego. Gdyby go prowadzili jako aresztowanego to nie szedłby w środku, ale trzy kroki przed nimi. Oni weszli do budynku gestapo. Ja trochę pochodziłem tu i tam i zobaczyłem, że wychodzi sam Rozenberg. Poszedłem za nim w pewnej odległości i następnie dopędziłem go. On popatrzył na mnie trochę dziwnie a ja mu mowie - dzień dobry panie Rozenberg... On zrobił tajemniczą minę i cicho powiedział: „Rosiński”. Pytam, co to miało znaczyć, że on szedł z oficerami SS. - On mi na to - jestem tłumaczem różnych języków, a to, że w SS, to powiada, czy można bezpieczniej się czuć jak nie u lwa w paszczy!.. Oczywiście opowiedziałem mu w skrócie nasze dzieje, cośmy przeszli i opowiedziałem mu też jak to pastuch za ubranie wydał jego syna lekarza. Posmutniał, widziałem, że miał łzy w oczach. Pożegnaliśmy się i każdy poszedł w swoją stronę. Ja odszukałem ul. 17 lipca i dom mojego wuja. Gdy doszedłem do wujka zobaczyłem mego brata Staszka, który zmarszczył nos i patrzył na mnie bez większej radości. Podchodzę i mowie - cześć Staszku - a cześć odpowiada. Tu muszę przerwać opowiadanie i chcę powiedzieć, że nie wiem jak to się działo - człowiek dostał jakiejś znieczulicy. Do ciotki zjechała cała rodzina to jest sześć sióstr z rodzinami. Było nas w sumie 27 osób z rodziną ciotki. Pamiętam jak wieczorem trochę posiedzieliśmy przed domem i kiedy przyszedłem do mieszkania nie znalazłem odrobiny miejsca do spania.. Już miałem wyjść na podwórko i posiedzieć na ławce do rana, kiedy spostrzegłem że pod stołem jest miejsce na jedną osobę. Wszedłem pod stół marynarkę rzuciłem pod głowę, kurteczka się nakryłem i tak przespałem do rana. Na podłodze wszyscy leżeli jeden przy drugim jak śledzie w beczce.

Na tym nie kończy się praca pana Edwarda Kwiatkowskiego a dalszy ciąg jego losów i jego rodziny podczas wojny jest wprost fascynujący. Im dalej czyta się tę pracę tym bardziej jest ona interesująca. Przygody, jakie pan Edward przeżył oraz jego rodzina po opuszczeniu Huty Stepańskiej, zachowania ludzi, kreślenie... Typów i osobowości w warunkach wojenny budzi podziw dla autora i jego pracy. Dla celów zakreślonych w Zeszytach Łukowieckich najważniejsze było pokazanie jak wyglądały działania Banderowców i jak likwidowano polskie wsie. W tym wypadku likwidacja dotyczyła 17 polskich wsi. Autor ukazuje też skomplikowaną sytuację na Wołyniu. Banderowcy, Niemcy, Polacy Partyzantka radziecka. Raz Niemcy pomagają Polakom to znowu chcą wieś zlikwidować. Partyzanci radzieccy dobrze nastawieni do Polaków . Walki Ukraińców z Polakami oraz ataki Banderowców na oddziały niemieckie. Obraz wojny na Wołyniu jest zdumiewający.

Aby ukazać choć skrótowo dalsze losy Pana Edwarda i jego rodziny pragnę jeszcze zacytować z jego książki 6 urywków, które wybrałem a które ukazują tułaczkę jego i całej jego rodziny po opuszczeniu Huty Stepańskiej. W Sarnach wyszło niemieckie zarządzenie ,że ludzie przybysze mają się zgłaszać, pod karą śmierci, do określonych punktów. Do jednego z takich punktów udała się rodzina Kwiatkowskich i została zakwalifikowana do wywozu do

Równego. Tam mieszkali w byłych koszarach wojskowych. Na drugi dzień załadowano ich i przez Lwów pojechali do Przemyśla. W Przemyślu mieszkali w dawnych koszarach austriackich przerobionych na obóz. Osobno Polacy, osobno Ukraińcy. Policja obozowa ukraińska. Dyskryminowano Polaków na każdym kroku zarówno jak chodzi o jedzenie a także warunki bytowe. Sytuacja się trochę poprawiła, gdy pan Edward zaczął wynajmować się do pracy u gospodarzy. Pewnego razu przyłączyłem się do grupy, która szła do pracy okazało się, że nas prowadzi do drugiego lagru naprzeciwko. Na terenie tamtego lagru było pole na którym były posadzone ziemniaki. Tam trochę podjadłem pieczonych ziemniaków... Pole dochodziło do dużego płotu z drutu kolczastego, a za drutem byli jeńcy radzieccy. Na ich terenie był kawałek ziemi 30x30m, dookoła ogrodzony, ale bez żadnej bramy czy furtki, była to wspólna mogiła żołnierzy radzieckich. Opowiadał nam o tym jeden wysoki bardzo przystojny mężczyzna. Z jego delikatności w rozmowie wnioskowałem, że był to oficer wojska radzieckiego. Opowiedział nam historię... Przerazającą: "Gdzieś na terenie Zachodniej Ukrainy zostali okrażeni i wzięci do niewoli. Było ich 30 000/ trzydzieści tysięcy/. Jak przywieźli ich do Przemyśla - Przekopane, to po miesiącu zostało nas niecałe 300 /trzysta osób/. Wszyscy zginęli śmiercią głodową... Wszyscy są pochowani za tymi drutami. Ten sam kociołek gotowano dla 30 000 ludzi co teraz dla 300". To opowiadanie dla mnie młodego człowieka było straszne". Po 6 tygodniach wywieziono obozowiczów do Równego. Tu żyli w piwnicy i pracowali praktycznie za jedzenie. Idąc raz ulicą usłyszałem-Edek. Obejrzałem się i zobaczyłem Władka. Był to syn Stanisława Sawickiego. Zwanego w Hucie Griszukiem - tego, który u nas za Sowietów był sekretarzem Gromadzkiej Rady Narodowej i który ze Szwajcyrą zsyłał (ludzi) na Sybir. Podszedłem i zapytałem, co tu robi. Mieszkam tu odpowiedział. Jak chcesz to, choć zobaczysz gdzie mieszkam? Poszedłem z nim, doszliśmy do przedmieścia, naraz patrzę stoi piękna willa. Spojrzałem na drzwi a tam wizytówka a na niej „Stanisław Sawitzki". Aha pomyślałem: Była Polska - był Polakiem, przyszli Sowieci -został komunista, a teraz są Niemcy to jest Volksdeutschem. Wszedłem do mieszkania. Ociec Władka poznał mnie i przyjął bardzo serdecznie. Wypytał o wszystkich i o wszystko. Opowiedziałem mu wszystko od wyjścia z Huty do chwili obecnej. Powiedziałem też, że mieszkamy w łaźni... Pomyślał coś i powiedział, niech ojciec jutro do mnie przyjdzie to dam wam mieszkanie... Nazajutrz faktycznie dał nam mieszkanie. Składało się ono z dużego pokoju, części poddasza oraz kuchni, która była wspólna.... (3 stycznia ze względu na zbliżający się front Równo zostało częściowo ewakuowane - rodzina Kwiatkowskich przez Lublin i Łódź pojechała do Legnicy tam przez jakiś czas pracowali a następnie wywózka do Jeleniej Góry i dalej do Czech do miejscowości Czeska Lipa. Wszystko, co opisuje pan Edward to niech się chowa każdy kowbojski film... a oto sześć fragmentów z jego pracy pracy, która zawiera wiele wątków, a każdy ma swój wydźwięk i każdy jest uderzający w swej treści.

Fragment 1

W Legnicy odczepili dwa wagony w tym nasz, doczepili do następnej lokomotywy i powieźli dalej. Minęliśmy jedną stację i już na następnej kazano nam wysiąść. Stacja nazywała się Brechersdorf obecnie Brachów. Czekają już na nas ciągniki z przyczepami. Bagaż załadowano na przyczepy, posadzono też (na te ciągniki) starszych ludzi i małe dzieci, reszta szła piechotą. Na dworze było dość ciepło, ale ślisko więc droga była męcząca. Szliśmy około dwóch godzin a jak się później okazało było to niecałe 8 km. Z daleka ujrzeliśmy dość dużą wieś. Przyprowadzono nas do tej wsi, która nazywała się Szlaubhog obecnie Słup. Byliśmy bardzo zdziwieni, bo dotychczas wsadzano nas zawsze do baraków a tu piękny pałac nad rzeką. Za rzeką góra a na górze las. Naprawdę wyglądało to jak w bajce... Na drugi dzień komendant zrobił apel w holu i powiedział tak: Jutro wszyscy, którzy są zdolni do pracy pójść pracować... Będą pracować od poniedziałku do soboty w południe. Po południu wszyscy muszą zgłosić się w lagrze... Każdy, kto pojedzie do jakiegokolwiek pracy musi

wykonywać wszelkie rozkazy pracodawcy... Nie chciałbym usłyszeć jakichkolwiek zażaleń. Na opornych mamy metody... Na drugi dzień zawieziono nas do Arbeitsamtu czyli biura pracy. Weszliśmy do dużej sali i tu kazano nam czekać... Zaraz po siódmej zjawił się dość tęgi mężczyzna - popatrzył na nas wszystkich. Podeszedł do mnie i jeszcze jednego stojącego obok mnie Janka Zycha. Popatrzył na nas jeszcze raz i coś powiedział. Zrozumieliśmy, że on nas kupuje... Staliśmy się żywym towarem... (trafili do ogrodnika), Ogrodnik u którego pracowaliśmy nazywał się Paul Hanke, a ogrodnictwo mieściło się przy ulicy Breslauer strafie. Jego ogród przylegał do muru, za którym była zajezdnia tramwajowa. Pracowaliśmy od środy do soboty i nie otrzymaliśmy w tym czasie ani kawałka chleba. Widząc jak pozostali jędną chleb czuliśmy się trochę pokrzywdzeni. Przepracowaliśmy w sobotę do południa i po obiedzie zabraliśmy nasze torby i wyszliśmy z domu. Zauważył to szef. A to, dokąd? - pyta. Janek znał trochę język niemiecki i powiada, że nam komendant naszego lagru powiedział, że w sobotę po południu wszyscy musimy być w lagrze. Więc idziemy... O nie, powiedział ogrodnik, jeden może iść do lagru ale drugi musi zostać... Janek mówi; wiesz może ja pójdę i od razu pójdę do komendanta i powiem mu, że ciebie nie pościł a jak wrócisz to pójdziemy obaj i powiemy, że od środy do soboty nie dostaliśmy ani kawałka chleba. Janek pojechał ja zostałem... Gdzieś około piętnastej z okna gdzie pracowała jego żona, jedna z dziewcząt zawołała: Panie Hanke telefon ze Schlaubhofu! Od razu wiedziałem, że to w mojej sprawie. Szef ruszył biegiem. Nie minęła minuta wyskakuje jak oparzony i krzyczy:- Edward do samochodu!. Rzuciłem wszystko, umyłem ręce, chwyciłem torbę i wskoczyłem do samochodu. Gnał jak mógł ten samochód... Podjechał pod nasz pałac i mówi, żebym siedł do Lagenfirera /komendanta lagru/. Wskoczyłem i poszedłem. Janek już czekał... Mówi, wiesz zrobimy tak, zaczekamy aż on dojedzie do domu i wtedy pójdziemy do komendanta. Ty niby się zameldować, bo kazał. Potem powiemy, że przez cztery dni nie dostaliśmy ani kawałka chleba... Gdzieś po 40 minutach poszliśmy, ja powiedziałem, że już jestem od Paula Hanke... Powiedział, że więcej on już nas nie zatrzyma... Potem Janek powiedział, że od środy myśmy jeszcze chleba nie widzie i że dostaliśmy tylko zimne kartofle na śniadanie i kolację. Popatrzył i zapytał; czy to prawda? Kiedy potwierdziliśmy, że tak wziął telefon wykręcił numer i czekał. Jak Hanke się odezwał to go zapytał- czy moi ludzie, którzy pracują u ciebie, dobrze pracują, czy nie masz do nich jakichś uwag? Chwila, twarz mu się zmieniła i jak nie ryknie do słuchawki: Więc jak dobrze pracują to dlaczego od środy nie dostali chleba? - Chwilę znowu słuchał i potem znowu ze złością: - To trzeba było dać ze swoich kartek... -Posłuchaj, co ci powiem, jeżeli oni jeszcze raz przyjdą i powiedzą że czegoś nie dostali co im się należało to więcej ich nie dostaniesz. Ja im dam inną pracę. Rozumiesz! Położył słuchawkę... Do nas powiedział, gdyby zdarzyło się kiedyś, że czegoś nie dostaniecie co dostają inni, rzucajcie robotę i przyjeżdżajcie do lagru. Tego nam było potrzeba.. W poniedziałek wróciliśmy do pracy, szef był bardzo delikatny, chociaż trzeba powiedzieć, że taki najgorszy to on nie był... Kiedy poszliśmy na obiad, kucharka pokazała nam nasze szafki, a w szafkach było dużo chleba, wędlin, marmolady sera i tzn. z po niemiecku "blut wurst" coś w rodzaju naszej kaszanki? Każdy z nas miał to rozdzielone na dwie kupki. Pokazane były zaległe i bieżące... Przydział żywności dostawaliśmy dwa razy w tygodniu w poniedziałki i czwartki. Mieliśmy, więc w miarę normalne jedzenie. (Jest to tylko jeden z wątków opisany przez pana Edwarda dotyczący pobytu w Legnicy. Pragnę jeszcze dodać, że wśród pracujących tam czterech chłopców był jeden z Radomska i nazywał się Adam Grabowski)

Fragment 2 Jelenia Góra.

Z dworca zaprowadzili nas do łaźni. Tam zabrano nam wszystek bagaż i oddano do dezynfekcji a nas do łaźni. Z łaźni zawieźli nas ciężarówkami do baraków. Jechaliśmy obok bardzo dużej fabryki. Na jednym z wysokich budynków był jakby emblemat danej firmy napisane było „Celvolle-Prix”. Przy tej fabryce skręciliśmy przez tory w prawo i dojeżdżając

do baraków zobaczyliśmy duże ogrodzenie i wieże strażnicze, z których co chwila strażnicy szperali reflektorami. Serce załomotało. Pomyślałem czy aby tu nas mają wsadzić. Zobaczyliśmy jednak baraki stojące przed tymi drutami. Kazano nam wysiadać. Cała rodzina otrzymała pomieszczenie w baraku, który szczytem był przybudowany do muru a za murem, jak później dowiedzieliśmy się był obóz koncentracyjny w którym trzymano polskich i węgierskich Żydów. Dowiedzieliśmy się też, że jest to filia dużego obozu koncentracyjnego Gross Rossen /obecnie Rogoźnica/. Dostaliśmy sale, do której wtłoczono 28 osób w tym pięcioro dzieci, łóżka - piętrowe prycze. Sienniki wypchane wiórami... Każdy jakoś się urządził, poumieszczał to, co miał, najczęściej pod łóżkiem, bo szaf nie było. Ubikacja w obrębie baraku jedna dla całego lagru... Mama i siostra Marysia zostały zwolnione z pracy. Ojciec został zatrudniony w straży pożarnej, ale po miesiącu zwolniono go i został zatrudniony w zakładzie szewskim. Siostra Helena została przydzielona do zakładu energetycznego. Jej zadaniem było, co godzinę brać próbkę jakiejś cieczy i odnosić ją do laboratorium oraz dokładne spisywanie zegarów. Brat Staszek miał najwięcej szczęścia. Dostał się do oddziału przedziałniczego. Jego kierownik polubił go, przeszkolił na maszynach i został jakby jego zastępcą... Praca polegała na doglądaniu maszyn. W razie awarii usuwał ją sam i uruchamiał maszyny. Brat Heniek miał najgorzej on i jeszcze jeden chłopak taki jak on /mieli po 15 lat/ pełnili rolę koni pociągowych. Mieli wóz platformę na czterech kołach. Mieli dopasowaną uprząż i kursowali od 7 00 rano do 18 00 wieczorem z przerwą obiadową jednogodzinną. Przy tym musieli ładować różne silniki i żelastwo, różnych wielkości i kursowali od fabryki do dworca zachodniego - około kilometra - tam i z powrotem. Nieraz spotykałem ich na drodze, patrząc na nich, jak się męczyli - mało mi serce nie pękło. Niemiec idący obok ani ręki nigdy nie przyłożył żeby im, choć trochę pomóc... Ja zostałem przydzielony do oddziału „Energieabteilung” i od razu musiałem iść na nockę. Gdy wszedłem przeraziłem się... Po pierwsze uderzyło mnie gorące powietrze druga rzecz to straszny hałas. Było to olbrzymie pomieszczenie, gdzie stało 5 pieców. Dwa węglowe i trzy ługowe. (autor opisuje że przy tych ługowych musieli pracować czyszcząc rury w środku za pomocą szczotki wmontowanej w otworach w piecach - opis pieca - rur niezwykle dokładny - gorąc, iskry i całe strugi ognia powodowały, że spalił w krótkim czasie 5 ubrań. Opalił włosy. A jak pisze pierwszego dnia pociechy z niego nie mieli bo zemdłał. Było to jedno z najcięższych miejsc pracy... Zarobki zróżnicowane w zależności od narodowości; Belg - 320 marek, Niemiec - 480 , Polak i Czech 220, Włoch 260 a nas dwóch z OST lagru po 10 marek. Przez dwa tygodnie karmiono ich głównie ryżem - na ten ryż zaczęli narzekać, że od tego im kichy pogniją- po 2 tygodniach dostawać zaczęli zupę z resztek kapusty z robakami śmierdzącą ... Po jakimś czasie zaczęli robaki wyrzucać a zupę jeść - innego wyjścia nie było. Jak się okazało? Wywieziono z baraków 7 rodzin Volksdeutschów i kuchnia zaczęła żywić tylko lagierników gotując zupy z podgniłych resztek zarobaczywionej kapusty i liści brukowi, więc w końcu lagiernicy przyzwyczaili się do tego, że trzeba robaki wyciągać i zupę jeść zatykając często nos).

„ Z jednej strony naszego budynku było podwórko, a z drugiej ogródki działkowe. Naprzeciw naszego okna rosła fasola tyczkowa, która zasłaniała widok od strony obozu, a nawet widok z wieży wartowniczej. Zupę się przynosiło dla całej rodziny w wiadrze. Okno było otwarte od strony ogrodu... Wtem do okna podchodzi jeden z więźniów obozu i prosi żeby mu dać coś do jedzenia. Był to Żyd z Łodzi. Mama nie namyślając się wlała do miski zupy i podała mu wraz z łyżką. Żyd usiadł pod oknem i jadł wszystko jak szło. Wtem głos: Uważaj, bo się udławisz i nagle stanęła (przed nami) postać, żołnierza niemieckiego z karabinem. Żołnierz mówił czystą polszczyzną. Był jednym z tych, którzy pilnowali tej grupy więźniów. Po chwili zapytał a która osoba była tak odważna i dała Żydowi zupę. Mama stała niedaleko okna, od razu usiadła i zrobiła się biała jak ściana. Żołnierz popatrzył i powiedział tak: Czy pani uważa, że pani mu pomogła? - Pani go zabiła. On jeszcze żyje i je zupę, ale on już jest prawie

nieboszczykiem.. Oni wszyscy mają żołądki malutkie pokurczone. Wlewając na siłę taką miskę zupy, spowodował, że żołądek pęknie i po nim. Żyd jadł nie przerywając. Żołnierz zaczął znowu mówić. Moim obowiązkiem jest zabrać panią od razu do obozu. Nie zrobię tego, bo jestem przeciwnikiem mordowania ludzi głodem. Wołałbym ich wystrzelać a nie męczyć. Mówił dalej: Pamiętajcie, ja jestem z wermachtu. Ale za tydzień będą tu SS-mani. Proszę was nie rubcie tego, nie narażajcie się niepotrzebnie, bo i tak nic im nie pomożecie. Żyd wstał i pyta czy może prosić o papierosa... Możesz prosić, bo ja ci nie dam. Ci, co palili podali mu jakieś machorki, podziękował i odszedł... Przy pracy było jeszcze dziewięciu i w ciągu godziny przychodzili pojedynczo i jedli te zupe, tylko już dawaliśmy im mniej, aby im nie zaszkodziła. To już był czerwiec 1944 roku, czyli już było wiadomo, że Niemcy wojnę przegrają. Tym żołnierzem był Ślązak. Po tym całym incydencie, który zakończył się szczęśliwie... Na drugi dzień dowiedzieliśmy się od tego żołnierza, że Żyd umarł. Żołądek nie wytrzymał i pękł. Umarł w nocy... Po tym zajściu jak moja mama dała Żydowi miskę zupy, zdarzył się podobny przypadek tylko gorszy w skutkach. Otóż jak ten żołnierz powiedział, że po tygodniu przyjadą SS - mani tak się też stało. O Boże, cóż to byli za ludzie, gorsi od zwierząt. Jak oni się znęcali nad tymi więźniami to strach pomyśleć. Równolegle do naszego baraku stał taki sam barak jak nasz. Między tymi barakami tylko trochę w bok budowano barak dla SS-manów. Budowała go grupa więźniów składająca się z dziesięciu ludzi jednego kapo i jednego Niemca z psem. W tym dniu pilnował ich człowiek- zwierzę. Był wysoki, ponad 180 wzrostu, dość tęgi. Na nogach miał buty z cholewami. Gdzieś około południa podszedł do okna jeden z tych więźniów i poprosił coś do jedzenia... Którąś z kobiet wlała tej zupy, która nam dawali i mu podała. Zobaczył to ten strażnik. Dopadł go przy oknie. Z całej siły kopnął w przyrodzenie. Żyd upadł. Pies wskoczył na niego i rwał pasiak wraz z ciałem. Żyd jęczał. Niemiec chwycił go za kołnierz, podniósł do okna i kazał wskazać, która kobieta dała mu zupy. Żyd popatrzył i powiedział, że nie widzi tej, która mu dała. Wściekł się. Kopnął go znowu w to samo miejsce a kiedy Żyd upadł, pies robił swoje a SS-man swoje. To wszystko działo się na naszych oczach około 30m. Moja mama nie wytrzymała nerwowo, chwyciła patelnię i ruszyła do drzwi mówiąc „zabiję Szwaba”. W ostatniej chwili dopadłem mamę w drzwiach i chwyciłem wpół, zaniósłem na prycze i rzuciłem, bo już nie mogłem mamy utrzymać. Chwyciłem ją za ręce i trzymałem tak długo aż się uspokoiło... Niemiec podszedł do okna i powiedział: Jacy wy jesteście niemądrzy. Przecież oni zamordowali Chrystusa. Jak to powiedział? Pomyślałem sobie, że ten akurat ma pojęcie o Chrystusie. To było po południu, Żydzi idąc na obiad ponieśli tego biedaka na ramionach. Po południu przynieśli go też na ramionach. Nie robił nic. Stał oparty na łopacie, później upadł. Początkowo jeszcze się ruszał, ale na wieczór było widać, że ponieśli trupa... Najgorsze były soboty. Wiedzieliśmy, kiedy będzie zabawa z ludźmi, czyli mordowanie. Jak o 18 00 słychać było śpiew - to oznaczało, że piją a jak piją to będą mordować więźniów? O 20 00 szedł jeden zataczając się do lagru i za chwilę prowadził 10 więźniów. Następnie słychać było trzaski i jęki. Nie wiadomo, co tam z nimi robili. Po godzinie jęki cichły i znowu jeden szedł do lagru i przyprowadzał 20 - tu, którzy zabierali tych 10 i odnosili do lagru. Takie zabawy Niemców były bardzo częste."

Fragment 3

Aby nie być skazanym na jedzenie wyłącznie zupy z robakami zaczęliśmy chodzić do barów i kupować kartofle. Zawsze to było lepsze niż ta zupa. Nie szedłem po prośbie, bo miałem pieniądze. Czułem się pewny, bo z forszą w kieszeni. W związku z tym chodzeniem po ziemniaki miałem parę przygód: Pierwszy raz wybrałem się ale blisko fabryki. Przychodzę do baora i mówię: Gut Morgen / Dzień Dobry/. A ten patrzy na mnie i jak nie krzyknie: Heil Hitler - raus! . Więc wyskoczyłem jak z procy!. Jednak, co pomyślę o kartoflach to aż mnie z głodu skręca. Idę, więc do następnego. Wchodzę i mówię: Heil Hitler! a ten mi powiada;

Scheis Hiller - czyli - gówno Hitler i też drzwi pokazał. Nie daję za wygraną i idę do trzeciego. Wchodzę i milczę trzymając 50 marek w ręku. Patrzy i pyta, co chcę? Proszę, żeby mi sprzedał za 50 marek kartofli, obojętnie ile mi za te marki da. Pomyślał coś i mówi choć ze mną. Weszliśmy do szopy, nasypał mi koszyk kartofli, tak około 20 kg . Wziął banknot 50 markowy, mnie kazał czekać a sam wszedł do mieszkania. Za chwile wyniósł mi 40 marek reszty... Podziękowałem i poszedłem zadowolony do lagru... Pewnego razu poszedłem do Jeżowa za Jelenia Górą. Wszedłem na podwórko do baora, akurat wychodził z mieszkania. Pyta - co ja chcę, że przyszedłem do niego. Ja trzymam 50 marek i proszę, żeby mi sprzedał kartofli. Bez słowa nasypał mi dość duży koszyk. Podje mu pieniądze ale on machnął ręką i odszedł do szopy. Podziękowałem i wyszedłem na ulicę. Trzeba pecha, akurat policjant nadjechał na rowerze. Zatrzymał mnie i pyta - co ja niosę? Kartofle odpowiadam. A gdzie je dostałeś?. W tym czasie zobaczyłem, że ten baor stoi i patrzy, jak ten policjant mnie wypytuje. Ja wtedy mówię, że aż w trzeciej wiosce. Chwycił za worek i ciągnie do tego baora. Złapał za dno worka, wysypał te kartofle i powiada: - Patrz tam na tych wioskach są durnie, dają kartofle i nie wiedzą, kpmu! - Do mnie się odwrócił i jak nie krzyknie - raus! /precz/. Wyskoczyłem jak z procy na ulicę i skręciłem zamiast w prawo w lewo. Odszedłem w krzaki i obserwowałem policjanta. Coś jeszcze pogadał i pojechał w przeciwnym kierunku czyli do miasta. Ja ruszyłem też do miasta. Patrzę baor stoi. Jak mnie zobaczył machnął ręką żebym przyszedł do niego. Powiada tak: Za to, że go nie sypnąłem, to mogę zabrać te wszystkie kartofle i jeszcze mi dodał więcej jak pół koszyka. Zabrałem to wszystko i już nie szedłem przez miasto, lecz polami i łąkami... Kartofle po paru dniach się skończyły, więc trzeba było gdzieś po nie iść. Wziąłem długi worek i poszedłem. Początkowo nie wiedziałem dokąd iść, ale że ostatnio wieś Jeżów była dla mnie dość szczęśliwa, więc poszedłem ponownie tam. Obszedłem prawie całą wieś i nic. Nie dziwiłem się zbytnio, bo przecież nie ja jeden chodziłem za ziemniakami. Pomyślałem, wstąpię jeszcze do jednego domu i jak tu nic nie kupię to wracam do lagru. Zapukałem do drzwi usłyszałem; rein - czyli zapraszają. Wchodzę do kuchni i widzę siedzącą przy stole panią w sile wieku a przy niej dwie młode panienki... Właśnie jadły obiad. Pomyślałem o naszym obiedzie o tej zupie z mięsem robaczkowym. Tu był zapach zupy... Starsza pani popatrzyła na mnie i pyta - co chcę . Pokazuję 50 marek i proszę o sprzedanie trochę kartofli... Zaczęła się mnie wypytować, gdzie jesteśmy, gdzie pracujemy i dlaczego właśnie z naszego lagru najwięcej ludzi chodzi po kartofle. Wytłumaczyłem jej, że jesteśmy z całymi rodzinami i że są małe dzieci. Jedzenia jest bardzo mało i jest bardzo źle. Popatrzyła jeszcze raz na mnie i wyszła. Po chwili przyniosła mi dwie kromki chleba, a ten chleb pachniał. Nie tak jak ten, który nam dawali. Chleb był posmarowany smalcem i przełożony boczkiem. Ja podziękowałem złamałem na pół i wsadziłem do kieszeni. Ona pyta - dlaczego ja chowam - ona to dała dla mnie. Odpowiedziałem, że mam w lagrze małą pięcioletnią siostrę, więc jej to zaniosę. Spojrzała na mnie i powiedziała, To zjedz a ja siostrze dam!. Wyjąłem chleb z kieszeni, trzy razy ugryzłem i było po chlebie. Jak to zobaczyła to aż ręce załamała i powiedziała; "Du liebe Gott" / Dobry Boże!/. Była przerażona. Ja patrzyłem na te panny i jednocześnie na portret trzech mężczyzn w mundurach wojskowych. Gospodyni zauważyła że patrzę na portret - powiedziała tylko tyle: - Tu jest mój mąż i dwaj synowie, wszyscy poginęli na froncie wschodnim. Pomyślałem sobie, że ona naprawdę odczuła wojnę. Straciła przecież najbliższe osoby. Pomyślałem też, że ja tej wojny nie wymyśliłem i też jestem jej ofiarą. Kazała mi iść za sobą. Zaprowadziła mnie do piwnicy i pokazała dość dużą kupę kartofli. Mówi tak: To wszystko możesz zabrać ale nie od razu. Przychodź codziennie i bierz po trochę. Ja ich nie dam nikomu. Ja sobie pomyślałem - to, co wezmę to moje, ale to co zostanie, to nie wiadomo... Miałem bardzo długi worek i chcąc, aby było lepiej zadać go sobie na plecy załadowałem cały, zawiązałem u góry zawartość worka podzieliłem na pół ukląknąłem na kolana i wtedy jedną połowę zarzuciłem na plecy i trzymając się ławki, ledwie się podniosłem... Podziękowałem

gospodyni i trochę chwiejnym krokiem odszedłem... Szedłem okrężną drogą przez łąki i pola... świadomość tego, że tylu ludzi zobaczy, że przyniosłem kartofli, dodawała mi sił... Już byłem niedaleko baraków jak ojciec z bratem powiadomieni przez sąsiada, że coś dźwigam odebrali ode mnie ten ciężar. Padłem... Całe ciało i kości mnie bolały... (sąsiad z pryczy Feliks Ruzik... nie mógł uwierzyć, że przyniosłem tyle kartofli z Jeżowa - powiedział - przecież tych kartofli było z 80 kilo). Muszę wspomnieć o swoim majstrze. Nazywał się Wójcik. Gdy wybuchła wojna był w szkole oficerskiej w wojsku polskim. Wiedziałem o tym od Mariana Mitręgi, który był w lagrze gdzie pracował jako ślusarz, a z Wójkiem byli razem na szkole oficerskiej. W fabryce był majstrem. Nie było by w tym nic niezwykłego gdyby nie to, że nagle zapomniał języka polskiego. Kiedy szedł do mnie, aby mi coś powiedzieć albo zmienić pracę, prowadził Czecha Jarego Wenzla i mówił do niego po niemiecku a Czech przetłumaczył na język polski... Od czasu do czasu trzeba było piec czyścić wewnątrz... Po wygaszeniu ognia należało odczekać 5-6 godzin, żeby można było wejść do wnętrza. Wójcik potrafił już po trzech godzinach ładować Żydów do pieca. Widziałem jak ci ludzie po 2-3 minutach wyskakiwali z pieca a on stał i się śmiał. Po dwóch minutach znowu kazał wchodzić im do środka. To był prawdziwy sadysta.

Fragment 4

30 stycznia 1945 r. idąc do pracy musiałem przejść obok baraku komendanta lagru. Wyskoczył, zawołał mnie i powiedział żeby dziś do pracy nie iść... Po południu przyszli policajcy z fabryki i zaprowadzili nas do miasta... Wzięli 33 osoby i umieścili nas w barakach w miejscu gdzie obecnie postawiono duży hotel przy ulicy Świerczewskiego... Baraku pilnowało wojsko... Zbudzono nas o 4 00 rano kazano wsiąść na samochód ciężarowy i ruszyliśmy. Zdziwiliśmy się, że zawieziono nas do dworca zachodniego a nie głównego. Gdy pociąg przyjechał wsiedliśmy do wagonu osobowego... (jechali w kierunku Szklarskiej Poręby... Po niedługim czasie wjechali na terytorium Czechosłowacji do stacji Poluby... Jechaliśmy przez Liberec i zajechali do stacji Benisch Leipe /Czeska Lipa/ gdzie wysiedli.)

Po opuszczeniu wagonów w Czeskiej, Lipie przy asyście czterech żołnierzy udaliśmy się do obozu. Był to bardzo duży obóz dowiedzieliśmy się, że przebywa w nim ponad 850 osób. Nie przeraziło nas to, że jest ludzi dużo. Przeraziło nas najbardziej, że to są sami Ukraińcy Białorusini i dużo też Azjatów. Na nasze spotkanie wyszedł komendant lagru z tłumaczem niemieckiego na rosyjski. Komendant był w stopniu majora a tłumacz podoficerem... Major miał już coś powiedzieć ale ubiegł go nasz Szmyt, władający dobrze niemieckim. Zapytał dlaczego nas tu przywieziono. My jesteśmy Polakami i proszę nas dać do polskiego lagru. Major chwilę się zastanawiał i odpowiedział: Ja nie wiem, kto wy jesteście i nie chcę wiedzieć. Was przysłano z Ost lagru i tu zostaniecie jak ci wszyscy. Powtarzaliśmy, przy każdej okazji, kiedy zobaczyliśmy nowego oficera, że jesteśmy Polakami. Niektórzy nam obiecywali, że zajmą się tą sprawą. Komendantowi bardzo się nie podobało, że wszyscy szliśmy ze skargą do oficerów. Chyba na czwarty dzień zrobił apel i powiedział: - Polacy wystap. Wystapiliśmy na środek czworoboku. Komendant podszedł do nas i przez tłumacza powiedział: Nie chcę więcej widzieć was razem biegających z waszymi skargami do oficerów. Wybierzcie delegację trzy osoby i niech one za Was mówią. Jeżeli jeszcze raz zobaczę biegających was razem, uznam to za napad na oficera niemieckiego i odeślę was do obozu koncentracyjnego. Powiem wam jeszcze, że tego nikt nie zmieni, tu zostajecie czy wam się to podoba czy nie... Na szósty dzień naszego pobytu zarządzono zbiórkę całego lagru. Nie mówiąc dokąd i po co w asyście 40 konwojentów wysłano nas w nieznane. Przeszliśmy przez całe miasto... Zaprowadzono nas do baraków po rosyjskich jeńcach wojennych... Wyszedł komendant z tłumaczem i powiedział ostrym tonem „Polen austretten” /Polacy wystap/. Pozostałych zaczęli rozdzielać po barakach. Nas zatrzymano na placu.

Byliśmy trochę niespokojni, gdyż wokół nas coś się działo a my tylko staliśmy. (Tłumacz wyjaśnił, że wszyscy mają rozejść się do swoich baraków a za cztery godziny ma być idealny porządek. Proszek, ciepła woda, ścierki, szczotki są w łaźni... za cztery godziny idziemy na kontrolę). Jak ta operacja została zakończona, wtedy komendant podszedł do nas, popatrzył na nas trochę przestraszonych pokazał swoje białe zęby przy drwiącym uśmiechu powiedział: Wy macie ten oto barak i pokazał go ręką. Stał on akurat naprzeciwko kancelarii komendanta. Barak miał dwie sale. Stał na podwyższeniu i aby wejść do środka trzeba było wejść na ganek i dopiero wtedy wejść do sal. Przez całą długość ganku była balustrada. Barak wyglądał okazale, ale był też strasznie zaniedbany. W salach błoto, trzeba było skrobać łopatą. Patrzyliśmy na ten barak z westchnieniem. Nagle komendant donośnym głosem dowódcy krzyknął: Obergefreiter Fik /kapral Fik/ Ja wohl /tak jest/ - padła odpowiedź! I wystąpił Niemiec. Potem tym samym tonem wywołał obergefreitera Dropa. Strach nas obleciał. Fik był chudy twarz pociągła oczy wylupiaсте, stwarzał wrażenie człowieka bardzo srogiego i bezwzględnego, a spojrzenie miał bandyckie. Drop wygadał zupełnie inaczej, tak jak to nieraz pokazują na filmach kata, który podchodzi z toporem uciąć głowę. Szyi nie miał.. Głowa duża i tłusta jak u wieprza. Był tęgi i stwarzał wrażenie potworna. Nas podzielono na dwie grupy Fik dostał grupę w której byłem ja. Otrzymaliśmy salę 88 a Drop z pozostałymi salę 87... Fik przystąpił od razu do nas z krzykiem. Zadanie znaleźliśmy. Porządek idealny. Patrzyliśmy jeden na drugiego nic nie mówiąc, ale wszyscy myśleliśmy tylko o jednym - Oni nas zagnębia. - Ci dwaj kaprale. Wzięliśmy się szczerze do roboty. Podzieliliśmy się czynnościami i bez słowa każdy robił swoje. Łóżka porozbieraliśmy i wynieśliśmy na zewnątrz, tam jeden je mył. Szorowane były ściany aż do białości, nawet sufit był szorowany, myty i płukany. Nasz Fik wpadał pokrzykiwał, nawet nogę podniósł, że niby chce kopnąć, ale nikogo nie kopnął. Wybiegł do sztabu i tam pozostał. Tak sprawnie nam to poszło, że posprzątaaliśmy w przeciągu dwie i pół godziny. A po trzech godzinach byliśmy już umyć. Muszę jeszcze wspomnieć, że ganek wyglądał jak nie ten sam. Nawet wokół baraku posypaliśmy żółtym piaskiem. Baliśmy się wychodzić na zewnątrz. Więc usiedliśmy przy stole i czekaliśmy, co będzie. Wtem wpada Fik i mówi, że już idą na kontrolę. Weszło trzech oficerów łącznie z komendantem... Myśmy wstali. Fik meldował i kiedy doszedł do momentu, że sala jest czysta - zawahał się. Komendant jak zawsze z ironicznym uśmiechem, wyciągnął białą czystą chusteczkę i do Fika powiedział: O czystości to ja ci powiem zaraz. Wziął jeszcze patyczek chusteczkę włożył na patyczek i w każdą szparkę między deskami wkładał patyczek z chusteczką przeciągając je tam i z powrotem, ciągle się uśmiechając kazał odstawić łóżko... Myślał, że pod łóżkiem na podłodze znajdzie brud, ale nie znalazł. Wszedł na stół i szukał w szparach w suficie. Też nic nie znalazł. Fik stał wyprężony i zmieniony na twarzy to blady to robił się czerwony. Najwięcej bał się o podłogę. Komendant jakby zawiedziony w swoich planach dobrania się nam do skóry, wyskoczył jak oparzony. W następnej sali tak samo jak u nas. Patrzymy poszli do ruskich baraków. Ledwie weszli, usłyszeliśmy straszliwy krzyk i za chwilę wyskoczyli jak z procy. Po paru minutach przyszedł nasz Fik, widzieliśmy, że coś go trapi, coś chciał powiedzieć ale nie wiedział jak się do tego zabrać. Wreszcie wyksztusił: Moi kochani - wtedy myśmy zrobili miny jakby stał się cud. To był już inny człowiek. Powiedział, że czuje, że z nami nie zginie. Wybaczcie moje dotychczasowe zachowanie. Lecz zanim przyszedłem do was mieliśmy odprawę u komendanta. Powiedział nam, że wy jesteście bardzo aroganccy i niebezpieczni a jak was od razu nie weźmiemy krótko to wy nas. Teraz widzę, że nie jesteście tacy groźni. Wy mnie zrozumiecie a ja was. Mój kolega kapral Drop też to samo mówi do swoich. (Myśmy mieli szczęście bo sprzątaaliśmy całą szesnastką w innych barakach było ludzi po kilku , gdyż część zabrali Niemcy do sprzątania stołówki, sztabu, magazynu, wartowni nawet basenu p.pożarowego co spowodowało, że inne baraki miało sprzątać po 2-3 ludzi a najwięcej to pięciu, stąd i nie dali rady i zaczęły się pomiędzy nimi nieporozumienia i kłutnie - w konsekwencji baraków nie posprzątaali jak należy).

Wieczorem na apelu wywołano naszych Niemców i udzielono im pochwały za dopilnowanie ludzi i porządek... Z naszych katów zrobiły się baranki. W następnym dniu po śniadaniu o godz. 5 30 rano, zaczęli nas wywoływać. Podzielono nas na trzy grupy, do każdej grupy przydzielono anioła stróża z automatem. W mojej grupie było nas dziesięciu. Żołnierz dostał jakiś rozkaz zabrał nas i poszedł w kierunku miasta... Szliśmy dość długo, obliczyliśmy tę odległość na trzy km. Z daleka ujrzelśmy dworzec kolejowy... Chwila czekania i nadjechał pociąg... Wsiadliśmy do jednego wagonu. Jechaliśmy 14 km pociągiem a następnie znowu pieszo 3 km do lasu... Ucieszyliśmy się, że praca będzie na wolnym powietrzu w lesie... Leśniczy oznakowywał drzewa do wycinki (a my je zcinaliśmy)... zazwyczaj były to grube i wysokie drzewa. Używano ich do budowy zapór przeciwczołgowych na ulicach miast... Dobra to była praca, bo na świeżym powietrzu, ale była jedna wada, chodziliśmy zawsze głodni.. Obiad jedliśmy po przyjściu z pracy. Wtedy dostawaliśmy po 400 gram ciężkiego czarnego gorzkiego chleba z zakalcem i deko margaryny, a na śniadanie jakąś zieloną herbatę prawdopodobnie z lebiody. Ten chleb miał nam starczyć na śniadanie i do obiadu (czyli do wieczora)... Wzięliśmy się na odwagę i poprosiliśmy Niemca, aby pozwolił dwóm pójść do wsi, może coś kupimy do jedzenia. Niemiec tak się nastraszył, że kazał nam paść na ziemię a sam stał ze swoim automatem. Wszyscy się pokładli odwróceniem tyłem do niego i nikt nic nie mówił. Po chwili odezwał się. Pozwalam dwóm pójść ale patrzę na zegarek, za jedną godzinę musicie być zpowrotem... Poszli ci, którzy najlepiej znali język niemiecki. Po pięćdziesięciu minutach wrócili. Obaj coś przynieśli, trochę kartofli, brukwi i marchwi. Kartofle upiekliśmy i dokonaliśmy podziału. Nam po dwa a Niemcowi trzy. Marchew i brukiew podzieliliśmy w ten sam sposób. Niemiec początkowo się bronił, ale myśmy byli uparci, więc brał, co mu dawaliśmy. Od tej pory puszczał nas do wsi codziennie o jednego człowieka więcej, aż w końcu został sam pilnować ognia a myśmy biegali po wsi i co komu wpadło w ręce to przynosiliśmy. Po powrocie zsypywaliśmy to wszystko razem i następował podział. Warunki zawsze były te same. Wyjście o 12 00 powrót o 13 00.. Przynosiliśmy wszystko co się udało zdobyć, nawet buraki cukrowe i ćwikłowe. Wszystko nadawało się do jedzenia...

Fragment 5

Codziennie idąc do stacji kolejowej, przechodziliśmy koło więzienia. Cóż więźniowie jak więźniowie, napatrzyłem się na nieludzkie traktowanie więźniów i na znęcanie się nad nimi. Takiego jednak widoku jak w ten dzień nie widziałem, dochodząc do więzienia, może jeszcze było 50 m do bramy, widzimy jak jeden z więźniów skacze z muru na chodnik. Biedny wybrał zły czas, gdyż padając na chodnik upadł prawie pod nogi przechodzącego tamtędy żołnierza w czarnym mundurze SS z napisem na rękawie „Herman Gering dywision”. Nasz strażnik zatrzymał nas i my mimo woli musieliśmy oglądać to straszliwe widowisko Więzień jeszcze nie zdążył się poruszyć jak ten młody bandyta strzelił mu dwa razy w plecy. Ponieważ było to na pochyłości krew, która wypłynęła z tego biedaka grubym strumieniem płynęła w naszą stronę, a ten oprawca stał dumny z pistoletem w ręce i patrzył jak więzień dogorywa... Szliśmy jak straceńcy... Przez cały czas było cicho jak byśmy byli w żałobie... (w tym samym dniu drugie zdarzenie) „Idąc z dworca do lasu szliśmy drogą przy, której z jednej strony była wieś a z drugiej łąka. W pewnym momencie zauważyliśmy, że obok drogi stoi grupa Hitler-jungów. Nie przeczuwaliśmy niczego... Gdy doszliśmy do nich zaczęli na nas płuc i wyzywać „Rusische schweine” / Ruska świnia/. Odkoczyliśmy od nich na łąkę i jakoś udało nam się uciec. Nasz strażnik nic nie mówił, ale widzieliśmy, że w nim wszystko kipiało. Myśmy nic nie mówili i on nic też... Byłem (jak wszyscy) żałamany... Nie mogłem się z tym pogodzić, że takie, hitlerowskie szczeniaki opluwały nas bezkarnie. Poniżali i to za nic. Pomyślałem sobie, trzeba się położyć spać, noc przyniesie ulgę... Na następny dzień zobaczyliśmy tę zgraję znowu... Ustawili się ci przyszli oprawcy i czekali, żeby się na nas wyżyć. Strażnik

kazał nam iść udawać, że się nic nie dzieje, ale sam wysunął się do przodu... Zatrzymał się przy nich a myśmy szli... Wysunął się ten sam Hitlerjugend, który opluł mnie dzień wcześniej i znowu plunął na mnie... Chciał chyba powiedzieć „ruska świnia”, ale nie zdążył. Nasz strażnik jakby nie ten sam co wczoraj podskoczył i uderzył z całej siły Hitlerjugenda w twarz. Poprawił mu jeszcze raz. Młody przyszedł oprawca zalał się krwią. Pozostali jak zobaczyli co się święci, uciekli. My poszliśmy do lasu do pracy. Wracając do lagru zobaczyliśmy, że w tym samym miejscu gdzie chłopak z Hitlerjugend dostał - stoi cała masa ludzi. Wyglądało na to, że cała wieś wyszła nam na spotkanie z policjantem na czele.. Nasz strażnik znowu zmienił się na twarzy. Doszliśmy do tej grupki około 10 metrów - zatrzymał nas. Wyszedł na czoło, podniósł automat do góry, wpuścił nabój do lufy i krzyknął: - Zrobić przejście!. Z grupy wyszedł policjant i jakiś starszy człowiek w mundurze Hitlerjugend, zaczęli się mierzyć wzrokiem. Wreszcie policjant zapytał: - Dlaczego uderzył Hitlerjunga? - Ja tych ludzi prowadzę, ja za nich odpowiadam. Nie pozwolę na takie czyny, na jakie pozwolili sobie ci młodzi!. Ten w mundurze Hitlerjunga, zapytał: A co Ruskich ci żal?. A skąd wiesz, że to Rosjanie? Kazał nam się odwrócić i zapytał znowu: - Czy tu widzisz SU u nich na plecach? co?. Więc kim są ci ludzie? - Idź do sztabu i zapytaj - padła odpowiedź! Powiedział na obchodne. Jeżeli jeszcze raz wyjdą i zechcą zrobić to samo będę strzelał. Odwrócił się do nas i powiedział - naprzód marsz! Ludzie szybko się rozeszli, a my musieliśmy biec, żeby nie spóźnić się na pociąg. Od tej pory żaden już do nas nie wychodził. Widzieliśmy ich, ale stali w odległości 100 metrów od drogi, która przechodziliśmy. Gdy przyszedliśmy do lagru spotkała nas przyjemna niespodzianka. Jakby sam Pan Bóg chciał nam dać trochę radości po tych strasznych dniach. Przed bramą czekały na nas nasze rodziny. Do mnie przyjechała siostra Helena. Było dużo radości po tym ciężkim dniu. Nasi strażnicy Fik i Drop postarali się o wpuszczenie naszych rodzin do lagru. Powiedzieli nam, że jest to nagroda za utrzymanie czystości w salach i dobrą pracę. Muszę zaznaczyć, że Fik i Drop byli dobrymi ludźmi. Dzięki nim mogliśmy czasem pójść do kina. Dwa razy na Wielkanoc byliśmy w kościele, a raz nawet zaprowadzili nas do restauracji.

Fragment 6

Jak przypominam sobie teraz, to od 1 maja 1945 r. coś zaczęło się dziać na terenie naszego obozu? Już komendant nie robił apeli, jak to miał w zwyczaju. Niemcy stali się jacyś inni. Nawet nasz Fik stał się mniej rozmowny. Chodził jakiś zamyślony. Jeszcze tydzień dwa wcześniej opowiadał nam jak był na froncie w Afryce, jak idąc całą kompanią a było to w dżungli, z drzew zeskoczyli na nich żołnierze murzyńscy i wszystkim popodcinali gardła. Ocalał on i jeszcze jeden żołnierz... Jak opowiadał, życie zawdzięcza temu, że miał anginę i na gardło położył kompres z waty zamoczonej w spirytusie... Nóż przeciął watę a ciało zostało nietknięte. Opowiadał jak był w okrażeńiu pod Stalingradem i jak mu się udało ująć z życiem... Był rozmowny ciągle miał coś do opowiadania, a tu nagle nic. Wieczorem tego dnia długo nie przychodził. Gdzieś przed 22 00 wpadł całkiem zmieniony. Popatrzył na nas i zaczął od słów; moje kochane dzieci, chociaż niektórzy z nas byli starsi od niego. Ja z wami bardzo się zżyłem. Dobrzy wy ludzie i wiele od was zaznałem dobrego, choćby te trzy pochwały za waszą pracę. Mnie już mieli wysłać na front wschodni, ale dzięki temu, że wy byliście zawsze w porządku a przypisywano to mnie, więc teraz chcę wam coś powiedzieć, ale proszę was niech nikt mnie nie sypnie w razie, czego. Jutro rano idźcie wszyscy po śniadanie, ale go nie jedzcie. Wszystko będzie zatrute. Trucizna ma zacząć działać po dwóch godzinach. Nam zrobiło się gorąco. Pytamy czy tamci nasi za ścianą wiedzą. Tak Drop też ich ostrzeże. Rano baraki obsadzone wojskiem. Barakami kazano iść po śniadanie... Poszedł nasz barak wzięliśmy wszystko, co nam podali, popatrzyliśmy jeden na drugiego i wyszliśmy ze stołówki. Żaden z nas nie tknął jedzenia... Czekaliśmy co się stanie, czy gdzieś nie nastąpi krzyk.. Wreszcie zagnali nas na apel. Ustawiono nas jak zwykle w czworobok... Ci, którzy

nie wiedzieli o niczym stali spokojnie, ale dla nas to każda minuta była wiecznością. Zdawało nam się, że jak nas nie wytruli to nas rozstrzelają... Oficerowie biegali to do sztabu to do nas. Zauważyliśmy u wszystkich Niemców potrójny zapas amunicji...Komendant popatrzył po wszystkich i coś szeptał z oficerami. Nagle wyszedł z tłumaczem na środek czworoboku i tłumacz zaczął mówić do nas od siebie: A teraz tak, słuchajcie co ja wam powiem - od tej chwili jesteście wolni. Możecie udać się gdzie, kto chce, ale uprzedzam was i proszę. Jak wyjdziecie poza lagier zachowujcie spokój. Nie próbujcie grabić. Każde takie zjawisko będzie karane śmiercią. Chwila zaskoczenia. Nastąpiła cisza. Nie wiem co kto pomyślał, ale ja w duchu cieszyłem się bardzo. Nareszcie skończył się czas udręki, upodlenia, opluwania i bicia... wszy pchły, pluskwy... zupy z robakami... Nadejdzie dzień zapłaty za zbrodnie popełnione na niewinnych ludziach. Myślami byłem przy rodzinie. W duchu dziękowałem Bogu, że pomógł mi przetrwać...

Poszliśmy na dworzec kolejowy a tam straszliwy ruch. Niemcy wiedzieli, że Amerykanie zajmują tereny do Łaby a od strony Czeskiej Lipy będą Rosjanie. Masowo uciekali za Łabę... Część naszych towarzyszy niedoli, która była samotna powskakiwała na stopnie wagonów i odjechała za Łabę. Reszta, która rodziny miała w Jeleniej Górze, łącznie ze mną poszła szukać pociągu, którym mogliby wrócić do swoich rodzin do Jeleniej Góry. Na dyżurce zastaliśmy dziadka, który na pytanie czy będzie pociąg do Jeleniej Góry odparł, że nie wie, ale zaraz odjeżdża do Liberca towarowy. Nie namyślając się długo upewniliśmy się że faktycznie pociąg odjeżdża do Liberca , wsiedliśmy na węgiel, którym był załadowany wagon a pociąg powoli ruszył... Zacząłem snuć plany... Pomyślałem sobie, że ktoś weźmie się za odbudowę uzdrowiska Słone Błota, będzie praca i życie... W Liberku dowiedzieliśmy się, że jest tu jeden maszynista z Tanwaldu i on chce się tam dostać. Więc bierze lokomotywę i dwa wagony i zaraz odjeżdża... Udało nam się wsiąść do tego pociągu. Wiedzieliśmy, że jak dojedziemy do Tanwaldu to do Jeleniej Góry już nie daleko, około 50 km. Do Tanwaldu dostaliśmy się bez przeszkód... Koło dworca zobaczyłem widok, jakiego się nie spodziewałem. Z czteropiętrowych budynków flagi czeskie, polskie i radzieckie sięgają aż do ziemi. Na chodnikach stała międzynarodowa partyzantka, wszyscy poubierani byli w jednakowe mundury... Były to kombinezony lotnicze, bardzo dużo było Polaków i Czechów... W pewnym momencie usłyszałem-Edek - poznałem jednego Polaka, który pracował na mojej zmianie przy Celwiskozie. Mówi mi, że tu za górą na stacji Poluby jest moja rodzina i Stefana Szymoniuka. Poprosiłem kolegów, którzy musieli przejść przez górę, żeby dostać się do Jeleniej Góry, gdyż ich rodziny tam zostały... żeby powiedzieli, że za cztery godziny my wyruszymy przez górę i niech tam na nas czekają. Po czterech godzinach wyruszyliśmy ze Stefanem szliśmy ponad dwie godziny. Przeszliśmy przez miasto a z miasta już nie szliśmy droga tylko na przełaj przez las... Gdy weszliśmy na górę ujrzelśmy piękny widok stacji Poluby. Gdyśmy się dobrze rozejrzeli zobaczyliśmy nasze rodziny oczekujące nas. Już nie szliśmy a prawie lecieliśmy z tej góry. Wreszcie połączyliśmy się. Radości było co niemiara. Rodziny zajęły wagon, którym miała jechać do Polski. - Jednak ruszył i dojechał tylko do Tanwaldu, gdzie musieli go opuścić) -Zajęli polski wagon i czekali na rozwój wydarzeń. Tymczasem jak pisze autor wojsko niemieckie uciekało na Zachód do Amerykanów to znów zaczęli wracać na Wschód, gdyż podobno Ruscy odcięli im drogę, na następny dzień znowu idą na Zachód...) Autor opisuje takie zdarzenie: Generał niemiecki z walizka w ręce wchodzi do pustego wagonu. Tam się przebiera, ale pas i pistolet przypiął pod cywilną marynarkę. Stał mały chłopak czeski i uśmiechał się do mnie. Po chwili generał już jako cywil wyszedł z wagonu. Chłopak podszedł za nim i jak doszedł do miejsca gdzie stał jakiś partyzant, podbiegł do generała i scyzorykiem odciął mu kaburę z pistoletem i oddał partyzantowi. Widziałem wzrok tego generała. Widać w nim było, że nie o pistolet mu chodzi, ale o sposób,

w jaki mu został odebrany i przez kogo. Nic nie powiedział. Wyszedł na drogę i poszedł w kierunku wschodnim. W dniu tym byłem świadkiem jeszcze jednego wydarzenia. Na dworcu było dużo rosyjskiego wojska utworzono nawet komendanturę na stacji. Obok stacji stało kilka samochodów ciężarowych. Na skrzynię ładunkową jednego z nich wszedł żołnierz w czarnym mundurze SS. Wokół było dużo wojska rosyjskiego. On stał na skrzyni i po rosyjsku powiedział: Ja Łotysz, strzelajcie do mnie bohaterowie - ja waszych wystrzelałem tyle, że można liczyć na setki... No strzelajcie. Obstąpili go i naśmiewali się z niego. Wyciągnął litr wódki, zakręcił butelka i duszkiem ją wypił... Po paru minutach padł i zasnął. Spał do drugiego dnia. Jak się obudził, popatrzył, że jest tyle wojska, wyciągnął pistolet i strzelił sobie pod brodę. Przez jakiś czas rodzina ze względu na chorobę siostry zajmowała wagon i choć kilkakrotnie Czesi próbowali go zarekwirować zawsze jakoś udało się im wytłumaczyć skutecznie, że to wagon polski i chcemy nim do Polski pojechać... gdy ruszyli do Polski pojechali nie do Jeleniej Góry ale przez Żelazny Most i Brody obok Pragi do granicy polsko-czeskiej w Dziedzicach.... Na granicy nasi przyjaciele - żołnierze radzieccy, przetrzepali nas dokładnie i pod pozorem szukania broni zabrali kobietom bieliznę osobistą. W Katowicach na dworcu ojciec poszedł zapytać dyżurnego jak dojechać na Wołyń.- Dyżurny się uśmiechnął i kazał się o to zapytać ludzi, którzy koczowali na peronie. Ojciec nie namyślając się poszedł na koniec peronu, gdzie postawione były jakby namioty. A w nich pełno dzieci, kobiet a nawet psów i kotów poprzywiązywanych do słupków. Na zadane pytanie -jak dojechać na Wołyń zaczęli się śmiać - mówią: - My z Wołynia jedziemy. Nasze ziemie zabrali Sowietci nam dają gdzieś na Zachodzie, ale gdzie to jest, to my nie wiemy... Należy iść do PURU (Państwowego Urzędu Repatriacyjnego) - oni wszystkim kierują.

Komentarz

Pewnego dnia przyjechał jeden z naszych towarzyszy niedoli Gaweł i mówi Znalazłem puste gospodarstwa. Ziemia bardzo dobra, są nawet świny i krowy i różne maszyny rolnicze - kto by reflektował to proszę podać dane a ja wszystko załatwię... wagonem dojechalismy do Nysy a z Nysy furmankami do gminy Kałków. Rodzina osiedliła się we wsi Piotrowice Nyskie a nasi znajomi Szumscy w Jasienicy Górnej. Tuż przy samej granicy polsko-czechosłowackiej. Gaweł osiedlił się w Jasienicy Górnej. Do Szumskich (już po osiedleniu się rodziny) przyjechała ich córka na imię miała Feliksa. W 1947 roku ożeniłem się z nią Po ślubie zamieszkaliśmy u jej rodziców, a to dlatego, że moja siostra Helena wyszła za męża za brata mojej żony i zamieszkali u moich rodziców. W 1950 roku umiera nam ojciec. Tyle przeżył, napady banderowskie, tułaczkę po obozach, tyle męki i kiedy wydawało się, że teraz mogłoby spokojnie pożyć, umiera. Niestety te wszystkie przeżycia spowodowały, że serce nie wytrzymało. Umarł w drugi dzień Wielkanocy... mając 64 lata... Siostra wyprowadziła się do miasta Paczkowa odległego o 4 km, a ja wróciłem do Piotrowic i podjąłem pracę na poczcie w Kałkowie. (w latach 50-tych po wsiach zaczęli organizować kołchozy autor nie widząc siebie na wsi wyprowadził się do Cieplic... Odzie pracował w MPK (Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne). Po 17 latach pracy w MPK... Zwolnił się i wyjechał do Lubina, gdzie podjął pracę w Przedsiębiorstwie Kopalń Rud Miedzi jako kierowca... Potem dostał samochód przystosowany do przewozu materiałów wybuchowych... Ukończył technikum Samochodowe w Legnicy. Obecnie jest mieszkańcem Lubina. Nigdy nie zapomniał o Hucie Stepańskiej - śniła mu się co noc. W końcu pojechał tam w lipcu 1972, a potem jeszcze kilkanaście razy. W książce opisuje swój pierwszy wyjazd. Píše o rozproszonych po całej Polsce a nawet po całym świecie sąsiadach i kolegach. Praca pana Kwiatkowskiego zawiera też ponad 150 fotografii i spis wszystkich mieszkańców Huty Stepańskiej. Jeszcze raz pragnę podkreślić, że przedstawiając pracę pana Edwarda Kwiatkowskiego najbardziej zależało mi na ukazaniu pierwszej jego części - to jest likwidacji tych 17 polskich wsi na Wołyniu. Jak to wyglądało. Jaka była skala zbrodni. Jak ten mechanizm

działał. A że przygody pana Edwarda po opuszczeniu Huty Stepańskiej są fascynujące, to można się przekonać z tych kilku fragmentów, które wyjąłem z książki. Tych zdarzeń jest oczywiście znacznie więcej i są równie interesujące jak te, które przedstawiłem w naszych Zeszytach. Ukazują bestialstwo, upodlenie i niemoc człowieczą bezwzględność oraz brak rozróżnienia dobra od zła. Autor zauważa też ludzkie odruchy ludzi różnych narodowości i także o nich mówi, bez względu na to czy dotyczą one Niemców, Polaków czy Ukraińców. To wszystko, co autor opisał, przeżył i widział na własne oczy.

Po wojnie pan Kwiatkowski był na Wołyniu kilkanaście razy. Dla upamiętnienia żyjących tam Polaków w wielu miejscowościach Wołynia postawiono krzyże, pomniki, ogrodzono stare cmentarze i wmurowano tablice informacyjne. M.inn w Kazimierce, Janowej Dolinie, Stepaniu, Chołoniewiczach. Działalność w ramach „Społecznego Komitetu Upamiętnienia Cmentarzy” przyniosła efekty i spotkała się z życzliwością Ukraińców a także księży prawosławnych uczestniczących w poświęceniach pomników i krzyży w miejscach istniejących niegdyś kościołów, cmentarzy i polskich wsi.



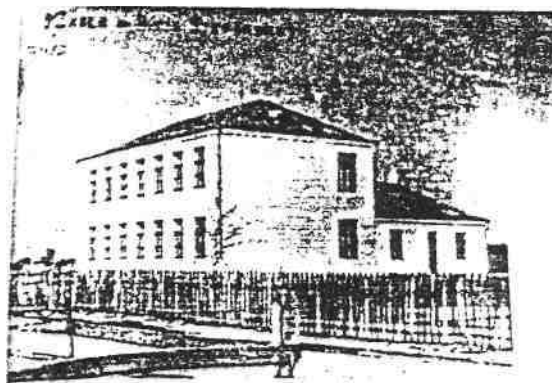
Edward Kwiatkowski
autor książki
"Życiorys Wołyniaka"



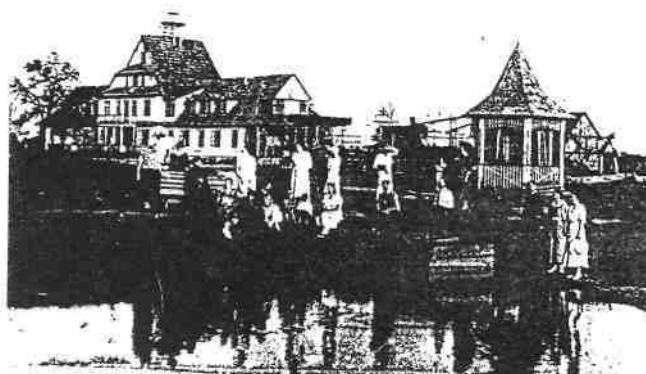
ks. Bronisław Rzepecki



Wołyń - okolice Huty Stepańskiej



Szkoła podstawowa



Widok na Zakład Kąpielowy i budkę gdzie pito wodę leczniczą.



Krzyż postawiony w miejscu gdzie
do 1943 r. stał w Hucie kościół



Krzyż w Chłoniewiczach na cmentarzu



Obelisk w Janowej Dolinie postawiony ku czci
pomordowanych Polaków przez bandę UPA



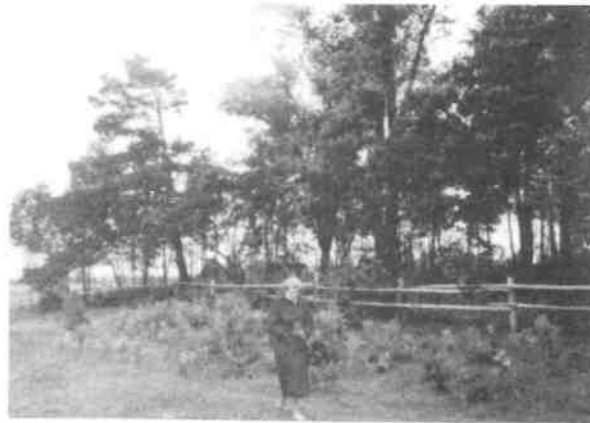
Krzyż na miejscu kościoła w Kazimierze



Ściana na cmentarzu w Łucku z wmurowanymi tablicami, na których są umieszczone nazwy polskich miejscowości, które zostały spalone przez bandy UPA. Na tle tablic Irena Kostecka, Prezes Kultury Polskiej na Wołyniu



Tu przed wojną wydobywano bazalt w Janowej Dolinie



Cmentarz na Wyrce, stoi Helena Janicka



Tablica przy pomniku na cmentarzu w Chołoniewiczach

Spotkanie z panem Kazimierzem Dziubą

Pan Kazimierz odwiedził mnie w lecie 2006 r. To syn Józefa Dziuby, który na Łukowcu pełnił funkcję sekretarza, za czasów gdy weszli Rosjanie. Miał duży autorytet wśród mieszkańców Łukowca. Po wejściu Niemców współpracował z AK, której był członkiem. Po wojnie Rosjanie uwięzili go i wywieźli najpierw do Rohatyna a później do Stanisławowa i dalej na Sybir. Jak mówi pan Kazimierz - ojciec Polski nie zobaczył - zmarł w Karagandzie w 1956 roku. Był już wolnym człowiekiem - po odsiedzeniu otrzymanej kary w sowieckich łagrach. Starał się o przyjazd do kraju, ale to się przeciągało. Wymagania, dokumenty, to trwało jakiś czas. Przygotowywaliśmy te wszystkie procedury związane z przyjazdem. Jednak śmierć dopadła go wcześniej. Był przecież, wycieńczony i osłabiony. Kiedy w 1939 r. ojciec złożył władzy radzieckiej oświadczenie, że na wsi nie ma żadnego oficera, omal go nie dopadli. Wspomina o tym Edward. Polak w swojej książce. Ojciec był dość sprytnym człowiekiem. Umiał z Ruskimi gadać. Często ratował- ludzi dając im różne lewe dokumenty. Poświadczając, że rodzina ma np. gospodarkę i nie powinien chłopak iść do wojska czy na roboty. Były i do niego jakieś pretensje, gdy wyznaczał ludzi do pracy czy na jakieś akcje, ale tego nie dało się uniknąć. W Armii Krajowej miał pseudonim „Józek”. Polak po powrocie z Syberii wystąpił o odznaczenie go pośmiertnie krzyżem Virtuti Militarii. Cztery lata temu Ukraina przysłała mi pismo rehabilitujące ojca. Pan Kazimierz Dziuba urodził się w 1936 roku i coś niecoś z Łukowcu pamięta. Mówił mi np. „że faktycznie dyscyplina w AK i Samoobronie była. Gdy mu powiedziałem, że ostatnio słyszałem, że raz np. za opuszczanie warty dostał ileś tam batów człowiek o takim to a takim nazwisku. Stwierdził, że był świadkiem pobicia za uchylanie się od wartowania Stacha Dziuby (chyba swojego kuzyna). Partyzanci przyszli w kilku i od razu oświadczyli, że za uchylanie się od wartowania dostaje 25 batów. Żona rzuciła się na nich, a dowódca ich od razu powiedział: „Żona dostaje 10 batów za zaatakowanie partyzanta!” Powstało zamieszanie, okazało się, że kobieta jest w ciąży, która nie była jeszcze zbyt widoczna. Partyzanci zgodzili się, na prośbę Ludwika Kantora, żeby on te baty dostał zamiast żony Stanisława Dziuby. Potem odeszli. Gdy partyzanci wyszli zaczęli ludzie pytać ojca, czy w ogóle to jest w porządku - takie kary. Ojciec wyjaśnił, że sytuacja jest groźna i że niestety popiera te metody. Rodzina pana Kazimierza osiedliła się w powiecie Nowogard razem z dwudziestoma paroma rodzinami z Łukowca. Część transportu odłączono w Opolu a część zawędrowała na Pomorze - do byłego powiatu Nowogard. Ludzie po parę rodzin osiedlali się we wsiach Olchowo, Długołęka, Godowo, Kościuszki, Wojtaszyce. W sumie było ponad 20 rodzin, a z małymi dziećmi ponad setka ludzi. Pan Kazimierz mówi, że do nazwisk nie ma pamięci ale były wśród Łukowian rodziny; Patrów, Kantorów, Babiaków, Miszczaków, Lepianków, Przepiórków i innych. Wspominał też rodzinę Kogutów. Rodzina ta pochodziła z Czachorowa. Jakiś czas mieszkali na Łukowcu i osiedlili się w Długołęce. Honorata Kogut była tam pierwszą osobą prowadzącą lekcje szkolne dla polskich dzieci. Z rodziny tej większość osób wykształciła się zaraz po wojnie. Pan Dziuba wspominał łukowianina pana Kazimierza Szpyta. On przed wojną robił olej, produkował kaszę przy pomocy urządzenia zwanego stępą do obijania ziarna. Poza tym był i kowalem. Ojciec, jak mówi Pan Kazimierz, dorabiał trochę jako introligator. W rodzinie także Staszek Dziuba wyrabiał z alabastru ptaki. Pewne zdarzenie, które opowiedział mi pan Dziuba szczególnie mnie zainteresowało. Mówił, że raz Niemcy w 1944 roku ze wspólnego

pastwiska koło młyna zgarnęli 40 krów. Była to dla ludzi klęska, ale najgorszą sytuację miała rodzina Miszczaków, którym zabrali Niemcy wszystkie krowy - chyba 3 sztuki. Nasze krowy były też na tym pastwisku, ale poszły w las i ich Niemcy nie zauważyli i wszystkie krowy nasze zostały. Do ojca przyszli ludzie na radę i mówią: Trzeba Miszczaków ratować bo poumierają z głodu. To duża rodzina z małymi dziećmi, chociaż jedną krowę muszą mieć. Ojciec bez wáhania zgodził się na oddanie im jednej naszej krowy. Było coś też powiedziane, że jak będą mogli kiedyś się za tą krowę odwdziéczyć, to będzie dobrze - Pan wie, że ta rodzina była tak honorowa, że wypłaciła się nam za tą krowę. Dziś już nie pamiętam, ale jeszcze na Łukowcu chyba z nami się częściowo rozliczyła. Choć głowy bym nie dał, że i po wojnie jeszcze coś tam za tę krowę mamie dopłacili - tacy to byli honorowi ludzie - mówił pan Kazimierz. W tym najgorszym okresie głodu miał pan Kazimierz spółkę z Kazikiem Kozłem. On wylaził na drzewa wyciągał pisklęta wron z gniazd i je przyrządzaliśmy wyrzucając flaki i piekąc w ogniu. Ja jako mniejszy mogłem wychodzić tylko na niższe drzewa. Do środka w te ptaki wkładało się glinę a gdy się upiekły to się ją usuwało i zjadało ptaka. Nieraz Kazik Kozioł wchodził na drzewa i po chwili schodził mówiąc: „Pisklali małe - za tydzień po nie przyjdziemy jak podrosną!“. Pan Kazimierz powiedział jeszcze, że raz gdy rozbił głowę dość mocno zaprowadzono go do sanitariuszki, która mu ją zajodynowała i obandarzowała -Tą sanitariuszką panie Franciszku była pańska mama.

List od pana Kazimierza Ożgi

Ten list przedstawiam w dalszej części Zeszytów. Pan Kazimierza Ożga mówi, że od momentu gdy otrzymał Zeszyty Łukowieckie jego życie bardzo się zmieniło. Poznał wielu ludzi m.in. pana Tadeusza Tomkiewicza, szefa dobrze zorganizowanego Koła Bukaczowian i redaktora Biuletynu bukaczowieckiego oraz ludzi ze swoich rodzinnych stron. Był na Kresach z wycieczką i ma pełnągłowę wrażeń i przeżyć. Świetna atmosfera wśród Kresowian także napawa go radością i dumą. Dowiedział się, że żelazny krzyż na cmentarzu w Karo-lówce, gdzie leżą również jego krewni postawili, (zafundowali) właśnie bukaczowianie. Oni tworzą pewną elitę. Koło powstało na bazie ludzi urodzonych w miasteczku Bukaczowce lub pochodzących z okolic tego miasta. Panuje w nim rodzinna atmosfera. Z tego co się orietuję - do koła należą też łukowianie i potomkowie kresowian z okolicznych miejscowości.

Spotkanie z panią Władysławą Łuczyńską

Pani Władysława Łuczyńska, z domu Żak, pochodzi z Dąbrowy - wsi oddalanej o około 18 km od Łukowca. W 1943 roku ze względu na napady Ukraińców na Polaków rodzina przeniosła się na Łukowiec Żurowski - w sumie 6 osób (rodzice, trzech bracia i pani Łuczyńska, która miała wtedy 9 lat). Na Łukowcu mieszkali u krewnych Skrybantów od 1943 r. do końca. tzn. do wyjazdu na Ziemię Zachodnie, Z rodziny Skrybantów pochodziła mama pani Łuczyńskiej. Po jakimś czasie zamieszkał jeszcze u Skrybantów pan Kowalski. On także uciekł z Dąbrowy, (był ożeniony z Ukrainką) dzieci nie mieli. Gdy Ukraińcy zaczęli zabijać Polaków, uciekł też na Łukowiec do Skrybantów, bo jak mówi pani Łuczyńska tylko Skrybantów na Łukowcu znał. U nich zamieszkał i razem z tą rodziną oraz rodziną Żaków wyjechał na Zachód. Pani Łuczyńska, mówi, że wyjechali ostatnim już transportem, ale nie wie ile wszystkich transportów razem było. Przez jakiś czas mieszkali też z Ukraińcami przesiedlonymi z rzeszowskiego. Ich pociąg dotarł do Węglińca. Po drodze na Górnym Śląsku wysiadła mama, gdyż była chora i lekarz nie radził jej dalszej podróży. Pan Skrybant (wójeek pani Łuczyńskiej) był na Łukowcu organistą. Jego córka to pani Skrybant -Dzie-

wiątkowska - piosenkarka. Pani Łuczyńska chodziła cały 1945 rok do szkoły na Łukowcu. Wychowawcą klasy był mój ojciec. Pokazała mi świadectwo przygotowane odręcznie przez tatę i podpisane przez niego oraz kierownictwo szkoły w osobach pana Zawislaka i pana Czyżowicza. Pani Łuczyńska skończyła studia ekonomiczne. Pracowała w Urzędzie miasta Lubina i tu, kiedyś rozpoznała mojego tatę, gdy prowadził sejsę Miejskiej Rady Narodowej. Przez jakiś czas była też kierowniczką Urzędu Skarbowego w Lubinie. Z ciekawszych informacji, które mi przekazała to twierdzenie, że na Łukowcu było bardzo dużo uciekinierów średnio w jednym domu, jak jej się wydaje to było ze trzy rodziny. Gdy zapytałem o głodny rok z 1942 na 1943. Odparła, że w Dąbrowie takiego głodnego roku nie było. Zapytała mnie też, czy wiem, kim byli nazywani przez Ukraińców „Mazury” - odpowiedziałem, że wiem: - To Polacy osiedleńcy. Pani Władysława Łuczyńska jest zainteresowana nie tylko Łukowcem ale także organizacjami niepodległościowymi zakładanymi na Ziemiach Zachodnich przez łukowian i ludzi mieszkających w okresie wojny na Łukowcu.

Rozmowa z panem Józefem Mokrzyckim oraz paniami: Janiną Plichtą i Genowefą Pudlak

Pan Mokrzycki mieszkaniec Wykrotów koło Bolesławca poinformował mnie, że pamięta wywóz do Niemiec w 1942 roku ludzi do pracy. Niemcy zarządzili kontyngent 20 ludzi i tych 20 osób wyjechało do Niemiec na teren dzisiejszego Pomorza i Niemiec. Polacy wytypowali ludzi w sposób przyzwoity, wspomina pan Mokrzycki, uzgadniając z rodzinami by wyznaczyły po jednej osobie. Pamięta pan Mokrzycki, że jego rodzina zdecydowała się wysłać siostrę, ale ta

rozpatrzała tak strasznie, że w końcu brat powiedział, że za nią pojedzie i wyjechał. Dziś pan Mokrzycki nie pamięta tej listy, twierdzi jednak, że była tam na pewno jedna osoba z rodziny Wołowców, jedna z rodziny Godyniów i jedna z rodziny Stępińów. Wspomniał także o rabunku krów w maju lub czerwcu 1944 roku. Niemcy chodzili po domach i zabierali ludziom krowy byli ubrani w jasno - niebieskie mundury i brali po jednej krowie, gdy ktoś miał ich kilka - potrafili wszystkie zostawić, a gdy ktoś miał dwie czy trzy, to jedną zabierali. Wspomina, że jego rodzinie zabrali Niemcy konia. Podobnie Rosjanie, już dwa dni po wejściu na Łukowiec zaczęli rabunek. Drugiego konia zrabowali im właśnie Rosjanie. I jak mówi pan Mokrzycki, potrafili jednemu gospodarzowi konia zabrać, a dwa domy dalej próbowali go sprzedać innemu gospodarzowi za gorzałę czy pieniądze. Pan Mokrzycki uważa, że wyjechał z Łukowca albo ostatnim albo jednym z ostatnich transportów. Twierdzi, że dojechali do Węglińca, potem pod Zgorzelec, ale i tam ludzie nie chcieli za bardzo wysiadać, więc tak od stacji do stacji wysiadało po kilka rodzin to tu, to tam. W końcu tych, którym za bardzo nie podobało się nigdzie, spacyfikowano i wywieziono samochodami. Pan Mokrzycki twierdzi, że wagonów - lor było sześćdziesiąt i w każdym było po 2-3 rodziny. Twierdzi też, że oprócz łukowian, byli tam i Polacy z innych miejscowości.

Pani Plichta z domu Turbak mówi: Nie pamiętam już dzisiaj kogo wywieźli z Łukowca po prostu zawodzi mnie pamięć. Wydaje mi się że wśród wywiezionych był Kotulski Antoni i Bronisław Pudlak. Ja trafiłam na Pomorze do domu Polaków- Kaszubów. Wieś nazywała się Trosztkownica i leży koło Kołpina w pobliżu Gdyni. Moi gospodarze mieli czworo dzieci i te dzieci bardzo się do mnie przywiązały. Ciągłe za mną chodziły jakbym była ich matką. Mój gospodarz był przyzwoitym człowiekiem i Polakiem. Byłam tam blisko 4 lata. Pod koniec wojny gdy wkroczyli Rosjanie gospodarzowi zmarła żona, chyba na tyfus, dosłownie z dnia na dzień. Choć miałam sympatię też Kaszyba - jednak po wojnie dłuższy czas nie dawał on znaku życia. Los się tak potoczył, że wyszłam za mąż za mojego gospodarza. Dziś z perspektywy lat, nie żałuję tego, gdyż był to bardzo dobry człowiek i Polak. Zmarł w wieku 92 lat. Jego dzieci miały imiona: Jadzia, Danuta, Tadeusz, Hubert. Ja miałam z nim jeszcze

dwójkę dzieci: Irenę i Wacława. Nasze dzieci są tu na Dolnym Śląsku m. inn. w Lubinie, Brunowie, Bolesławcu, Chocianowie. Na moje pytanie jak dotrzeć do tej listy mówi: Może Pudlakowa coś będzie wiedziała ona jest młodsza - pytam gdzie mieszka - mówi przedostatni dom w Brunowie. Jadę, otwiera mi drzwi uśmiechnięta starsza pani i gdy dowiaduje się kim jestem zaprasza mnie szerokim gestem.- Czytam te pana „Zeszyty” mówi i wracam tam na Łuko wiec: Oj gdyby nie Piorun, Polak i ta Samoobrona pewnie by nas tu nie było. Przechodzę do konkretów. Czy wie - kto jeszcze był wywieziony do Niemiec z jej mężem - odpowiada - tak, ale nie znam wszystkich nazwisk.

Bo to wie pan ludzie z transportów uciekali. Raz z Tomaszowic wywożono dużą grupę ludzi, większość uciekła Niemcom. To oni we Lwowie łapali jak szło, żeby mieć potrzebny stan. Potrafili zabierać kobiety a wózki z dziećmi zostawiać na ulicy. Pani Genowefa Pudlak nie omieszkała mi też powiedzieć, że pochodzi z rodziny Marutów. Z czego wynika pewne powinowactwo z rodziną Burdzych. Rozmawiamy chwilę o wspólnych krewnych Marutach zamieszkających na Wyspie Księcia Edwarda (najmniejsza prowincja Kanady). Ta rodzina mówi raz się u nas pokazała. Pani Genowefa potwierdza, że i u nich też byli. Na tej wyspie gdzie mieszkają rozgrywa się akcja słynnej książki: „Ania z Zielonego Wzgórza”. Pani Genowega mówi: Mój mąż wylądował w Bawarii. W tej wsi wylądował jeszcze Stępień Józek z Łukowca. Mąż miał skończone 14 lat. Pracował ciężko. Ale nie był traktowany bardzo źle. Jadł z Niemcami. Potrafili na śniadanie jeść ziemniaki w mundurkach i pić czarną kawę lub jeść chleb z melasą. Gospodarz był wymagający, za to gospodyni miała więcej serca do niego. Czasem nawet go broniła, gdy gospodarz miał jakieś tam pretensje. Opiekował się bydłem i pracował w polu. Wymienia nazwiska (niestety bez imion) osób wywiezionych z Łukowca: Sroga, Kachel, dwie osoby z rodziny Polaków. Pan wie, po prostu wieś była duża i wiedziało się, że ci mieszkający w pobliżu wyjeżdżają a o tych z drugiego końca wsi - nic już się nie wiedziało. Jeszcze jedna dygresja; ani pani Plichta ani rodzina Pudlaków nie otrzymały żadnych odszkodowań za wywózkę i przymusową pracę.



Bronisław Pudlak z synem

Rozmowa z panem Stanisławem Kaflowskim

Zadzwoił do mnie pan Stanisław Kaflowski z Trzcianki i jak to się mówi, uciął dłuższą rozmowę Wspominał Korczunek. Ma jeszcze pragnienie pojechania i odwiedzenia rodzinnych stron: Sokołowa, Łukowca, Korczunku, Żurawna. Twierdzi, że historię teraz się przeinacza. Zapytał, czy może „Zeszyty” wypożyczyć, w celu wykorzystania ich przez ludzi piszących prawdę o okresie II Wojny światowej. Pan Kaflowski nie bardzo wierzy, że Polacy krzywdzili Ukraińców, Żydów i Niemców, dając mi do zrozumienia, że z ofiar wojny, Polacy powoli stają się narodem prześladowców. Na końcu dodał, że tylu mamy reżyserów i wspaniałych filmowców i nikt nie potrafi z nami - świadkami i uczestnikami tych makabrycznych przeżyć - porozmawiać, zapisać, zapytać o tamten okres, dopóki jeszcze żyją ludzie, pamiętający tamte wydarzenia. Dla niego rozważania i dywagacje na temat wojny, to często bzdury wysane z głów ludzi, którzy chcą rozmydlić odpowiedzialność i faktami bez znaczenia ją zamazać. Pan Kaflowski poruszył jeszcze jeden problem, który ja komentuję pomimo, że problem może być bardziej złożony niż mi się wydaje. Pisze on, że na początku XX wieku nie było żadnych Ukraińców. Byli Rusini - praktycznie przyjaźnie nastawieni do Polaków. Namieszali im w głowach (nacionaliści) i stworzono z nich Ukraińców. Niewątpliwie jest w tym rozumowaniu sporo racji. Nawet w okresie międzywojennym Polacy nie nadążali za zmianami świadomościowymi, gdyż uczyli języka ruskiego, a nie ukraińskiego. A był to przecież taki sam język. Część ludzi także nie uważała się za Ukraińców lecz za Rusinów. Polacy dzielili ludność na Rusinów i Ukraińców, aby osłabić ukraiński nacjonalizm, który był antypolski, w przeciwieństwie do bardziej przyjaznego stosunku Rusinów do Polaków. Na Kresach tak to wielu ludzi odczuwało. Moje zdanie jest takie, że chociaż to, co mówi pan Kaflowski jest prawdą, to o tym kim się człowiek czuje, on sam musi zdecydować. Skoro Rusini poczuli się Ukraińcami i tak siebie nazywają, to my to musimy zaakceptować czy chcemy, czy nie. W mojej rodzinie był taki przypadek w Australii. Kuzynka tam mieszkająca ożeniła się z Rusinem. Zresztą znanym i bardzo dobrym adwokatem w Sydney. Ciocia tego się wstydziła. Do Polski nie przyjeżdżała, gdyż jak się jej wydawało to wstyd, żeby córka jej wyszła za człowieka z narodu, który tyle cierpień przyspożył Polakom. Gdy przyjechała do Polski. Dowiedziała się, że jedna z córek jej siostry we Wrocławiu wyszła za Ukraińca, druga na Pomorzu za Białorusinkę, jeszcze jakiś kuzyn za autochtonkę i że to nie ma większego znaczenia dla rodziny. Jak mówiła, kamień spadł jej z serca. Mówiła też o swoich swatach: Ludzie ci uważają się nie za Ukraińców lecz za Rusinów. Już na pierwszym spotkaniu powiedzieli, że zawsze trzymali się Polaków i zawsze na tym dobrze wychodzili. Nic, nie mają przeciwko temu, żeby ich syn, znany i bogaty adwokat z Sydney ożenił się z Polką pracującą w jego sekretariacie. „Nazwisko tego Rusina w Polsce jest dość popularne kończące się na „icz”. Zmienił je jednak na typowo angielskie ze względu na swój zawód. Do Polaków ma bardzo dobry stosunek. Nigdy ich nie kasuje za wysoko, a jak widzi, że nie ma rodaka grosza to jak mi to powiedział kuzyn odwiedzający Australię często, potrafi rodakowi postawić obiad, wypić z nim i za darmo sprawę załatwić. Dodał jeszcze, że brytyjczyków kasuje równo. Jest także działaczem polonijnej organizacji. A więc czuje się Polakiem choć z pochodzenia jest Rusinem. Pan Kaflowski powiedział mi też, że i w jego rodzinie mieli Ukraińca polskiego pochodzenia. Był chrzczony w kościele greckokatolickim i z tego względu raczej uważał się bardziej za Ukraińca niż Polaka, choć ojca miał Polaka a matkę Ukrainkę i pochodził z Podlasia.

Telefon z Chicago od pani Władysławy Fujary z domu Oźga

Zadzwoiła do mnie pani Władysława Fujara z Chicago. Jej dziadek Jan Oźga pochodził z Łukowca. Mieszkał na Bakocynie. Pani Władysława poruszyła kilka kwestii. Stwierdziła, że jej dziadek przechowywał wielu Żydów i w domu, i poza domem, oraz, że podana liczba uratowanych Żydów jest jej zdaniem zaniżona. Pani Władysława twierdzi też, że przed samym wejściem Rosjan, Ukraińcy zabili przechowywanych przez dziadka poza domem dwóch Żydów. Dziadka zabrali, gdyż domyślali się, że ich żywi. Gdy ich zastrzelili kazali dziadkowi wykopać groby i ich zakopać. Wrócił nad ranem po wielu godzinach. Rodzina myślała, że go zabili. Na szczęście, tylko grozili mu śmiercią w przypadku pomocy Żydom. Nie byli pewni czy im pomagał. Dwaj Żydzi o nazwiskach Fuks i Ebert wtedy im uciekli. Dziadek przechowywał i pomagał wielu Żydom. Robił to dyskretnie i nawet rodzina (jego siostra) nie wiedziała, że ich chował. Uratowała się m.inn. Bronia Ebert i 2 osoby z rodziny Schechterów także Żyd o nazwisku Fuks i inni. Dziadek mieszkał po wojnie w Łazanach. Wielu Żydów odwiedzało go w latach 50 - tych. Szczególnie w okresie świąt. Pani Władysława mówi, że któregoś święta przyjechało do niego aż 15 osób narodowości żydowskiej z Jawora i Wrocławia. Pani Władysława mieszkała w Mieczkowie. W Łazach z Łukowca mieszkało tam kilka rodzin m.inn.: Wolaki, Oźgi, Chrzastki i Jasińscy. Pani Władysława wspomina też pana Edwarda Polaka, z którym miała kontakt pracując w banku w Imbromowicach a także później w urzędzie gminnym. Mówi, że w USA Żydzi na ogół źle są nastawieni do Polaków. Uważają że Polacy pomagali Niemcom w ich eksterminacji. A ci Żydzi z Polski, którzy znają inną prawdę, są w mniejszości. W Łazanach koło Żarowa mieszka pan Józef Oźga. Miał on kilkanaście lat w okresie II wojny światowej. Pani Władysława proponuje mi, abym z nim się skontaktował, by uzyskać bardziej precyzyjne informacje o Łukowcu, Żydach przechowywanych przez rodzinę, a także losach rodziny Oźgów i w ogóle Łukowian (Wojciech Oźga zmarł na Sybirze). Adolf i Bronia Ebert mieszkali w Montrealu w Kanadzie. Jasińskich po wojnie nasze UB aresztowało.

Żydów mieszkających w miasteczkach niedaleko Łukowca, jak mówi pan Jan Kuchta, najpierw odzierano ze złota i kosztowności. A następnie zlikwidowano w Dobrowlanach, Gdzie przez tydzień kopali sobie doły. Tam ich Niemcy zwozili i zabijali przez rozstrzeliwanie. Byli to Żydzi z Żurawna, Żydaczowa, Chodorowa i pobliskich miejscowości. W Żurawnie był (jak relacjonuje pan Jan Kuchta) komendantem obozu Niemiec, co śniadania nie zjadł, jak nie zabił jakiegoś Żyda. Jechałem do Chodorowa w Dobrowlanach za torami na wóz wskoczyła mi 16 letnia Żydówka. Niemiec zauważył. Kazał jej zleźć z wozu i dołączyć do kolumny a mnie tylko zrugął i kazał się wynosić jak najszybciej. Wiem w którym miejscu mniej więcej te doły były wykopywane. Jest tam teraz teren zakrzaczony - wspomina Jan Kuchta.

Rozmowa z panią Władysławą Grabowską z domu Rejman

Pani Władysława zadzwoniła z USA. Mieszka w stanie Michigan w Miasteczku Frankfort nad jeziorem Michigan. Otrzymała cztery Zeszyty Łukowieckie. Jest zainteresowana otrzymaniem książki Edwarda Polaka i dalszymi „Zeszytami”. Gdy zapytała mnie: Kim jestem?- Odpowiedziałem, że symem Mariana Burdzego i Jadwigi Faszynkieder Była poruszona, faktem, że to moja mama opiekowała się w ostatnich chwilach życia jej ojcem. Ojciec jak mówiła pani Władysława odwiózł rodzinę do schronu i wrócił do domu. Już go nigdy więcej nie zobaczyła. Na Łukowcu była małą kilkuletnią dziewczynką. Niewiele pamięta. Mieszkali niedaleko kościoła i cmentarza. Zachowały się jej w pamięci ciągle bijące dzwony i fotografie, które robiono pozabijanym ludziom i które jak mówi pani Grabowska przybijano do krzyży. Pani Władysława jest gotowa popracować nad zdjęciami i materiałami dotyczącymi Łukowca i stworzyć z nich coś w rodzaju opracowania komputerowego. Na co

wyraziłem zgodę. Pani Władysława opowiadała o swojej rodzinie, ale także pytała o moją. Poinformowałem ją, że mój brat mieszka w chwili obecnej nad tym samym jeziorem co i ona -jedynie w innym miejscu bo w Chicago. Pani Grabowska jest jeszcze jednym przykładem rozsianych po całym świecie Łukowian. Pani Władysława liczy sobie obecnie 69 lat -jej zainteresowania to komputery, męża zaś, wędkarstwo. Tak, że jak mówi, dość często towarzyszy mu w wyprawach wędkarskich na okonie.



Maria Malec - żona Józefa Rejmana



Józef Rejman - zdjęcie z wojska 1934 r.



Władysława i Marian Grabowscy (USA)
w roli św. Mikołajów - przekazują pozdrowienia
wszystkim Łukowianom !

ZDJĘCIA RODZINNE GRABOWSKICH I REJMANÓW



Zdjęcie z 1911 roku. Dziadkowie pani Władysławy Grabowskiej - Józef Rejman i Krystyna z Tomalów. Od lewej ich córki. Michalina i Bronisława na kolanach dziadka - Waleria. Pomiedzy dziadkami siedzi ojciec pani Władysławy - Józef Rejman



Łukowiec - zdjęcie Tadeusza Malca z 1943 r.



Łukowiec, Władysława, Janina i Kazimiera Rejman (córci Józefa)

Rozmowa z panem Antonim Lebiodą

Pan Antoni mieszka we wsi Kościelniki niedaleko Lubania. Gdy miał 13 lat, matka z rodzeństwem uciekła z Ziemianki na Łukowiec do swojej siostry ok. 18 km. Siostra mamy była żoną Andrzeja Kosiora. Ojciec pozostał aby pilnować gospodarki. Gdy Ukraińcy zaatakowali Ziemiankę stracił życie razem z wieloma mieszkańcami wsi, którzy schronili się w kościele i na plebanii. Banderowcy spalili kościół i plebanię z ludźmi w środku. Uratowali się tylko ci co wcześniej wyjechali do Kałusza lub na Łukowiec. A później wraz z łukowianami przyjechali na Ziemię Zachodnie. Z Ziemianki (położonej koło Dołchy Wojniłowskiej na Łukowiec uciekło kilkanaście rodzin. Pan Lebioda przypomina je sobie powoli: Króle, Hetmany, my Lebiody, Łukawscy, Tokarze, Warchoły, Magiereccy, Kopcie, Zaguły, Marki, Grębowce, Godki, Dule i inni. Po spaleniu kościoła i plebani jedyną uratowaną osobą był Kata Franciszek. Mój ojciec Stanisław w czasie pożaru plebani i kościoła próbował ratować ludzi, Kacie Frankowi, Magiereckiemu Bolkowi i jeszcze trzeciemu chłopakowi pomógł wydostać się na dach płonącego kościoła. Dwóch chłopców Ukraińcy na tym dachu zabili strzelając do nich, a Katę postrzelili licząc że śmiertelnie. Kościół się palił i wydawało się że nikt nie wyjdzie z tego pogromu żywy. Kata pod osłoną nocy po rynn timer, poraniony zsunął się i jakimś cudem dotarł na Łukowiec. On jeden uratował się z pogromu. Andrzej Kosior był na Łukowcu dowódcą jednej z palcówek samoobrony. W 1944 r. brat Władysław, który był pełnoprawnym członkiem samoobrony, wstąpił do II Armii wojska polskiego. Po wojnie wraz z kilkoma rodzinami z Łukowca, osiedliliśmy się w Pogorzelskich koło Chocianowa. Z łukowian osiedliły się tam też rodziny Drozdów (4 rodziny) Piotrońskich, Krawców, Burdzych, Garbosiów, Szotów i cztery rodziny Kosiorów. Na moje pytanie o śmierć pana Andrzeja Kosiora. Pan Lebioda odpowiada mi całkowicie inną wersją mordu niż wcześniej zasłyszałem. Jedno powtarza się w obu wersjach - zabiło go UB z Lubina. W okolicach wsi Obora wyrzycono ciało Andrzeja Kosiora z samochodu, twierdząc, że sam wyskoczył i zginął. Znajac dobrze metody ubeckie rodzina nie uwierzyła w tę wersję śmierci. Zabili go w samochodzie a ciało wyrzucili pod Oborą twierdząc, że nieszczęśliwie wyskoczył z auta. Andrzej Kosior był osobą zasłużoną dla Łukowca i samoobrony. Zginął z rąk Urzędu Bezpieczeństwa. Na pytanie o rok śmierci, pan Lebioda podaje 1948 r.

Opracowała: Władysława Łuczyńska

Dzieje rodzina Skrybantów i Żaków

Rodzina Skrybantów

Józef Skrybant urodził się w 1870 r. w Laskach koło Niepołomic i tam mieszkał. Mając 16 lat musiał iść do wojska na 24 lata. Uciekł wraz ze swym ojcem Andrzejem (urodzonym około 1820 -1821 r.) przez zieloną granicę do zaboru austriackiego. Granicę przekroczyli niedaleko Krakowa w okresie żniw. Uciekający byli ostrzeliwani przez Moskali, a także goniły ich psy. Ponieważ w tym czasie zboże nie było skoszone ukryli się w nim i zmylili pościg. W Galicji otrzymali ziemię w Laszkach Górnych, ponieważ tam była przeprowadzana parcelacja. Józef ożenił się z Anielą Wolak z Łukowca około 1910 r. Kupił ziemię na kredyt w Łukowcu Żurowskim i tam się zaczął budować. Aby spłacić kredyt z Kasy Stefczyka, wyjeżdżał trzykrotnie do Ameryki. Wypływał statkiem z Hamburga. Jeden raz wyjeżdżał za darmo, w zamian za opiekę nad synem skarbnika Kasy Stefczyka. Tenże powiedział: „Weź Józefie ze sobą mojego syna a ja ci podróż opłacam”. Józef się zgodził. Józef i Aniela Skrybantowie mieli sześcioro dzieci. Antoni - rok ur. 1904.

W latach 1914-1916 stacjonowały w Łukowcu wojska sowieckie. W lasach trwały walki. Chłopcy ze wsi pobiegli do lasu popatrzeć. Antoni został postrzelony i zabrali go żołnierze

rosyjscy do szpitala polowego, a po wyzdrowieniu wywieźli go do Rosji. Ślad po nim zaginął. Wrócił do domu jako dorosły młodzieniec mający 18 lat. Rodzice musieli go uczyć mowy polskiej. Opowiadał, że był w Rosji w szpitalu, potem w domu dziecka, a następnie został wcielony do służby porządkowej w wojsku. Uczestniczył wraz z wojskiem w Rewolucji Październikowej. Pomagał zabierać majątek bogatym posiadaczom ziemskim (rozkułaczał ich). Posiadał broń i musiał opornych bić, a nawet zabijać. Potem uczestniczył w działaniach wojennych Wojska Polskiego. Po wojnie ożenił się z sanitariuszką i osiadł w Pomianowie powiat Białogard.

Ludwik Skrybant ur. 1908r.

Ożenił się z Anną z domu Sidor. Zamieszkali w „organistówce”. Tak nazywał się dom wybudowany na Łukowcu Wiśniowskim przez mieszkańców dla organisty z kościoła. W tym domu mieszkali aż do wyjazdu na Zachód. W jego domu zbierali się w latach 1943 -1945 r. codziennie, w dzień kobiety a w nocy mężczyźni pełnić wartę i czuwając, aby obronić wieś przed napadami banderowców. Ludwik i Anna mieli pięcioro dzieci: Kazimierza, Leontyna, Jana, Danutę i Izabelę (śpiewaczka estradową - założycielkę Tercetu Egzotycznego). Po wyjeździe na Zachód mieszkali w Osieku, a potem we Wrocławiu. Pochowani są w Osieku wraz z synem Janem.

Zofia - urodzona w 1912r. - wyszła za Jana Żaka i zamieszkiwała w Dąbrowie powiat Kałusz.

Karolina - ur. 1913r. Jej mąż Serafin Franciszek. Mieszkała w domu rodzinnym swojego ojca Józefa. Po wyjeździe na Zachód osiedlili się w Mieczkowie i tam zostali pochowani.

Piotr - ur. w 1915r. Uczestnik II Wojny światowej. Po jej zakończeniu zamieszkał w miejscowości Trzebiełuch pow. Chełmno. Ożenił się po wojnie.

Michał - ur. 1920 r. - Będąc członkiem organizacji samoobrony na Łukowcu , miał pseudonim „Młot”. Po przyjeździe do Mieczkowa należał do jakiejś organizacji działającej przeciwko okupacji sowieckiej. Przypominają mi się zwierzenia, które znała jego siostra Zofia. Że go przetrzymywano i męczono wbijając szpilki pod paznokcie do rąk i nóg. Ale do niczego się nie przyznał. Były to lata:koniec czterdziestych i początek pięćdziesiątych. Do tej organizacji należał też najprawdopodobniej Franciszek Serafin.

W latach 1914-1916 na Łukowcu w zabudowaniach Józefa Skrybanta Moskałe mieli magazyny żywności, np.; w jednym pokoju były zmagazynowane suchary aż po sufit. Przyrządzano tam też posiłki. W czasie walk dom Józefa Skrybanta spłonął, a rodzina przeprowadziła się do Lachowic. Po skończeniu działań wojennych Józef zaczął odbudowywać dom. Gdy już był pokryty dachem, śniło mu się, że ktoś poruszył go za ramię i usłyszał głos: „Józefie ty tu budujesz dom, a twój dom jest nad rzeką Wołgą”. W latach 1918-1920 został zwerbowany do wojska i uczestniczył w wojnie. W trakcie działań wojennych znalazł się nad rzeką Wołgą. Gdy w miesiącach jesienno-zimowych znalazł się w okopach, zmarznięty, głodny i słabo ubrany, przypominał mu się ten sen. W okopach nad Wołgą przesiedział około 6 miesięcy. Gdy Józef był na wojnie jego żona Aniela sama gospodarowała. Wspierał ją teść Andrzej, szczególnie w wychowaniu dzieci. Żył on 99 lat. Zmarł w 1919 roku w czasie zniw. Był wysokim mężczyzną miał długie sięgające do ramion siwe włosy oraz długie siwe wąsy. Chodził ubrany w białą luźną i długą koszulę wyłożoną na wierzch spodni i opasaną paskiem. Został pochowany na Łukowcu Wiśniowskim (Starym). Józef Skrybant wrócił z wojny w 1920 r. Ze stacji w Nowosielskach nie mógł sam przyjść do domu. Siedział na rowie koło drogi i stamtąd przywiozła go na Łukowiec Balka (żona Bala). Miał rozedmę płuc i puchlinę wodną. Jego żona - Aniela zmarła w 1923 r. przy porodzie.

Dziecko, które wtedy urodziła Franio, żyło około 1 roku, potem też zmarło. Józef zmarł w 1936 r., w pierwszy dzień Wielkanocy. Pochowany został na cmentarzu przy kościele parafialnym w Łukowcu Wiśniowskim. W gospodarstwie Józefa Skrybanta, za szkołą był kierat Młócenie odbywało się młockarnią napędzaną przez ten kierat, który wprawiał w ruch koń chodzący cały czas wokół.

Rodzina Żaków

Andrzej Żak pochodził z Tarnowa i kupił od księcia Czartoryskiego leśniczówkę i 105 mórg pola koło wsi Dąbrowa. Miał czterech synów: Walentego, Jasia, Jędrzeja i Józefa. Przy leśniczówce pobudowali się synowie Jędrzeja; Józef i Andrzej oraz synowie Józefa; Władysław i Jan

Józef Żak miał siedmioro dzieci. Najstarszym synem był Jan ur. w 1904 r. ożeniony z Zofią Skrybant. Gdy Zofia skończyła 17 lat ojciec zaczął szukać jej męża. Sam, jako wdowiec, wychowywał dzieci. W Żurawnie spotkał Józefa Żaka i obydwaj dogadali się, że są Polakami i że mają dzieci z których dorosłe powinny założyć już rodziny. I tak Józef Skrybant chciał wydać za mąż Zofię a Józef Żak ożenić Jana. Uzgodnili, że się spotkają ze swymi dziećmi u rejenta i tam spiszą umowę przedślubną przeznaczając tyle to a tyle morgów pola dla młodych. Józef Skrybant po przyjeździe do domu mówi do Zofii tak: " W tym tygodniu jedziemy do rejenta, bo znalazłem dla ciebie męża i spiszymy umowę". Ślub odbył się w Łukowcu Żurowskim w 1930 r. I Zofia Skrybant zamieszkała u teściów w kolonii Dąbrowa. Potem tam wybudowali się. Zofia oprócz pola otrzymała od swego ojca żarna. Żarna te służyły rodzinie Żaków tam w Dąbrowie i zostały przywiezione na Ziemię Zachodnie. Obecnie znajdują się u najmłodszego syna Zofii w Bielawie Górnej.

Zofia i Jan Żak mieli siedmioro dzieci: Ludwika Józefa, Władysław , Kazimierza i Tadeusza urodzonych przed wojną a pozostała trójka po wojnie.

Łukowiec Wiśniowski i Żurowski to były duże polskie wsie liczące około 3 tysiące ludzi. Mieszkało tam też kilka rodzin żydowskich. We wsi zorganizowana była samoobrona chroniąca mieszkańców przed napadami banderowców. Polacy z okolicznych wsi chowali się w Łukowcu tak, że w domach mieszkało po dwie trzy rodziny.

Wieś Dąbrowa leżała w parafii Tomaszowce pow. Kałusz, woj. stanisławowskie. Do Tomaszowca było 6 km. Obok Dąbrowy była duża wieś Protesy zamieszkała przez Ukraińców. Gdy Banderowcy zaczęli mordować Polaków, część Żaków uciekła do Kałusza. A Jan Żak do Łukowca. Był to rok 1943. Zofia Żak z domu Skrybant wcale nie bała się Ukraińców, ostatnia wyjechała do Łukowca z Dąbrowy. W rodzinnym domu Skrybantów mieszkała jej siostra Karolina Serafin z córkami (Krystyną i Leontyną), Zofia z mężem i czworgiem dzieci oraz Marcin Kowalski z Dąbrowy a także w 1945 r. rodzina ukraińsko-łemkowska, która przyjechała z woj. rzeszowskiego, aby tam zamieszkać po wyjeździe Polaków na Zachód. Tak, że pod koniec 1945 r. mieszkało nas w jednym domu - 15 osób.) . Żaków ; 6, Serafin; 4, Kowalski; 1, Łemki; 4).

Zofię Żak nastraszył ksiądz Kazimierz Tomczyński w Tomaszowcach. Po Mszy Św., podszedł do Zofii i powiedział, że ma natychmiast uciekać z Dąbrowy. Ksiądz już mieszkał w Kałuszu, a do Tomaszowiec przyjeżdżał odprawiać w niedzielę Msze Św. Tę noc Zofia spędziła z dziećmi w lesie w schronie. Rano gdy wróciła do domu , obok przechodził znajomy - gajowy - Ukrainiec Michajło A. na którego zaszczekał pies. Wówczas on obrzucił Zofię wyzwiskami. Zofia się bardzo wystraszyła i załadowała co mogła na furmankę, a siostra męża Józefa swoimi końmi zawiozła ją 15 km do Żurawna do krewnego - Dutka. Józefa wróciła z końmi do Dąbrowy, a Ludwik, syn Zofii poszedł do Łukowca do rodziny Skrybantów, aby

udali się do Żurawna, bo tam czeka na nich Zofia. Jan mąż Zofii ukrywał się w lesie koło Dąbrowy. Po resztę rzeczy do Dąbrowy pojechali: Skrybant Ludwik - brat i szwagier Serafin. Razem z nimi przyjechał mąż Zofii. Za kilka dni kolonia Żaków w Dąbrowie została spalona. W środku wsi Dąbrowa mieszkał Polak Marcin Kowalski, który ożenił się przed wojną z Ukrainką. Dzieci nie mieli. Kowalski oprócz gospodarowania na roli zajmował się jeszcze pszczelarstwem. Wszyscy z okolicy zaopatrywali się u niego w miód. Gdy zaczęto mordować Polaków-Kowalski przygotował sobie kryjówkę w budzie psa i tam cały czas spał. Pewnej nocy przyszli banderowcy. Przeszukali całe gospodarstwo i nie znaleźli go. Gdy się wycofali Kowalski zastukał do okna swego domu - żona otworzyła drzwi. Przygotowała mu żywność na drogę. Po czym lasami powędrował do Łukowca. Zamieszkał w 1944 roku u Serafinów, bo znał Jana Żaka. Kowalski Marcin ur. w 1887 r., zmarł w 1960 r. i jest pochowany w Bolesławcu. Po ucieczce z Dąbrowy Żakowie zamieszkiwali na Łukowcu Żurowskim. Byli tam około 2 lat. Później kilka tygodni mieszkali na stacji kolejowej w Chodorowie czekając na pociąg na Zachód. W listopadzie 1945 r. wyjechali na Ziemię Odzyskane. Podstawiono wagony nie kryte tzw. lory i mężczyźni budowali z desek zadaszenia chroniące przed deszczem, śniegiem i zimnem. W czasie podróży, już w Polsce, Zofia zachorowała i lekarz nie pozwolił jej dalej jechać. Wysiadła z dziećmi w Pyskowicach (katowickie) i tam zamieszkała w budynku kolejowym na I piętrze. Lekarz przychodził do niej, a jedzenie dla całej rodziny przynoszono z PURU (Państwowy Urząd Repatryjacyjny). Mąż ze starszym synem i Marcinem Kowalskim przyjechali do Węglinca i w okolicy szukali domu do zamieszkania, w końcu znaleźli go w Bielawie Górnej pow. Zgorzelec. Z Łukowca zamieszkali tam:

- Żak Jan
- Kowalski Marcin
- Kotulski Wawrzyniec i Krystyna
- Knaga Tomasz i Anna
- Bogacz Piotr
- Godyń Antoni i Agata.
- Puzio Ludwik
- Bednarz Błażej i Agnieszka w
Pieńsku zamieszkał Węglarz

Wieś Dąbrowa należała do parafii Tomaszowce i leżała w pow. kałuskim. woj. stanisławowskie. Cała zamieszkała była przez Ukraińców. Jedynie jeden Polak mieszkał w środku wsi. „Kolonія Żaków” na której mieszkali tylko Polacy była oddalona od Dąbrowy o około 2-3 km. Dzieci polskie chodziły do szkoły ukraińskiej. Jedynie Zofia Żak swoją córkę Władysławę posyłała do I klasy polskiej szkoły podstawowej w Tomaszowcach. Mieszkała ona wówczas u rodziny Hajnas. Mieszkańcy „Kolonii Żaków” oprócz rolnictwa zajmowali się sądownictwem. Zabudowań było pięć i każdy gospodarz miał ogromny sad. Sadzone były drzewka owocowe różnych gatunków obok siebie. Były, więc rzędy czereśni, gruszek, jabłek, wiśni na przemian wymieszane. Sady te były znane w okolicy i przynosiły Żakom ogromne dochody.

Żak Andrzej - senior miał czterech synów: Walentego, Andrzeja, Jana i Józefa. W momencie ucieczki Żaków z Dąbrowy były na kolonii gospodarstwa: Żaka Andrzeja - juniora, Żaka Józefa brata Andrzeja oraz Jana i Władysława (synowie Józefa) i budynek leśniczówki. Józef miał ośmioro dzieci:

1. **Władysław** ur. w 1907 r. ożeniony był z Ukrainką Oleną z Siwki, po chrzcie otrzymała ona imię Helena. Na początku ruchu band ukraińskich, pierwszy wyjechał do Kałusza. Z zawody był krawcem i szył tam mundury i ubrania dla Niemców. Po wyjeździe z Kałusza zamieszkał w Rudziczce pow. Prudnik.

2. **Jan** ur.1904 r. ożenił się na Łukowcu z Zofią Sktybant. W 1939 r. służył w wojsku. Gdy ta część Polski znalazła się pod okupacją rosyjską, wrócił do domu przynosząc ze sobą bagnet. Później po napadzie Niemców na Rosję w czasie rewizji dokonanej przez wojsko niemieckie z udziałem Ukraińców znaleziono ten bagnet. Ukraińcy złożyli donos na Gestapo w Stanisławowie. Jan został aresztowany i uwięziony. Podczas przesłuchania pokazano mu jakiś inny pordzewiały sztylet jako dowód rzeczowy na posiadanie w domu broni. Jan odrzekł, że to nie jego przedmiot, i że zabrano mu inny bagnet. Znał numery wybite na swoim bagnecie. Z Gestapo w Stanisławowie zadzwoniono do jednostki w Kałuszu, aby im przywieziono prawdziwy dowód rzeczowy. Gdy dostarczono ten prawdziwy sztylet, który został rozpoznany, Jana zwolniono do domu a banderowca rozstrzelano.
3. **Maria** ur. 1910 r. wyszła za mąż za Piotra Żurawia ze wsi Zyzanówka. W 1940 lub 1941 roku cała rodzina została wywieziona do Krasnojarskiego kraju. Piotr wstąpił tam do polskiej armii i zginął pod Warszawą. Maria z jednym synem (inne dzieci poumierły z głodu) wróciła do Polski i zamieszkała w Henrykowie pow. Lubañ Śl.
4. **Jakub** ur. 1915 r. ożenił się we wsi Zyzanówka z Marią. Żonę z dzieckiem wywieziono na Sybir. Jakub uniknął wywózki ponieważ w tym dniu poszedł do Dąbrowy do rodzinnego domu młócić zboże. Wracając do Zyzanowki został porwany we wsi Dubowice znaleziono go w lesie porzniętego nożami na Siwce.
5. **Józefa** ur. w 1919 r. została spalona w oborze (kolonia Żaków). Zwłoki jej leżały skulone pod żłobem. Jedynie twarz i dłonie nie były spalone.
6. **Michał** - ur. 1921 r. - został pokłuty nożami lub bagnetami. Spalony w stodole w gospodarstwie Józefa. Zwłoki leżały na środku stodoły lekko nadpalone. Na plecach nie był spalony. Józefa i Michał przed śmiercią mieszkali już z matką Agnieszką w Kałuszu, ale pojechali po resztę dobytku. W nocy przyszli Ukraińcy. Zaczęli przeszukiwać zabudowania. Oni uciekli na strych domu. Tam ich znaleziono, związano razem i zrzucono na dół. Lecąc sznur się rozwiązał. Józefa uciekła do stajni a Michała pocięli i wrzucili do stodoły. Tam zostali spaleni.
7. **Antoni** - ur. 1922 r. mieszkał w Kałuszu. Miał powiązania ze „strebkami” (rosyjskie Istrebitielnyje bataliony (mundurowa służba porządkowa)). Został zastrzelony przez swoich kolegów Ukraińców w czasie akcji na przedmieściach Kałusza.
8. **Helena** ur. 1924 r. - Najmłodsza w rodzinie Agnieszki i Józefa Żaków. Wyszła za mąż za Krzywonosą z Zyzanowki. Została wywieziona z dziećmi do krasnojarskiego kraju, tej samej nocy co jej siostra Maria. W wywóźce brał udział m.in. jej sąsiad Ukrainiec o nazwisku „Anton”. Helena przyjechała z zesłania do Bielawy Górnej bez dziecka, które zmarło na Syberii. Potem mieszkała w Węglińcu i tam została pochowana.
9. Był też u Żaków parobek - sierota. Pochodził z Centralnej Polski. Wiek 25 lat. Został zastrzelony. Znaleziono jego ciało w krzakach koło domu. Żona Żaka Andrzeja (mówiono stryjna Jędrzejowa) z Kałusza na piechotę w gorący dzień lata poszła na Dąbrowę bowiem rodzeństwo Agnieszki Michał i Józefa nie wracało. Ona była najodważniejsza. W Dąbrowie znalazła ciała krewnych i parobka i pochowała je razem. Idąc drogą z kolonii w kierunku Dąbrowy znalazła też zamordowanego

Ukraińca narzeczonego Józefy, który wracał do domu. Miał 7 ran kłutych. Pochowała go również i wróciła do Kałusza, gdzie o wszystkim opowiedziała rodzinie.

10. **Józef** - ojciec wyżej opisanej rodziny zmarł w 1935 r. i jest pochowany w Toma-szowcach. Matka przyjechała po wojnie do Rudziczki pow. Prudnik i tam jest pochowana. Tam też jest pochowany jej syn Władysław z żoną. Wszystkie rodziny Żaków chowały się przed Banderowcami w schronach wybudowanych w pobliskich lasach (kilkadziesiąt metrów od zabudowań). W czasie pożaru „kolonii Żaków jeden Ukraińiec Iwan Ł. ze wsi Protesy poinformował ich o spaleniu kolonii pomagając o odpowiedniej porze wyjść ze schronów i uciec lasami do Kałusza. Powyższe wspomnienia zapisała Władysława, córka Józefa i Zofii Żak zam. w Lubinie. Ona to chodziła do szkoły publicznej w Łukowcu Żurowskim do III klasy w latach 1944-1945. Jej nauczycielem i wychowawcą był Marian Burdzy, zam. w Lubinie. Dyrektorami szkoły byli Zawisłak i Czyżewska.



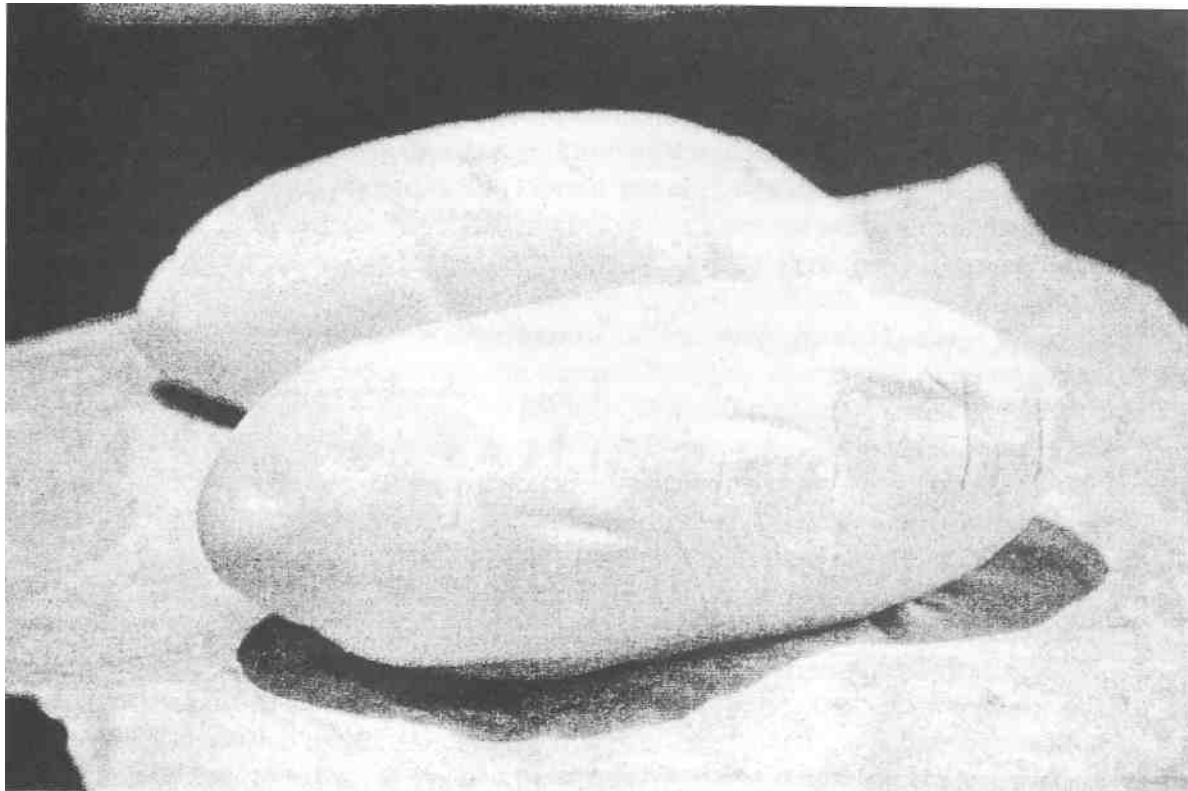
Żarna przywiezione z Dąbrowy (wyprodukowane na Łukowcu)



Maślnica rozebrana na części
(zdjęcie - Władysława Łuczyńska)



Maślnica do robienia masła



Oselki masła (zdjęcie Władysława Łuczyńska)

Pocztowa Słota

Łukowicz-Kimowski 18 czerwca 1945 r.

nr Łukowicz-Kimowski

rejon : Bukaczone

ob : Stanisławów

Ł. 34/III 1944/45

Świadectwo szkolne.

Paź Władysława córka Jana ur. 25/IV 1934 roku w Bukaczone
rejon Krasne. Uczęszczała w roku szkolnym 1944/45 do III
klasy Pocztowej Szkoły w Łukowicz-Kimowski, rejon Bukaczone
i ukończyła ją z następującymi ocenami końcowymi :

Ze spełnienia się : bardzo dobry

Z nauki przedmiotów : języka polskiego : bardzo dobry

- " - ukraińskiego : bardzo dobry

- " - rosyjskiego : bardzo dobry

aritmetyki : bardzo dobry

pracy : bardzo dobry

geografii : bardzo dobry

rysunków : bardzo dobry

śpiewu : bardzo dobry

rajce napisanych : bardzo dobry

liczba opuszczonych dni : 36 z czego nieusprawiedliwiono : . . .

liczba spóźnień : . . . z czego nieusprawiedliwiono : . . .

Wynik ogólny : bardzo dobry.

Przedmiot klasy :

M. Burdzy

Dyrektor szkoły :

L. Jędrzejowski



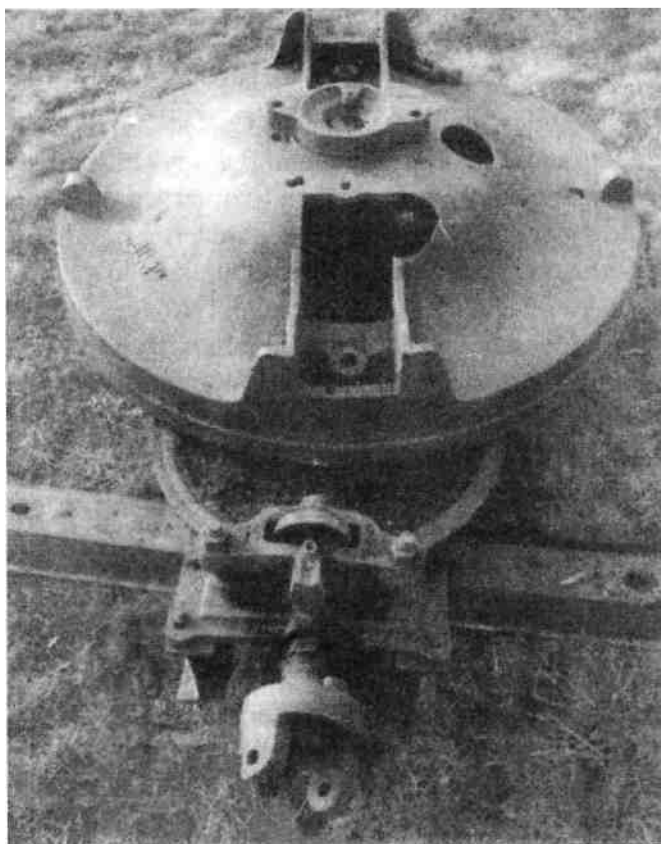
Świadectwo szkolne p. Władysławy Łuczyńskiej z domu Żak wystawione w 1945 r.
przez Mariana Burdzego.

Autor Kazimierz Ożga

Kieraty

Kierat, inaczej zwany menez, jest to urządzenie stosowane w przeszłości w gospodarstwach rolnych. Pełniło ono rolę silnika napędzanego siłą żywą to znaczy za pomocą zwierząt pociagowych przeważnie wołów i koni. Konie zaprzęgano do specjalnych długich drągów, mocowanych do kierata (dysze), prowadzone po okręgu uruchamiały zespół kół zębatach o dużej przekładni napędzając obrotowo wał korbowy (tzw. kardana). Do końcówki wału przegubowego podłączano drążek metalowy o odpowiedniej długości, na końcu którego znajdowało się koło pasowe napędzające za pomocą pasa różne maszyny i urządzenia rolnicze m.inn. siewczarnie, wywiewnie zboża, śrutowniki, małe młockarnie a także inne urządzenia jak; piły tarczowe, ostrzalnie, tokarki, pompy wodne itp. Jak widać kierat spełniał kiedyś funkcję motoru elektrycznego lub spalinowego, który to w późniejszym czasie wyparł go z użycia. Kieraty posiadali zasobniejsi gospodarze mający na stanie odpowiednie maszyny i urządzenia mechaniczne oraz konie. Przypadkiem się złożyło, że jeszcze w dzieciństwie w II Rzeczypospolitej na Kresach Wschodnich zetknąłem się z tym urządzeniem, gdy w czasie wojny, lata 1943-1945, zamieszkałem z rodziną na Łukowcu (powiat Rohatyn, województwo stanisławowskie) w ramach schronienia przed banderowcami ukraińskimi. Jeden z mniejszych gospodarzy posiadał kierat, który kupił prawdopodobnie za krowę. Ojciec mój pomagał go obsługiwać, z czym wiązało się wiele kłopotów. Zakupiony kierat był używany i nie najlepiej wykonany. Kilka kół zębatach w tym jedno centralne o dużych rozmiarach obudowane było częściowo drewnem. Całość usadowiona na dwóch belach - kłodach z możliwością przenoszenia (przesuwania). Do eksploatacji ustawiany był w pobliżu stodoły z maszynami stacjonarnymi. Podobnie jak w innych kieratach, na górnej części obrotowej umocowano dyszel, do którego zaprzęgano konia. Elementem wyjściowym kieratu była u dołu wystająca końcówka tak zwany, wał przegubowy napędzający maszyny. Wygląd tego kieratu przedstawia rys. Nr 1 (dwudyszlowy). Kieraty były dosyć kosztownymi urządzeniami, wykonywanymi przez fabryki maszyn rolniczych lub specjalistyczne firmy (kuźnie, odlewnie) zarówno w Polsce jak i w innych krajach. Z tego powodu konstrukcje w szczegółach nieco się różniły, ale ogólna budowa i zasady działania były podobne tj. napędzający zespół kół zębatach. W tym miejscu chciałbym opisać trochę humorystycznie kilka przygód z kieratem. Ojciec mój do obsługi kieratu zaprzęgał małego konia, (kobyłkę), której jednostajne chodzenie po okręgu wokół kieratu nie odpowiadało. Koń był narowisty, stawał dęba, szarpał się i czasem kopał. Zakładano mu nawet kłapy na oczy, ale to też nie pomagało. Więc Ojciec prowadził go bardzo często trzymając za uzdę. Przebiegły koń z zemsty ugryzł go w ucho. I w ten sposób uwolnił się od kieratu. Po tym zdarzeniu konia sprzedano. Próby z zaprzęgiem bydła też się nie powiodły, Krowa, nie chciała ciągnąć, zapierała się nogami, bodła rogami i kopała. Także zdarzyło się, że sąsiedzi chcąc skorzystać z kieratu przyszli całą rodziną przynosząc zieleninę i słomę do pocięcia w siewczarni sami własnoręcznie (kilka osób) kręcili kieratem pchając zespołowo dyszel. Dzieci miały niekiedy zabawę, używając kieratu jako karuzeli po uprzednim odłączeniu drążka napędowego, czego rodzice im na ogół zabraniali. Wreszcie na przednówku, gdy kierat nie był wykorzystywany, a głód zaglądał w oczy sprzedano go za worek mąki i pszenicy jakiemuś właścicielowi majątku w Bukaczowcach. Wielkie zaskoczenie spotkało mnie już po wojnie na Ziemiach Odzyskanych. We wsi Grodzianów pow. Wołów w dużym gospodarstwie poniemieckim, zelektryfikowanym, zaopatrzonym w różne maszyny i silniki o napędzie elektrycznym, znajdował się również kierat. Był bardziej nowoczesny, w całości wykonany z metalu o płaskiej budowie talerzowej, dostosowany do dwóch dyszli. Ponieważ byliśmy obznajomieni z obsługą kieratu a przejściowy brak prądu uniemożliwiał używanie maszyn napędzanych elektrycznością ojciec mój pośpiesznie kupił na targu w Brzegu Dolnym konia, prawdopodobnie pochodzącego z darów z „UNRY” i w ten sposób pierwsze zbiory w 1946 roku były już przetwarzane na

niektórych małych maszynach (śrutownik, sieczkarnia, wywiewnica, piła tarczowa). Tym razem koń był duży spokojny i silny. Po naprawie linii energetycznej i zasileniu Grodzianowa w energię elektryczną, nieużywany już od dłuższego czasu kierat przekazano na złom, bo nie było w pobliżu żadnego zainteresowania skansenem, a szkoda. Od wielu lat kieraty nie są już stosowane i stanowią zabytki. Można je czasem zobaczyć jeszcze w niektórych muzeach regionalnych. Są symbolem ciężkiej wytężonej pracy w dawnych gospodarstwach rolnych. (zdjęcia kieratów dostarczył do artykułu pan Edward Bień mieszkaniec Dzierżoniowa).



Kieraty dwudyszlowy i czterodyszlowy
produkcji niemieckiej - na Łukowcu posiadało je wielu gospodarzy.
Kieraty produkowane były także w Polsce m.in. we Lwowie i prawdopodobnie w Chodorowie

Wspomnienie pani Alicji Piechuty (z domu Buczak)

Pani Alicja mówi: Moja rodzina pochodzi z miasteczka Dolina. Polaków było tam bardzo niewiele. Mama trudniła się krawiectwem i uczyła ukraińskie dziewczęta szycia. Tych uczennic miała zawsze dużo; 6 do 8 a nawet i 10. Kiedy sytuacja stała się niebezpieczna uciekliśmy na Łukowiec. Najpierw zamieszkaliśmy u Feliksa Cubra a później przenieśliśmy się do Karola Furtaka. Nasza rodzina składała się z czterech osób; ojca Franciszka, brata Aleksandra, mamy Karoliny i mnie. Brat Aleksander należał na Łukowcu do Armii Krajowej. Na Śląsk przyjechaliśmy razem z Łukowianami. Osiedliliśmy się w Brunowie. Wyszłam za łukowianina Tadeusza Piechutę. W Brunowie mama była zarejestrowaną krawcową i także uczyła dziewczęta - przeważnie łukowianki - krawiectwa. Obecnie mieszkam w Lubinie. Mamy dwoje dzieci. Okres pobytu na Łukowcu, jak na warunki wojenne wspominam nie najgorzej. Byłam wtedy dziewczynką. Michał Węglarz był wujkiem mojego męża. Część jego rodziny mieszkała w Ameryce. Wujek Węglarz i jego najstarszy syn byli w Samoobronie. Mąż miał do wujka Michała zawsze wielki szacunek, ze względu na fakt, że był on żołnierzem „błękitnej armii” czyli hallerczykiem. Ponieważ były nieporozumienia pomiędzy Piłsudzkim a Hallerem często przenosiły się one na rozpolitykowanych gospodarzy w Łukowcu. Wujek Michał w tych sprzeczkach zawsze bronił generała Józefa Hallera co takie łatwe nie było, bo większość gospodarzy, to byli raczej piłsudczycy. Z tamtego okresu pozostało mi trochę fotografii które chętnie udostępnię czytelnikom Zeszytów Łukowieckich. Pamiętam jeszcze słowa piosenki jakie często śpiewał mi Kazik Kureń: „Kochana Lili nie smuć się, Niedługo wojna skończy się, Czekaj powrotu moich dni itd. Dał mi też raz strzelić za stodołą ze swojego karabinu, co było dla mnie dziewczynki 10-11 letniej bardzo dużym przeżyciem. Chcę dodać jeszcze, że mąż pani Alicji pan Tadeusz Piechuta urodzony na Łukowcu Wiśniowskim, jest bardzo wiernym czytelnikiem Zeszytów Łukowieckich i swoją postawą mocno wspiera mnie w dalszym ich redagowaniu.



Łukowiec - żona Feliksa Cubra z dziećmi



Wanda Furtak i Kazimierz Kureń
zdjęcia z Łukowca
z okresu narzeczeństwa



Dolina - Ukrainki, uczennice pani Karoliny Buczak



Dziewczęta z Brunowa i Szklar (stoją od lewa) Gienia Szot, Katarzyna Szynalska, Józefa Chmielowiec, Pola Gołdyn, Kazimiera Łukasiewicz (drugi rząd siedzą) Janina Janusz, Karolina Buczak, Wiktoria Górz



Feliks Cuber z żoną Salomeą



Wesele Kazimierza Kurenia i Wandy Furtak
(Rodziny Furtaków, Kureniów, Majdańskich i Buczaków)

ŻOŁNIERZE SAMOOBRONY I AK Z ŁUKOWCA



Józef Rejman
członek Samoobrony
(zginął od przypadkowej kuli)



Michał Węglarz
(Samoobrona)
Żołnierz „Błękitnej armii”



Franciszek Drozd
żołnierz wojny obronnej 1939 r.
(Na Łukowcu oficer AK)



Józef Cacaj - sołtys Łukowca Wiśniowskiego z żoną Marią i czterema córkami

ZDJĘCIE PRZESŁANE PRZEZ PANA KONRADA LEŚNIEWSKIEGO I
PLUTONU I KOMP. CKM 25 P.P. AK



Franku! - przedstawiam Ci 2-gą drużynę,
I-go plutonu, 1-zj komp. CKM 25-go pp AK
i nie pętnę - brakuje 3-ch 1'- skład z
X-go 1944 r.

Ode lewej: 1. "Leś" - Józef Chmielewski;
2. "Edward" - Stanisław Krason; 3. "Sergiusz" -
Józef Krason; 4. "Rabak" - n.n.; 5. "Wilk" - n.n.;
6. Ten mały to niej podpisany d-ca dru-
żyny - "Orliki"; 7. Ten drugi to szef kom-
panii CKM "Maciek" - Władysław Mulec;
8. "Iskra" - n.n. 9. "Zerz" - Józef (ten w jasnej klu-
zie - n.n. 10. "Zajac" - Jan Nawier; 11. "Strus" -
n.n. (spoza drużyny); 12. "Piast" - Jerzy Ma-
rzecki. Zaczyna to Żydówka - Wacławowa
Żelisz - cożem do nas przychodził, kieszni...

Szanowny Panie Bunczy

Najlepiej dyskuję ze ostatni list z wykazem Kochan które
osiedliły się w Lipnicy, oraz bardzo przeproszam za ten długie
milczenie. Wykazało ono z przyczyn które dokładnie określił Pan
w swoim liście. Wszakże ten sam kłopot z dojazdem do wienygod-
nych folców, przyczyna prosta ludzi mających jeszcze jakąś
wrechę ulysza w szybkim tempie a młodszych także sprawy nie
interesują. Ja podobny wykaz jak ten w liście sporządzony przez
Sebastiana Bunczyego miałem przygotowany już wreszcie z tym że
mój był nieco obszerniejszy. Jak Panu wreszcie piszę poprosi-
łem. Poniżej Karimienę Miśkiewicze Łukowianiną starszą odemnie
o 9 lat mieszkającą w Lipnicy, aby taki wykaz skomponowała.
Jak widzieć trzeba to dlatego że Pan Karimien jest niezwykle
dokładnym i sumiennym i wszystko co pocher musiał być
sprowadzone i uwzględnione z jeszcze żyjącymi Łukowianami.
Chyba najlepiej świadczy o tym załączony wykaz jego autorstwa.
Od czasu osiedlenia upłynęło ponad 60 lat i trudno jest
odtworzyć stan rzeczywisty a zmiany były duże, wiele
Kochan po przyjeździe odnajdowało swoich bliskich w innych
miejscowościach lubi znajdowali lepsze warunki i położenie
wzrost się przeprowadzili i inni przybywali. Wychodzi mi się że,
gdyby tak teraz Karimien jeszcze żyła Łukowianin miałaby
sporządzić tak wykaz to byłoby tyle jego wersji ile autorów.
Prosił Pan o Kochanki Łukowian z pobliskich miejscowości,
wzrost podobne, że w Łhomieży osiedlili się tylko Stary
Jan i Maria oraz Dziuba Feliks i Anna.

W Rzeczy - Kucita Tomasz i Katarzyna, Cacia Maria i
Józef z tym że Józef przybył dopiero z Syberii po 1960 roku
Łukowski Jan i Maria oraz Wyka Maria. Dane te podałem

Łukowianin Kalita z Rzeciny. Podał mi też, że w miejscowości Słup osiedlili się Kuchimi o nazwiskach Kosior, Senolyka, Woś, Wiehenski, Imieliszko, Chmurek, Wołowicz i Zygral. Z imionami miał kłopoty więc nie podawał, jest on niezbyt rozmowny ale ma już podał Polak więc trudno się dziwić że pamięć robi się już dziwna. Nie mogę Pana obecnie podać Kuchim które osiedliły się w Mulawcach gdyż jest dużo sprzeczności a danych niewymaganych nie będę podawał.

Jedyną polską którą posiadam to tylko kopie fotografii Kuchimi Cacia była jedyną z Soltysów z Łukowa. Jest to cenna fotografia i chyba dołone polotka, ostatem ja od najmłodszej córki Cacia które obecnie mieszka w Chomigie. Na fotografii Józef i matka Cacia ona ich 4 córki. Najmłodsze Anna a za nią Zofia były prysła żona Króla (Pioruna) oraz Janina i Stefania. I niestety tyle fotografii, na pewno można by jeszcze wiele podobnych pamiątek znaleźć ale niestety brakuje trudno coś zrobić. Wiskusi Łukowian nie żyje a pozostałi to nie pamiętają lub niechęć wspominać tych czasów. Młode pokolenie urodzone już tutaj nie jest także historycznie zainteresowane bo to historia i patriotyzm to obecnie niepopularne tematy. Roco się przyzwyczaiło do swych koleni i czasów kiedy nie było tej cudownej techniki, nowoczesnego sposobu życia i nowych wartości. Jemiałem ostatnio okazję odwiedzić Łukowicz, jednakże tam również nie odnajdę jakiś ślad nowego życia polityki, ale niestety całkowicie się tym gdzie było można powiedzieć że jest istna dziwna. Poznałem jedynie chłonnice Koscielny i tylko to upewniło mnie że myślałem być na Łukowie. Na tym koniec i zapewnię że będę miał na uwadze sprawy dotyczące Łukowa jeśli zobędę jakiś materiał z tamtego okresu to się nim z Panem podzieli.

Zesystem porzucenie i życie obcej chętności
T. Mole

Kazimierz Orzo

Moje refleksje i spostrzeżenia

Dopiero rok temu udało mi się jak zetknięciem się z Zeszytami Łukowieckimi, a tyle się w moim życiu wydarzyło, właśnie dzięki nim i wsparciu redakcji Franciszka Burdzenia. Nigdy bym nie przypuszczał, że spotka mnie tyle niezapomnianych przeżyć, przygód i miłych chwil w tak krótkim czasie. Długo pragnę na łamach tego pisma złożyć wielki akt i serdeczne podziękowanie redakcji "Zeszytów" na czele z jego liderem Pawłem Franciszkiem.

Zachęcony do pisania wspomnień dla potomnych, odżyły we mnie uczucia i pragnienie z dawnych dziecięcych lat życia na kresach. Aktywnie przyszedłem do wielkiej rodziny ludzi rodowodu kresowego. Odwalałem wiele nudaków - kresowiaków rozproszonych po kraju oraz wiele przyjaznych osób i pokrewnych stowarzyszeń pielęgnujących patriotyzm, szlachetne wartości i prawdziwą historię. Np. Ognisko Bukaczanów skupiające ludzi z moich byłych rodzinnych stron, Towarzystwo Miłośników Lwowa z oddziałem Kołomyży i Pokucia (byłe woj. śląskie), Stowarzyszenie Familijne w Lublinie, Klub Tarnopolan w Żarach, Stowarzyszenie Buczanów, Breżan, Związek Sybiraków oraz najbliższe mi Stowarzyszenie Zabuchan Regionu Opolskiego z siedzibą w Dzierżoniowie. Oprócz kontaktów osobistych (indywidualnych) brałem udział w spotkaniach i imprezach regionalnych, a także pielgrzymce "mego życia" po kresach wschodnich, w tym ziemi rodzinnej - co opisałem we wspomnieniach p.t. "Dotyk historii" oraz "Pielgrzymka 2005 - śladami historii". Spotkała mnie również duża odpowiedzialność t.j. podziękowanie i uznanie za ocalenie od zapomnienia części historii dla młodego pokolenia i opisanie faktów i losów z życia człowieka zwyczajnego, żyjącego niegdys' w zakątku byłego kraju ojczystego. Jak również za opisanie straszenia oraz utrwalenie na kliszy aparatu fotograficznego zabytków, pamiątek i miejsc bohaterstwa i odwagi ojczyzny - jako świadectwa polskości czasu minionego na kresach. Mój opis i wielkość dorobku cywilizacyjnego naszych przadków, dziadków i ojców.

W ramach konkursu na opracowanie wspomnień o kresach organizowanego przez Towarzystwo Miłośników Ziemi wrocławskiej zostały nagrodzone dyplomem uznania i nagrodą książkową zgłoszone przezemnie wspomnienia, t.j.:

1. "Wspomnienia z Berestawów i Łukowca" (zamieszczone "też w Nr. 9-10 Zeszytów Łukowieckich"),
2. "Pielgrzymka 2005 - śladami historii" (kopie tych wspomnień "zyskały zainteresowanych czytelników").

Też lubiły akcent i użycie zachęcały mnie do dalszego pisania, co uczyniłem skromnym opisem dawnego urzędzienia zwanego Kieratem, używanego m.in. na kresach (także na Łukowcu) w gospodarstwach rolnych.

Opis i zdjęcia kieratów przekazałem do opublikowania w Zeszytach Łukowieckich.

Pragnę również poinformować, że dzięki moim wspomnieniom, nawiązałem przyjazny kontakt z redaktorem Biuletynu Bukacnowieckiego - Tadeuszem Tomkiewiczem z Poznania, kresowianinem z mojej byłej parafii w Bukacnowicach, kartografem, opracowującym szczególnie mapy byłych polskich miejscowości, z dołączaniem do miejsca posesji i nazwisk ich mieszkańców pochodzenia polskiego (w czym chętnie mu pomagają).

Uznaję go za wielkiego patriotę kresowego. Postawił okazały krzyż metalowy na resztkach cmentarza i miejscu zburzonego kościoła katolickiego w byłej Karolówce (gdzie również pochowany jest mój dziadek). Krzyż ten (z tabliczką informacyjną) opisał w swoich wspomnieniach, nie wiedząc wówczas kto go postawił. Później Tadeusz również uporządkował (z kolegami) i zinventaryzował kilkusetgrobny polski cmentarz przy kościele katolickim w Bukacnowicach, jak również i inicjował i pomagał wyremontować kościół. Każdego roku odwiedza te strony, organizując spacerki, w tym również do pobliskiego Łukowca, Żurawa, Czermona (byłej Karolówki i Berestawów).

W roku 2006 zaprosił mnie do uczestnictwa w takim wyjeździe, z czego zamierzam skorzystać. I jeszcze raz postawić stopę na swojej rodzinnej ziemi i napić się źródłowej wody ze swojej rodzinnej studni, która tylko tam pozostała.

Wyprawa ku również wspomnieć, że artykułami
w Zeszytach Tukowieckich, zachęcałem kresowianinów
z naszego byłego powiatu Rohatyńskiego, kol. Ignacego
Bodaszenkiewicza z Warszawy - do napisania własnych
wspomnień z kresów. Skróty tych wspomnień zamieścił
redaktor Tadeusz Tomkiewicz w Biuletynie Bukowo-
wieckim Nr 1 (47) z 2006 r.

Narodził się tuż obzerne opracowanie (ok. 30 stron
w rękopisie) zostało zgłoszone również w ramach
wspomnianego konkursu przez TML we Wrocławiu -
zagrańską Książkowską i dyplomem uznania.

Zachęcała jego żona Kazimiera Bodaszenkiewicz
napisać również wspomnienia z kresów i sybiru,
które czekały na opublikowanie.

Jak widac wiele się odrobaczyniła na
czytelniczkę i na niej społeczno-patriotyczne
mają Zeszyty Tukowieckie, za co jeszcze raz
składam wielkie dzięki redaktorowi Franciszkowi
Burdakowi i życzę dalszych sukcesów w ich redakcjo-
nieniu i wydawaniu.

Z pozdrowieniami Kazimierz
Ozga

Trzeka 10-2006

Drogi Janie!

Dziękuję za Zeszyty
i mił do mego brata nie że
Janusz Wilhelma przeżył wojnę.
Janusz w Ławach pracował
u Słomki i ucażył mi i kolegę
Kazimiera Kozłowskiego (nie żyje)
Kłopoty z gimnazjum przeżył
w domu która po niej zalegała
w Gimnazjum w Chodorowie.
Ciekaw jestem czy to ten tam.
a może było ich więcej.
Pochodem Janu opowiadałem
Gorska Krawiec. Autor napisał
jest urodzonym Rusinem.

Helena

Łukowianie i przybysze z okolic Łukowca, którzy osiedlili się we wsi Brunów koło Lubina (częściowo w Górzycy)

(wykaz przygotowany przez Kazimierza Paczkowskiego i Edwarda Szota)

Główny transport dotarł do Lubina 29.09.1945 r.

Rodziny:

- | | |
|---------------------------------------|--------------------------------|
| 1. Kuchty Jana | 30. Drozda Józefa |
| 2. Paczkowskiego Stefana | 31. Chudzików (Marii) |
| 3. Prusa Jana | 32. Sudoł (Anna) |
| 4. Kwietnia Józefa | 33. Janusz Adam |
| 5. Hardyna Teoflia | 34. Gajewska Anna |
| 6. Hardyna Bronisława. | 35. Wojtowicza Ignacego |
| 7. Paska Kazimierza. | 36. Krawczyka Władysława |
| 8. Babuli Józefa | 37. Krawczyka Mariana |
| 9. Baka Władysława | 38. Maćków Antonoiego |
| 10. Deca Franciszka | 39. Bednarza Wawrzyńca. |
| 11. Pudlaka Józefa | 40. Ozgi Adama |
| 12. Dudka Wojciecha | 41. Majchera Jakuba |
| 13. Maruta Stanisława | 42. Dorosz (Stefanii) |
| 14. Kozła Józefa | 43. Filipa Antoniego |
| 15. Gwoździeński Kazimierz | 44. Kudłacza Jana |
| 16. Janusza Józefa | 45. Kurecki Bazyli |
| 17. Szotta Julian | 46. Franczaka Piotra |
| 18. Szota Michała | 47. Daty Franciszka |
| 19. Wojtowicza Wojciecha /Rzeszotary/ | 48. Wiśniewskich (Stefani) |
| 20. Krawczyka Michała. | 49. Wal (Maria) |
| 21. Chmielowca Wojciecha | 50. Wicherski Jan |
| 22. Nitka Antoniego | 51. Skowron Ignacy |
| 23. Popka Józefa | 52. Szynalski Stanisław |
| 24. Furtaka Karola | 53. Szostak Ludwik |
| 25. Kurenia Stanisława | 54. Buczak Franciszek |
| 26. Wosia Leopolda | 55. Kobyliński Kazimierz |
| 27. Majdańskiego Józefa | 56. Gajewska Anna |
| 28. Lasoty Jana | 57. Kureń Kazimierz |
| 29. Kopały Konstantego | 58. Buczak Franciszek (Dolina) |

oraz rodziny przybyłe z łukowianami pochodzące z okolic Brzozdowiec

- | | |
|---|--------------------------------------|
| 1. Burlikowskiego Franciszka / Laszki / | 10. Piekarza Adama |
| 2. Dumy Franciszka | 11. Kluka Franciszka |
| 3. Smolaka Ludwika /Laszki / | 12. Łoziaka Michała. |
| 4. Dziubka (Stanisława) | 13. Łakomski /Laszki/ |
| 5. Bocheńskiego Mariana (Kuty) | 14. Wosia Antoniego (z Karolowki) |
| 6. Pateraka Antoniego (z Czeremchowa) | 15. Husa Andrzej i Katarzyna /Żurów/ |
| 7. Pateraka Jan (z Czeremchowa) | 16. Pomiotły Józef z Laszek lub Kut |
| 8. Chłodnickiego Stefana (z Nowosielec) | 17. Gajdy z tarnopolskiego |

Inne rodziny: Seńkowski z lwowskiego, Stęcha, Rogalski, Gajda z tarnopolskiego, Barszczyński Piotr, Zieñkowska Anna, Żurowski z Nowosielec, Stecko Antoni z Syberii, Należy dodać że kilka z tych rodzin przybyło później jak choćby rodzina Husów. Pan Andrzej i pani Katarzyna - oboje byli w armii gen. Andersa.

Wieś Lipnica

Wykaz mieszkańców pochodzących z Łukowca Żurowskiego i Wiśniowskiego oraz z innych miejscowości, którzy w obawie utraty życia; opuścili domostwa udając się na Łukowiec i w ramach repatriacji, wyjechali na Ziemię Odzyskaną, osiedlając się w Lipnicy - powiat Środa Śląska województwo Wrocław.

Lp.	Nazwisko i imię	Ilość osób z członkami rodziny			Osoby żyjące		
		Z Łukowca Żurowskiego	Z Łukowca Wiśniowskiego	Z innych miejscowości	Z Łukowca Żurowskiego	Z Łukowca Wiśniowskiego	Z innych miejscowości
1	Zięba Jan	-	-	7	-	-	5
2	Wowczuk Władysław	-	-	2	-	-	-
3	Sznajdrowski Henryk	-	-	3	-	-	1
4	Burdzy Jan	-	6	-	-	4	-
5	Hasyn Michał	5	-	-	1	-	-
6	Cuber Stanisław	4	-	-	-	-	-
7	Bal Jan	6	-	-	2	-	-
8	Cygan Andrzej	5	-	-	-	-	-
9	Sikora Katarzyna	8	-	-	3	-	-
10	Sobała Piotr	6	-	-	3	-	-
11	Jarosz Józef	4	-	-	2	-	-
12	Partyka Bronisław	5	-	-	2	-	-
13	Kata Adam	-	5	-	-	1	-
14	Kozioł Teresa - Edward	4	-	-	1	-	-
15	Bzikot Jan	7	-	-	2	-	-
16	Kobylarz Stanisław	5	-	-	3	-	-
17	Miśkiewicz Andrzej	6	-	-	2	-	-
18	Zięba Katarzyna	-	6	-	-	3	-
19	Prus Władysław	8	-	-	4	-	-
20	Cygan Agnieszka	1	-	-	1	-	-
21	Pomadowski Jan	-	-	5	-	-	1
22	Wojnas Józef	2	-	-	1	-	-
23	Śniezek Franciszek	-	-	4	-	-	1
24	Piekarz Paweł	5	-	-	1	-	-
25	Grdeń Franciszek	-	5	-	-	1	-
26	Szott Antoni	-	12	-	-	2	-
27	Dudek Stanisław	5	-	-	1	-	-
28	Tomczyk Antoni	-	-	4	-	-	2
29	Dudek Jakub	-	-	6	-	-	2
30	Miśkiewicz Adam	7	-	-	4	-	-
31	Tęcza Maria	-	-	10	-	-	4
32	Dul Jan	4	-	-	-	-	-
33	Dul Tomasz	4	-	-	1	-	-
34	Miśkiewicz Jan	8	-	-	5	-	-
35	Dul Adam	2	-	-	1	-	-
36	Stroński Antoni	4	-	-	-	-	-
37	Drozd Michał	-	4	-	-	1	-
38	Cygan Jan	3	-	-	1	-	-
39	Malec Franciszek	3	-	-	1	-	-
40	Cygan Józef	4	-	-	-	-	-
41	Paciorek Honorata	3	-	-	1	-	-
42	Grembowiec Zofia	4	-	-	-	-	-
43	Dul Józef	-	-	5	-	-	2
44	Jesionka Franciszek	8	-	-	3	-	-
45	Klimas Zofia	4	-	-	2	-	-
46	Król Genowefa	-	-	7	-	-	5
47	Bal Bartłomiej	8	-	-	2	-	-
48	Ekiert Maria	-	-	5	-	-	2
49	Dziuba Kazimierz	-	3	-	-	-	-
	Razem	152	41	58	50	12	25

Osoby żyjące do ogólnie osiedlonych - na 20-07-2006 r stanowiły 34,66% - 87:251 osób

----- // ----- z Łukowca Żurowskiego na 20-07-2006r stanowiły 32,89% - 50: 152 osób

----- // ----- z Łukowca Wiśniowskiego na 20-07-2006 r stanowiły 29,27% - 12: 41 osób

----- // ----- z innych miejscowości na 20-07-2006 r stanowiły 43,10% - 25:58 osób

RAZEM: 87 : 251 osób

K. Miśkiewicz

W powyższym wykazie uwzględniono zestawienie mieszkańców Lipnicy, które otrzymałem od p. Sebastiana Burdzego ze Środy Śląskiej

**Wieś Zabłoto (na linii Środa Śląska -Kostomłoty)
Zamieszkali łukowianie - lista sporządzona z pamięci przez
pana Józefa Kurenia - podane tylko głowy rodzin)**

- | | |
|-----------------------------|-----------------------------|
| 1. Skowron Władysław | 18. Kureń Józef. |
| 2. Maciąg Jan | 19. Jasiński Antoni |
| 3. Kryciński Jan | 20. Piotrowicz Piotr |
| 4. Kureń Józef | 21. Probala Kazimierz |
| 5. Radomski Jan | 22. Probala Stanisław |
| 6. Radomski Kazimierz | 23. Pipała Adam |
| 7. Kotulski Adam | 24. Ordon Franciszek |
| 8. Furtak Szczepan | 25. Dziuba Ludwik |
| 9. Szott Ludwik i Kazimierz | 26. Gaj Helena |
| 10. Maciąg Jan | 27. Radomski Kazimierz |
| 11. Stadnik Marcin | 28. Skowron Władysław |
| 12. Więclaw Stanisław. | 29. Skowron Adam |
| 13. Brzuszek Ludwik | 30. Żyra Władysław |
| 14. Rębisz Antoni | 31. Drozd Piotr |
| 15. Brzuszek Kazimierz | 32. Jeniec Kazimierz |
| 16. Krawiec Jan | 33. Jeniec Jan |
| 17. Martka Marcin | 34. Dziuba Wojciech |



Rodzina Drozdów i Starkiewiczów - od góry Franciszek Drozd oficer AK na Łukowcu, obok żona Józefa.
Siedzą Katarzyna i Stanisław Starkiewicz (p. Stanisław był żołnierzem w armii Generała Andersa).

Rozmowa z Panem Kazimierzem Babulą

Pojechałem do Brunowa z myślą, że ktoś pomoże mi odszyfrować zdjęcie otrzymane od pana Tadeusza Piechuty, zrobione na Łukowcu i przedstawiające 16 ludzi. To zdjęcie traktuję jako symbol stosunków żydowsko - polskich na Łukowcu. I chociaż wiem, że nie wszystko było idealne, to jednak fotografia ta została zrobiona w określonym celu, na pamiątkę jakiegoś spotkania czy wydarzenia. Jest tu 14 Polaków znanych z imienia i nazwiska wraz z polskim księdzem Józefem Wanatowiczem oraz dwóch Żydów ze Lwowa, jeden o pseudonimie czy imieniu „Esko”. Pozy przyjacielskie. Nikomu jak widać nie przeszkadza ani narodowość, ani ksiądz stojący w środku grupy. Jeden z Polaków opiera się dwoma rękami o Żyda. Drugi Żyd przyjaźnie obejmuje Polaka. Kilku z tych ludzi najprawdopodobniej jeszcze żyje. Pan Babula bez trudu poznaje ludzi, których wcześniej nikt nie mógł mi odszyfrować. Zatrzymam się tylko na jednej postaci Kazimierza Tęczy, pierwszy z lewej. Jego pojedynczy grób znajduje się w Kołobrzegu. Zginął w walkach o to miasto. Był w stopniu kaprała.



Zdjęcie z Łukowca: stoją od lewej górny rząd: Tęcza Kazimierz, Lasota Stanisław, Klimas Edward, ksiądz Józef Wanatowicz, Kryciński Edward, Wolak Edward, Stroński Antoni, Leon Kopalski (Kopała) drugi rząd: Rogowski Stanisław, Jan Bał, trzeci rząd najniżej: Oleśków Jan, Babula Stanisław, dalej dwaj Żydzi ze Lwowa jeden o imieniu lub pseudonimie „Esko” i Bał Władysław oraz Kopała Edward.

Inny temat: Pytam pana Kazimierza o motolotnie. Odpowiada - W tej chwili za domem są trzy; jedna Babulów, jedna Paczkowskich, a trzecia należy do osoby spoza Brunowa. Gdy pytam o ród Babulów - pan Kazimierz odpowiada: Wszyscy Babule (Babulowie) byli stolarzami lub cieślami. I po wojnie większość z nich wykonywała jeszcze te fachy. To były ich rodowe umiejętności. Pan Kazimierz pamięta bardzo wiele z okresu wojny. Mówi o śmierci dziedzica Longina Łobosia mieszkającego w Holeszowie. Zdradził go Ukrainiec majster z jego gorzelni. Nasłał na niego Rosjan z NKWD i podrzucił mu broń wkładając ją do rynny. Gdy Rosjanie zażądali wydania broni. Dziedzic, mający już chyba 80 lat wypowiedział słowa: „Broni nie mam, jak ją znajdziecie to mnie możecie nawet zabić”. Stał na schodach zamku. I wtedy Ukrainiec wyciągnął z rynny podrzucony ka-

rabin. Jeden z żołnierzy radzieckich od razu strzelił do Łobosia, zabijając go na miejscu. Został pochowany obok domu (zamku) w którym mieszkał. Kierownikiem gorzelni w Holeszowie był Żyd. Ten sam Ukrainiec, który przyczynił się do zastrzelenia dziedzica Łobosia nasał na niego Niemców. Gdy zapukali do domu, Żyd wyskoczył przez okno - żona już nie zdążyła - zabili ją w oknie, tak że jedna połówka ciała była na zewnątrz a druga jeszcze w domu. Żyd w styczniu 1943 r. przybiegł do rodziny Babulów na Łukowiec. Półnagi z przerażeniem w oczach. Umieściliśmy go w lesie w bunkrze i dzięki temu wojnę przeżył. Jego kompanem w tym bunkrze był drugi Żyd, na którego natrafił Babula jak wychodził z lasu. Opowiada Babula: Żyd był jak człowiek widmo. Byłem nim przerażony. Wprost chciałem uciekać, bo takiego cienia człowieka jeszcze nie widziałem. Zapytał - gdzie jest i na jakiego człowieka trafił. Musiałem mu pomóc. Siedział w bunkrze razem z tym gorzelnikiem. On nazywał się Henryk Neubauer i był studentem medycyny - pochodził z Rzeszowa. Gdy Niemcy likwidowali getto, udało mu się wleźć na jakiś strych i przesiedział tam trzy dni. Potem wyszedł z tej kryjówki i ruszył lasami na Wschód, aż dotarł po jakimś czasie na Łukowiec. Donosiliśmy im jedzenie: to znaczy ja, Bak Jan, Dec Jan i Kubala Marian. Student nie przeżył wojny. Niemcy złapali go na Łukowcu w domu Ordon. Ten dom, po wymordowaniu rodziny Ordonów przez Ukraińców był pusty. Ukrywała się w nim kilkusobowa grupa Żydówek (6 dziewczyn) Ten student poszedł do nich, bo chciał, aby przeniosły się do bunkra. Niestety wraz z dwoma Żydówkami został tam przez Ukraińców złapany. Podobno zginął później podczas próby ucieczki. Drugiego Żyda zaprowadziłem do Rosjan, gdy weszli na Łukowiec 23 lipca 1944 roku. Pożegnaliśmy się i już go nigdy więcej nie widziałem. Ukrainiec majster, winny śmierci Łobosia zginął w gorzelni. Pas transmisyjny urwał się i uderzył nim o ścianę rozbijając mu głowę.

Pan Kazimierz wspomniał też śmierć Marysi Turbak i Marysi Kotulskiej. Dziewczeta, łukowianki, pojechały do Stryja samochodem wojskowym z Rosjanami. Wszyscy zginęły za Żurawnem z rąk banderowców. Było to jesienią 1944 r. Ciała dziewczyn i żołnierzy odnaleziono dopiero na wiosnę 1945 r. w lesie przed Stryjem. Były przykryte gałęziami.

Na temat dziedzica Łobosia wypowiedział się również pan Jan Kuchta. Mówił, że często przyjeżdżał z Holeszowa do kościoła na Łukowiec bryczką bo był Polakiem i katolikiem. W Holeszowie był kościół grecko- katolicki. Z zapisu jaki znalazłem w księdze handlowej wynika, że Łaboś Longin miał blisko 1500 ha w Holeszowie. Był to przyzwoity człowiek jak twierdzi pan Jan Kuchta. Gdy go np. ktoś poprosił o siano, bo mu zabrakło - dawał, mówiąc: „Bierz tyle, żeby ci wystarczyło”. Albo mówił: „Ja też jestem tylko człowiekiem”. - Dawał do zrozumienia, że los ludzi nie jest mu obojętny. Pan Jan przekazał mi też informację, że Łaboś czuł, że po niego, przyjdą i większość ostatniej nocy spędził na modlitwie. Czy czuł, że to będzie śmierć, czy wywózka na Sybir, dziś trudno powiedzieć. Tym niemniej słowa Kazimierza Babuli i Jana Kuchty świadczą o tym, że był to człowiek prawy.

Kiedy zacząłem omawiać z Janem Kuchtą niektóre poruszone w Zeszytach 11-12 tematy, zastanowił się i powiedział: Może nie trzeba pisać o tym pobiciu Mazura przez Burdzych!. Skonsultowałem to z moją siostrą która bardzo szybko przekonała mnie, że prawdę należy pisać choćby była i niezbyt chwalebna. Na to wszystko pan Jan Kuchta odparł, że na Łukowcu zdarzyły się i gorsze rzeczy. Były kradzieże. Było zabicie nożem Polaka przez Polaka, a także morderstwo i podpalenie stodoły z ofiarą w środku. Sprawczynią była kobieta z zaburzeniami psychicznymi. Rosjanie aresztowali ją gdyż było to za ich czasów i wszelki ślad po niej zaginął. Pełniejszy jest zawsze obraz ukazujący wszystkie strony życia. A ono jak wiadomo składa się i z dobrego i ze złego.

Opracowanie: Franciszek Burdzy, 59-300 Lubin, ul. Ptasia 93, tel. 076 844 60 49